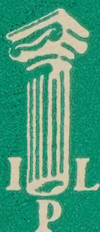
KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 6/116 1957



• «La Culture» • Revue mensuelle •

ROZMOWA ZE STEFANEM KISIELEWSKIM

A. JAWORSKI : **WYNARADAWIANIE SIĘ POLAKÓW W KANADZIE**

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI : **WSPOMNIENIA Z OKRESU MAJOWEGO**

SPIS RZECZY



KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Czerwiec-Juin 1957

NSTYTUT  LITERACKI

WPŁATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Piotr Mohortyński, Yangambi par Stanleyville (Kongo Belg.)	35.000 f
Zarząd Główny Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźtwie, Londyn (Anglia)	10.000 "
Anna Teresa Serafin-Poniatowska, Scottsdale, Arizona (USA)	5.000 "
Bianka Wojewódzka, Bunia (Kongo Belgijskie)	700 "
Zygmunt Żyłowski, Bunia (Kongo Belgijskie)	700 "
Ignacy Gorliński, Bunia (Kongo Belgijskie)	1.400 "
Leonowa Sapieżyna, Kongo Belgijskie	3.500 "
Adam Sapieha, Ngesko p. Goma, prov. Kivu (Kongo Belg.)	2.100 "
Stanisławowie Potoccy, Bunia (Kongo Belgijskie)	1.400 "
W. Paciorkowska, Melbourne (Australia)	800 "

DZIĘKUJEM



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY

C. Czuchwicki, Largs Bay, S.A. (Australia)	1.000
Anna Teresa Serafin-Poniatowska, Scottsdale, Arizona (USA)	3.500
W. Malinowski, Yaraka Old' (Australia)	1.350

DZIĘKUJEM

Imprimé en France

Nad polską prasą

W OBRONIE EUROPY

Kiedy zobaczyłem moje przekłady z poezji amerykańskiej v prasie krajowej (przedruk z ,,Kultury") doznałem dość mie-zanych uczuć. Jeżeli tak się złożyło, że właśnie w momencie, ciedy po długiej przerwie literatura w Polsce zaczęła się rozglą-lać po świecie, pisałem o Amerykanach, to nie bez ukrytej nyśli : przy orientacji polskiej poezji jak i malarstwa na Paryż, orzypomnienie, że warto zapuszczać żurawia i gdzie indziej, wy-lawało mi się pożyteczne. Tak sądzę nadal, jednakże nowi Ko-umbowie nie powinni zapominać o paru przepisach podróży. Znajomość odległej cywilizacji (niesłychanie odległej zważywszy ıa różnice w poziomie techniki) jest potrzebna, ale tylko pod varunkiem, że nie przyczynia się do powstawania mitów.

Młody krytyk (i sam tłumacz z angielskiego) napisał nie-lawno w ,,Kronice" łódzkiej, że ośrodki fermentacji kultural-ıej ulegają przesunięciu : kiedyś był Wiedeń, Paryż, Londyn, eraz jest New York. Takie zdanie, bardzo pochlebne dla New Yorku, ale już narażające na kwasy ze strony mieszkańców oostońskiego okręgu czy Kalifornii, skłania do licznych refleksji.

Wiara, że istnieje jakieś centrum kulturalnego wtajemni-zenia, nie jest i nie była właściwa tylko Polsce. Jest to zjawisko lość powszechne i o starych tradycjach. Trudno chyba byłoby twierdzić dokładnie, jak wyglądało ono w Średniowieczu. Po-ężna w teologii Sorbona oddziaływała wtedy i na wyspę bry-yjską i na dużą część kontynentu. W epoce Renesansu szanujący się młody Polak czy Anglik ogładzali się we Francji, Padwie zy Bolonii — ślady tego mamy choćby w ,,Dworzaninie" Gór-ıickiego czy we włoskich motywach u Szekspira. Walki religijne

kierowały młodych intelektualistów protestanckich do Niemi
do Holandii, do Genewy. Znaczenie Paryża rosło w ciągu s
demnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku, stawał
on ,,miastem światłości'' dla Europy, ale również, zwłaszc
od początku naszego stulecia, wciągał w swoją orbitę spc
część Ameryki, Afryki i Azji. Dzisiaj synowie murzyńskich kac
ków, kupców z lewantu i japońskich przemysłowców zazna
miają się na paryskich uczelniach z marksizmem a wysoki p
cent studiującej tu amerykańskiej młodzieży traci umysłowe dz
wictwo, odkrywając dziwy dialektyki.

Zmiany w kulturalnym natężeniu łatwo śledzić na przyk
dzie malarstwa. Przypływy i odpływy wizualnego geniuszu
zresztą czymś bardzo tajemniczym. W ciągu kilku stuleci, p
czynając od Cimabuego i Giotta, za swoją ulubioną siedzibę ob
miasta włoskie. Stopniowo opuszczał Włochów, przenosząc
do Holandii i Flandrii, darząc częściowo względami Hiszpar
i Niemcy, żeby następnie na trwałe osiedlić się we Francji. Mó
się, że przychodził w ślad za gospodarczą i polityczną potę
jakiegoś kraju. To prawda, że Florencja Ghirlandaia, Botic
lego, Leonarda da Vinci, niewątpliwie stolica intelektualna Eur
py, promieniowała dzięki swoim kupcom i domom bankierski
(patrycjuszem, agentem bankierskim, podróżnikiem i humanis
był Amerigo Vespucci, którego imię nosi Ameryka). Jednak
Florencja nie mogła politycznie i militarnie równać się z wi
kimi królestwami Europy. Prawda, że rozkwit malarstwa hole
derskiego przypada mniej więcej na erę handlowej i łupieżcz
ekspansji Holendrów. Jednakże okupowana przez Hiszpanć
Flandria wydała Breughla, a w sąsiedniej Anglii panującej n
morzami nie będzie wcale takiego rozkwitu. Jeżeli, jak twierd
podręczniki, monarchia francuska za ostatnich Ludwików rc
kładała się i cuchnęła, dojrzewając do rewolucji, to dlaczego
malarze, tacy jak Chardin, Watteau czy Fragonard dostali p
darunek dajmoniona? Jak widać, tak zwane ogólne linie rc
woju (Hegel tkwi dzisiaj w umysłach mocniej niż się przypuszcz
nie są sprawą prostą.

Polityczny upadek Europy po drugiej wojnie światowej p
wadzi wielu ludzi do wniosku, że najżywotniejsze prądy w myś
w literaturze i sztuce muszą pojawić się w dwuch nowych m
carstwach : w Ameryce i w Rosji. Ponieważ, jak na razie, Ro
jest zupełnie zakrzepła, pozostaje Ameryka. Takie przypuszcz
nie ma wiele cech prawdopodobieństwa. Paryż, na przykład, z s
mego dawniej uzyskanego rozpędu, jest Mekką pisarzy i m
larzy, ale można w nim odkryć oznaki zwapnienia. Arth
Koestler w jednej z najsłabszych swoich książek, ,,The age
longing'', spróbował dać obraz paryskiego intelektualnego ś
dowiska, tak, jak przedstawia się ono komuś z zewnątrz. Ob
jest przejaskrawiony, ale na ogół biorąc, trafny — nie inny
ten, jaki znajdujemy w ,,Mandarynach'' Simone de Beauvoir
chociaż autorka nie rozumie, że demaskuje się mimowoli i że
swego materiału nie ma dystansu. Ciągłe akrobacje (i aberrac

mysłowe Paryżan wskazują, że są oni w niewoli pewnego stylu, tóry właściwie nie różni się od konwencji towarzyskiej. Dla- ego nie umieją się zdobyć na pytania z głupia frant, ani spoj- zeć na rzeczy naiwnie — co ich obezwładnia na przykład v poezji. Z przestarzałością społecznej struktury idzie tutaj v parze oderwanie się mas ludności od własnego państwa i po- zucie niemocy u intelektualistów — często tutaj spotyka się ych, których Stanisław Vincenz określa ukraińskim epitetem : ,skapłoneny'' czyli skapłoniony. Myślenie amerykańskie jest ardziej wulgarne, trzeźwe i plebejskie — wpływa ono również a twórców, choćby się przeciwko niemu buntowali.

Trzeba jednak coś powiedzieć na obronę Europy. Poczucie lęski fałszuje zwykle perspektywę. W istocie ten malutki pół- vysep Azji od dawna już jest na ostatnich nogach. Od bardzo lawna : na południu Francji zdarzało mi się bywać w miastecz- ach, gdzie długo stały garnizony Saracenów. Podbój Bizancjum rzez Islam w 1453 roku był klęską o olbrzymich następstwach — nie tylko otworzył drogę Ottomanom na zachód, ale przy- ieczętował podział chrześcijaństwa na wschodnie i rzymskie, zego dałoby się uniknąć. Siedziba sztuk, Italia, przez niemały awałek czasu była strefą politycznie peryferyjną, narażoną na niszczenie przez wyznawców Mahometa. Wrażenie, jakie zrobiły a Europejczykach zwycięstwa stalinowskiej Rosji, skłania ich lo paru freudowskich zapomnień. W istocie przez cały wiek siemnasty Rosja robiła co chciała, używając szantażu i prze- upstwa, nie tylko w Polsce ale i w wielu innych krajach. Jej vładza rozciągała się na machiny rządów (Niemcy były przecież onglomeratem drobnych państewek), jednak również na umysły.)ytyramby Woltera na cześć Katarzyny Wielkiej otwierają dłu- ą serię pochlebczych utworów, które wychodziły głównie spod ióra Francuzów, oceniających zalety złota i autokracji (za gra- icą). A któż jest pełniejszym Europejczykiem niż Goethe ? Nie- tety, pieniążki ministra Weimaru wypłacane mu jako pobory kasy Księstwa, dawała Maria Pawłowna, siostra Aleksandra -go i Mikołaja I-go. ,,Tylko specjalna praca oparta na wei- arskich i petersburskich archiwach mogłaby w pełni ukazać osyjskie feudalne podstawy kulturalnego dobrobytu w Wei- arze... Deszcz złota, jaki zaczął padać z chwilą przybycia Marii 'awłowny, był obfity i ciągły. Ten deszcz złota, biorący począ- ek w rosyjskim systemie poddaństwa, pozostaje ważnym i pra- vie niezbadanym aspektem biografii Goethego (*).

Nie ma więc co się dziwić, jeżeli gruntował się w Europie, właszcza wśród pisarzy, szczególny obyczaj nakazujący nie na- ażać się Rosji. ,,Firma Trwoga i Żołądek'' miała zresztą za statnich carów zyskać dodatkowe argumenty : wysokie docho- y z rosyjskich wydań. Wszystko to nie świadczyło o zdrowiu

(*) S. Durylin, ,,Russkie pisateli u Goethe v Vejmare'', ,,Literatur- e Nasledstvo'', IV-VI (1932). Cytatę jak i odkrycie czerpię z książki rof. Wacława Lednickiego ,,Bits of table talk on Pushkin, Mickiewicz, oethe, Turgenev and Sienkiewicz'', Martinus Nijhoff, The Hague, 1956.

Europy, która, wolnościowa i sprzedajna, zżerana swoimi chor
bami, była nieraz już podobna do polsko-litewskiej Rzecz
pospolitej przed pierwszym rozbiorem. Do freudystycznych za
pomnień należy też pomniejszanie militarnej przewagi carat
Po Kongresie Wiedeńskim narody drżały zerkając na pogrom
ców Napoleona i ich największą na świecie, lądową — wtec
decydującą — armię.

Rosjanie, z ich pogardą dla europejskiej zgnilizny i ,,uto
czenja'' (przesubtelnienia), nie mieli jednak racji, albo mie
rację tylko częściową. Idee i wynalazki techniczne importowa
ze śmiesznego półwyspu. Możliwe, że jesteśmy od jakichś dzi
sięciu lat w punkcie zwrotnym. Żeby coś zrozumieć ze współ
czesności, trzeba znać Amerykę i Rosję. Ale nie jest pewn
że ferment kulturalny zawsze przenosi się tam, gdzie jest p
tęga. Jeżeli nawet tak, to nie wiemy kiedy, z jakim opóźnieniem
Nikt zainteresowany filozofią, literaturą czy malarstwem nie b
dzie pielgrzymować do Moskwy. Co do Ameryki, to odbywa s
tam ciekawy proces ,,ukulturalnienia'' potrzeb masowych, a
jego przebieg nie jest chyba nawet dla znawców przedmiotu ja
ny. Natomiast wszelkiego rodzaju awangarda jest dopiero n
pograniczu asymilacji zdobyczy europejskich i własnego owoc
wania. Europejczykiem, tak jak inni uczeni którzy wyzwoli
energię jądrową, był Einstein. Szał abstrakcyjnego malarstw
podnosi cenę przede wszystkim europejskich płócien. W poez
,,rdzenna'' szkoła chicagowska nie zostawiła tak silnych śladó
jak ,,europeizanci''. Najczystszy okaz poety Nowej Anglii, Ro
bert Frost, może być słusznie wielbiony, ale nie z niego wywodz
się nowe tendencje. Równocześnie cybernetyka i automacj
w przemyśle zdają się być novum już rodzimym.

Amerykański pisarz Robert Jungk (rodem z Czechosłowacj
powiedział, że tylko Europa może ocalić Amerykę, przynosz
jej pojęcie Boga i swoje poczucie tragizmu. Podobna opin
o kraju, który nawet na swoich monetach umieszcza napis : ,,I
God we trust'', może wydać się dziwna, ale tylko jeżeli podłoż
się pod zdanie Jungka sens dewocyjny i będzie się notować suk
cesy Kościołów, zwłaszcza katolickiego, choć są one prze
wszystkim wynikiem społecznych stadnych impulsów. Jung
jest przerażony pogaństwem Ameryki, rozumiejąc przez to n
uwiąd wyznań (bo tego nie ma) ale brak wrażliwości na pie
wiastek *sacré*, który przecie leży u sedna zarówno trage
Ajschylosa jak religii. I niewątpliwie Europa, choć jej mas
muszą pod naciskiem techniki amerykanizować się i obojętni
na ten pierwiastek, przechowuje pojęcie sakralności i tragizm
istnienia, w przeciwieństwie do Rosji, gdzie wypleniono je, prz
najmniej na powierzchni, niemal doszczętnie. Tak samo tyl
myśl europejska przeżywa ostro swoje odkrycie historii jak
specyficznego wymiaru — nie jest przypadkiem, że we francu
kim ukuto nowe słowo : *historicité*. Filozofia egzystencji powi
na być, sądzę, rozpatrywana przede wszystkim jako wynik zd
rzenia dwuch nurtów — jednego, wywodzącego się z teolog

chrześcijańskiej, z drugim, któremu początek dało doznanie historyczności. Widać to najwyraźniej u Karla Jaspersa. Zderzenie prowadzi zresztą do wielu innych ciekawych przedsięwzięć. Cena jaką płaci Europa za swoją czujność i ostrość, jest wysoka, niemniej głos Jungka nie zasługuje na lekceważenie. Poezja amerykańska (jeżeli uznamy poezję za działalność poważną) nadal musi czerpać z europejskich źródeł.

Nie jest też wykluczone, że poszukując centrum kulturalnego wtajemniczenia, popada się w błędy analogii. Florencja i Paryż przyciągały adeptów sztuk i nauk, bo bezpośrednie zetknięcie się z mistrzami było jedynym środkiem zdobycia ich wiedzy. Czy tak będzie zawsze? Czy nie pojawia się dzisiaj już coś jak zarys zupełnie innego wzoru? Może odpływ milionów z wielkich miast na wiejskie przedmieścia zapowiada zasadniczą zmianę? Można już pędzić życie anachorety, nie narażając się na zarzut ucieczki. Doskonałe reprodukcje malarstwa czy muzyki zmniejszają chęć wypraw do muzeów i na koncerty. Dystanse kurczą się i ma to zapewne również efekt psychologiczny : znika obsesja prowincjuszy. Zamiast jednego ośrodka, który się przesuwa, mogą więc powoli wyłaniać się liczne ośrodki równorzędne. Doświadczył już tego niejeden, kto, chcąc zetknąć się z mistrzami w jakiejś swojej dziedzinie, podróżował do małych miejscowości. Oczywiście ma to zastosowanie tylko do Stanów Zjednoczonych i Zachodniej Europy. W Polsce na przykład, gdzie trudno o zagraniczne pisma, książki, reprodukcje i płyty, gdzie samo życie w cywilizacji technicznej nabrało egzotyki, podróże do stolic zachodnich są konieczne. Bez tego nie zasypie się przepaści i nie zlikwiduje się kompleksu zamknięcia.

Ubolewania nad ,,pawiem i papugą narodów'' nie wydają się na ogół uzasadnione. Pisma literackie polskie są ciekawsze (pomijając więź emocjonalną) od tego samego typu francuskich — zależy przecież jak się użyje tego, co przychodzi z zewnątrz, czy uda się to spoić z problematyką nieznaną dla zagranicy. Że zapatrzenie na Zachód? A co robi Szwecja, Jugosławia czy Finlandia? Jakie inne rozwiązanie zalecać poza autarkią kulturalną, która jest zabójstwem? Ubolewać warto tylko nad łapczywością źle skierowaną. Źle jest, jeżeli niektórzy młodzi wierzą w jakiś ,,trick'' gdzieś tam już wynaleziony : wystarczy z nim się zapoznać a już będzie się wiedzieć jak pisać i jak malować. Ale *artes* tak długo są zdrowe, jak długo wyznacza się im dość niskie miejsce w hierarchii zainteresowań ludzkich. Poezja nie potrafi żywić się poezją, malarstwo malarstwem i tajniki warsztatu są znacznie mniej ważne niż myśl poza-artystyczna, która im dała początek. Dlatego poeta więcej korzysta czytając książki nie mające nic wspólnego z jego rzemiosłem, niż tomiki wierszy.

Piszę to powodowany drobnym wyrzutem sumienia. Socjolog niech rozprawia o świecie współczesnym, zanim nie zastanowi się nad Ameryką. Literat, lokując mityczne centrum twórczych fermentów poza Europą, rozcina na dwie części jabłko, którego

nie powinno się rozcinać. Poezja amerykańska ma swój własn wigor i wyraz, zasługuje na to, żeby ją jak najwięcej bada i tłumaczyć, ale zawsze pamiętając że jest nasza, bliska nam europejska — nie tylko przez to, co zawdzięcza Johnowi Donne Aleksandrowi Pope, Arturowi Rimbaud, Valéremu Larbaud — także przez zakotwiczenie w myślowej tradycji, najżywiej prze chowywanej dotychczas w Europie. Kto wie, czy nie ona właśni utrzymuje najlepiej więź pomiędzy starym i nowym lądem, jak by pewne zdarzenie z początku szesnastego wieku było symbo liczne : wtedy kilku poetów, mnichów w lotaryńskim klasztorze entuzjastów wschodzącego humanizmu, ukuło nazwę : America na cześć swego ulubionego autora — florentyńczyka Amerigo Vespucci.

IZAAK DEUTSCHER WSTĘPUJE W BÓJ

Przygoda Izaaka Deutschera powinna być przestrogą dla publicystów, którzy chcieliby z zewnątrz zza granicy, brać udział w polskim politycznym pokerze, drukując w krajowych pismach. Brak wyczucia zbiorowych napięć (na odległość jest to trudne albo niemożliwe) może nadać im wdzięk słonia poruszającego się w składzie porcelany. Deutscher zirytował się działalnością ,,wściekłych'', zaczął ich namawiać do powściągliwości w ,,rewizjonizmie'', zalecać im większy szacunek dla Rewolucji rosyjskiej — ku uciesze po-stalinowskiej prawicy. Ponieważ otrzymał już cierpką odpowiedź — zapytano, co ma na myśli nazywając siebie marksistą i co go upoważnia do dawania rad — nie ma powodu nad tym się zatrzymywać. Zajmę się więc tylko jednym aspektem sprawy.

Jako pisarz polityczny Deutscher zdradził się przy tej okazji najokropniej. Wykazał, że jego olimpijski spokój kryje nałogi i urazy, zamaskowane jako bezstronność, ale nie dające się obronić rozumowo. Potwierdził to, co dwa lata temu napisał o nim Paul Willen : ,,... Deutscher prosi nas, żebyśmy okazali ,,cierpliwość'' nieubłaganym drogom historii. Taka łaskawość jest zrozumiała tutaj w Ameryce, czy w Anglii czy we Francji ale trzeba skrajnego braku serca, żeby żądać tego od 800 milionów ludzi, którzy cierpią pod naciskiem tej ,,konieczności historycznej'' na obronę której Deutscher zużywa tak wiele swoich wybitnych talentów'' (*). Dowiódł wreszcie młodym w Polsce dążącym do lepszego społecznego porządku, że sojusznicy na Zachodzie z kół neutralistycznej lewicy są niepewni, bo, choćby nawet głośno temu zaprzeczali, wierzą, że ,,history takes care of itself'' i że jej podopieczni powinni łagodnie czekać, aż za pięćdziesiąt lat Związek Sowiecki i zależne od niego kraje staną się przybytkiem szczęścia. Nie inne bowiem znaczenie ma atak Deutschera na zainteresowanie, jakie budzą w Polsce książk

(*) W amerykańskim kwartalniku ,,Dissent'', 1955.

k mówi, renegatów, takich jak Koestler, Malraux, Orwell, [iłosz etc. Wyłączam siebie. Nie byłem nigdy członkiem Partii .omunistycznej, przez pewien czas zachowywałem się łagodnie :obec ,,konieczności historycznej'', to wszystko. Ale co zawiera łanie: ,,najbardziej jadowitym renegatem jest Koestler''? awsze intrygowała mnie atmosfera horroru, wykrzywień się, iemal splunięć, ile razy w paryskiej kawiarni ktoś wymienił .oestlera. Przyciskałem moich rozmówców do muru, ale nigdy ie umieli przytoczyć żadnych uzasadnień swojej odrazy. Chcąc yć szczerym, przyznaję, że sam kiedyś miewałem takie odıchy. Wreszcie doszedłem do wniosku, że działa tutaj szczeowe albo raczej salonowe tabu, bynajmniej nie samorzutne, rzeciwnie, wpojone przez tysiące stalinowskich artykułów, przeıówień i innych środków penetracji. Koestler musiał być zroiony na diabła, przeciwko niemu należało odprawiać co dzień wadrans nienawiści, bo był wyjątkowo niebezpieczny. Przełaıywał wzór zachowania się szlachetnego intelektualisty, który ıoże myśleć o Rosji co chce, ale nigdy nie ośmieli się nazwać :eczy po imieniu, bo rozległyby się krzyki: ,,fuj, fuj'' i byłby znany za winnego świętokradztwa. Przeciwko Koestlerowi, emirantowi politycznemu, prowadzili, w Paryżu zwłaszcza, kamanię pisarze i profesorowie dobrze w swój kraj wrośnięci, sieżący w swoich domach, które dostali w spadku po ojcach — upcach, bankierach i akcjonariuszach Suezu. Chcieli okazać woją usłużność Partii i płynąć z ,,falą jutra''. Kiedy jeden złoiek ma przeciwko sobie tysiące wrogów, kiedy ci rozporządzaı wszelkimi środkami zniesławienia drukiem i bardziej jeszcze zaójczą bronią — kawiarnianym grymasem — samo poczucie przywoitości narzuca stosunek do takiego pojedynku czy raczej ob.wy. Koestler jest autorem nierównym i prawdopodobnie dzienikarzem w wielkim stylu, nie powieściopisarzem. Jednak podzas gdy powieść więdła, powtarzając odziedziczone chwyty albo awiąc się w psychoanalityczne eksperymenty, on brał najbardziej alące, krwawe problemy, traktował je grubo, ale dążąc do odonięcia prawdy, co dawało mu wyższość nad komunistami, odrawiającymi swoje marsze po linie. Daniel Defoe nie był artysı. Był reportażystą swoich czasów. Skąd możemy wiedzieć doąd nasi następcy zwrócą się po świadectwo? Deutscher nie ɔzumie, że zainteresowanie w Polsce Koestlerem ma dwie przy:yny: łapczywość na goły obraz dzisiejszości bez dialektycznych ybiegów i załamanie się ulizanej powieści jako formy — ten ziewiętnastowieczny twór socrealizm wskrzeszał bez powodzeıa. Co prawda z każdym prawie autorem zdarza się to samo: dna książka przynosi mu rozgłos, i choćby nawet inne były psze, publiczność lgnie do tej jednej. Tak więc w Polsce znają łaściwie tylko ,,Darkness at noon'' (,,Zéro et infini''), choć dwa ɔmy autobiografii Koestlera (,,Arrow in the blue'' i ,,Invisible riting'') są jedynym, o ile się nie mylę skrótem historii Europy statniego półwiecza, pisanym w pierwszej osobie. Niezwykłe :ieje osoby splatają się z kataklizmami i setki postaci jakie wy-

stępują na kartach książki są właściwie listą nekrologów — z gazowany, powieszony, rozstrzelany, deportowany. Syn żydo skiej rodziny z Budapesztu, używającej w domu dwóch języków węgierskiego i niemieckiego, jest świadkiem, jako chłopiec, wolucji Beli Kuhna, zaczyna pisać po węgiersku (piękne wspo nienie o przyjacielu, poecie Attila Jozsef), studiuje w Wiedni rzuca uniwersytet i skacze głową w dół — do kibucu w Pale tynie, wydaje pismo po hebrajsku, robi karierę w Berlinie ja naukowy redaktor koncernu prasowego Ullsteina, leci Zeppe nem do bieguna, wstępuje do Partii Komunistycznej, wysłany Rosji, spędza tam rok — w Charkowie, Moskwie, Baku, Sama kandzie, po dojściu Hitlera do władzy, jako emigrant bez grosz ląduje w Paryżu, jest agentem Kominternu w Hiszpanii, we fra kistowskim więzieniu, czekając na rozstrzelanie, przeprowad rewizję swego dotychczasowego życia, wymieniony na żonę a lotniczego frankistów zrywa w Paryżu z Partią w okresie stras liwej stalinowskiej czystki. Jego przyjaciel, Otto Katz, będz miał mniej szczęścia : zostanie powieszony w Pradze razem Slanskim, a inny kolega, Juliusz Hay, stanie się natchnienie antyrosyjskiej węgierskiej rewolucji. Być może świadectw o epoce dostarczą awanturnicy. Podobnymi ścieżkami szedł Ma raux. Wysuwa się zarzut przeciwko Koestlerowi, że ma umy apokaliptyczny — co sam przyznaje. Jest to jednak zapewn cena za czynny udział w tragediach społeczności. Gdyby nie te pociąg do apokalipsy, Koestler nie grałby na całego, za każdy razem paląc za sobą mosty, angażując się kolejno w sjonizm, ko munizm, anty-komunizm, obronę Izraela. Umysł apokaliptyczn miał też Orwell. Dlaczego Deutscher zalicza go do renegatów Czy Orwell nie był zawsze sobie wierny? Czy nie żył zawsz *w trwodze o ludzkość?* Stworzył wiele książek — znów na po graniczu publicystyki i powieści. Spośród nich słaba ,,Anima Farm'' i ,,1984'', ta niby powieść, która go razem z gruźlic zabiła, są najbardziej znane i odrywa się je od reszty jego dzieła podobnie jak komunistyczni krytycy paryscy ,,Zniewoloneg Umysłu'' opluwając mnie jako renegata, nie zdawali sobie spra wy, że jest to dla mnie tylko ,,boczna linia'', broń, że istot tkwi dla mnie w wierszach i artykułach jakie przed tym napisa łem.

Zachowanie się szlachetnych intelektualistów zachodnich dbających o takt wobec historii i wobec obozów koncentracyj nych Stalina, było w latach powojennych nikczemne. Bo albo — albo. Albo uważa się, że tak zwane dziejowe procesy odbywaj się niezależnie od nas, że na nic się zżymać, na nic protestowac Albo uważa się, że każdy jest odpowiedzialny. Determinizm his toryczny nie wytrzymuje krytyki. W istocie wszyscy rozważn olimpijczycy, zaglądając do kotła, w którym gotowały si wschodnio-europejskie narody, niby kucharka, kiedy sprawdza czy potrawa dobrze się zapowiada, też działali — przez swoj bierność. Arthur Koestler, André Malraux, George Orwel Manès Sperber, Ignazio Silone, Albert Camus zdobywali się, ka

ły po swojemu, na akt woli. W ogólnym rachunku nikt nie do- vie się ile istnień ludzkich każdy z nich uratował. Osmoza, na nocy której przesiąkają w umysły idee, nie poddaje się cyfrom, ęk władców przed wolną opinią jest jednak większy, niż się przy- puszcza. Natomiast pewne jest, że olimpijczycy mają ręce we krwi — bo tak dbali o czystość, to jest o opinię potomnych, obywateli, ich zdaniem, już ładnego komunistycznego świata.

Nie znaczy to, że nie potrafię wniknąć w motywy Deut- schera. Jego myślenie jest zdeterminowane przez zachodnie śro- dowisko. Szanujący się intelektualista nie zawiera przymierza z reakcją, nie dostarcza argumentów maccartystom (których ród nie wyginął), tym bardziej, że jego dążenia nie są ich dążeniami, a każda jego wypowiedź zmienia się w ich ustach w coś innego. Heretykiem, czekającym, aż kościół nawróci się na prawdziwy marksizm (nie podejrzewam, żeby Deutscher wiedział co te dwa słowa w ekonomii oznaczają) być wolno, renegatem — nie. We- dług tej logiki Polak, Czech, czy Węgier, który uciekał w okre- sie stalinizmu ze swego kraju, był eo ipso renegatem, bo, chcąc czy nie chcąc, dawał wodę na młyn swojej emigracji, spragnio- nej powrotu na białym koniu. Według tej logiki za renegatów wypada uznać pisarzy węgierskich, którzy opuścili Budapeszt po zdławieniu rewolucji i teraz ogłaszają rozpaczliwe apele w obro- nie swoich kolegów ze Związku Pisarzy, uwięzionych przez Ka- dara. Dla kogoś jednak, czyje myślenie jest zdeterminowane przez wschód Europy, kanony wysokiego zachodniego taktu są obojętne. Nie wykreśla się erotycznej sceny w książce z obawy, że kilku czytelników będzie się masturbować.

Irytacja Deutschera na młodych Polaków, wyzwalających się z oparów stalinizmu, ma, sądzę, podłoże osobiste. Należy on do starej gwardii wychowanej w przekonaniu, że ,,Zeitgeist'' rzuca przekleństwo na wszystkich, którzy w głębi serca nie cho- wają wiary w doskonałość, jaka wyłoni się z obszarów Rosji. Deutscher doradza, żeby na rewolucję rosyjską patrzeć tak, jak Goethe patrzył na francuską (z której czy wyłoniła się doskona- łość?). Otóż ,,Zeitgeist'' zmienił się dzisiaj nieuchwytnie i nie zdradza skłonności do rzucania klątw na sceptyków. Książka Gustawa Herlinga-Grudzińskiego ,,Inny Świat'', którą jeszcze niedawno Polacy przyjeżdżający na Zachód czytali zamknąwszy drzwi na klucz, zapuściwszy rolety, zasłoniwszy lustro, umieś- ciwszy się z lampą pod kołdrą, jest po prostu prawdziwą opo- wieścią o życiu w obozie koncentracyjnym na północy Rosji, bar- dziej powściągliwą, niż ustne relacje milionów eks-więźniów. Podział totalitarnego społeczeństwa na kastę rządzącą i masę ,,proli'' w ,,1984'' Orwella nie budzi już w nikim świętego gniewu, skoro powszechnie wiadomo, że taka właśnie jest struk- tura społeczna w państwach tak zwanego socjalizmu. Mój ,,Znie- wolony Umysł'' uznano w Polsce za pracę bardziej krajową niż emigracyjną, bo pokazuje borykanie się jednostki z mitem ,,pra- widłowości dziejowych procesów'' — przez co przeszliśmy wszys- cy, wiele tracąc ale i nie mało zyskując. Zarzucono mi zresztą,

że, z troski o *fair play* czy o kompozycję, byłem zbyt łagodn. Przydarzyło się więc temu gatunkowi literatury to, co jest losem każdej literatury notującej na gorąco rzeczywistość. Dopóki materiał jest surowy, nietknięty piórem, sam opór jaki stawia na daje zdaniom świeżość rewelacji. Stopniowo materiał przechodzi w „domenę publiczną" (*) i tylko środki, jakimi rozporządza dany pisarz, rozstrzygają o jego zasłudze. Tak bywa na przykład po każdej wojnie : pierwsze wspomnienia czy powieści o niej wstrząsają przez sam ładunek nigdy dotychczas nieukształtowanej prawdy, następnie czytelnik staje się bardziej wybredny.

Kiedy literatura o okrucieństwach sowieckiego totalizmu wkracza w „domenę publiczną", niemal do pokoju dorastających panienek, musi to być bardzo bolesne dla starej gwardii, którą tak dobrze reprezentuje Deutscher. Stara gwardia wyznawała bowiem humanitaryzm dostatecznie mglisty, żeby dał się pogodzić z teoretycznym marksizmem, bez zniżania wzroku ku „szczegółom" to jest cierpieniom istot ludzkich mniej godnych względów niż Ogólność. Nic więc dziwnego, że Deutscher się broni. Ale nic też dziwnego, że obywatel przytulnej Anglii, mieszając się w polskie dyskusje, spotkał się z niezbyt ciepłym przyjęciem.

„Mierząc nasze spory abstrakcyjnymi normami tradycyjnej 'walki socjalistycznej' — pisze w „Nowej Kulturze" KTT — „Deutscher idealnie błędnie rozmieścił swoje sympatie i poparcie. Nieporozumienie to przypomina mi słynną anegdotę o młodym Żydzie, który studiował marksizm. Nękany wątpliwościami, nasuwanymi przez doktrynę, udał się do rabina z pytaniem : — Rebe, czy można zbudować socjalizm w jednym kraju ? — Owszem — odpowiedział rabin po chwili namysłu — można zbudować socjalizm w jednym kraju, ale mieszkać trzeba w drugim".

Czesław MIŁOSZ

(*) Wydawanie czy nie-wydawanie tego typu książek w Polsce jest wię[c] wyłącznie kwestią taktyki.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

NAD WODOSPADEM W SZAFUZIE

Szafuza jest starym, bardzo zamożnym miasteczkiem nad Renem. Jej środkowa dzielnica, umyta i pomalowana na nowo, jest świetnie zachowanym wzorem budownictwa XVII i XVIII wieku. Przemysł i handel są tu dyskretne; nie otaczają miasta pierścieniem kominów i terenów fabrycznych; ze wszystkich ulic widać bliską zieleń pogórków. Przedsiębiorcy budowlani burzą niekiedy starsze domy, ale ich urządzenie wewnętrzne, piece z malowanych kafli, boazerie i meble nie idą na handel starzyzną lecz składane są w miejskim muzeum, pełnym malowniczego sprzętu. Nienatrętna zamożność i pogodny gwar ulic nie zdradzają wcale, że tuż za miastem skrywa się za drzewami huczący i ryczący potwór sławnego niegdyś wodospadu.

Ren, zdążywszy już okrążyć pół Szwajcarii i przepłynąć jezioro bodeńskie, jest tu rzeką szeroką i głęboką. Wypływając z ostrego zakrętu, cała jego ciężka masa zielonkawych wód rzuca się rycząc z kilkunastometrowego progu o nieregularnym zarysie. Brzeg jest tu wysoki, pokryty lasem. Bieleją w nim wille, których mieszkańcy słyszą dniem i nocą huk wodospadu.

Wodospad pod Szafuzą ma swoją historię. Odkryty w XVIII wieku razem z urokami wolnej i nieprzymuszonej natury, był przez długi czas celem pielgrzymek, figurującym na honorowym miejscu we wszystkich itinerariach. Jadący do Szwajcarii i Włoch zbaczali z drogi, aby go zobaczyć; dzienniki i listy z podróży wzmiankują go aż do połowy ubiegłego stulecia.

Obyczaj ówczesny nakazywał przejawianie ,,czułości serca'' we wszystkich okolicznościach i nie sprzeciwiał się manifestacjom tkliwych uczuć. Damy w sukniach w drobne kwiaty i męż-

czyźni w kolorowych frakach zalewali się łzami na widok sław
nego wodospadu.

Zwyczaj ten wydaje się tak odległy, że nawet mieszkańc
Szafuzy nie zachowali go w pamięci. Kiedy jednemu z ni
wspomniałem o tym zwyczaju, wybuchł głośnym śmiechem.

Tak zwane fenomeny i uroki natury utraciły większą częś
dawnego autorytetu. Nawet zwolennicy campingu myślą prze
wszystkim o oddychaniu przez kilka dni powietrzem wolny
od rakotwórczych wyziewów benzyny. Jadący do Szafuzy kole
rzucają zaledwie roztargnione spojrzenie na białą kipiel wod
spadu. Nikt zapewne nie zbacza dlań z drogi. Zmieniły s
zresztą zwyczaje, i nieliczni, których przypadek zaprowadz
w tym miejscu na brzeg Renu, spluwają parę razy na ziem
i wzruszając ramionami mówią : ,,Tu się dopiero marnują kil
waty !''

Te różnice odruchów stoją zapewne w jakimś związku z ty
wszystkim co dzieli nasze stulecie od poprzednich. Zanim zaczę
płakać na widok wodospadu, przodkowie nasi znieśli tortur
sądowe, obalili szubienice stojące u wrót każdej wsi i opisa
wierszem prostotę obyczajów pasterzy w Arkadii. Zanim na
współcześni zaczęli spluwać i wzruszać ramionami, Europa p
kryła się miejscami kaźni, a procesy karne przyzwyczajono s
rozpoczynać od odwołania przez oskarżonego zeznań wymusz
nych przez tortury. Tam zwłaszcza, gdzie ten nowy porząde
powstał z woli większości obywateli, przeklinanie i wzruszan
ramionami jest odruchem odpowiadającym zapewne najlepi
sytuacji.

Związki te są jednak być może znacznie luźniejsze niż by s
to mogło wydawać. Płakanie czy spluwanie na widok wodosp
dów nie jest wyrazem obyczajów, ale mód i manieryzmów tow
rzyskich i literackich, mających własny kalendarz. Od blisko st
lat literatura ucieka od wszelkiego mazgajstwa czy nawet del
katności uczuć. Autorzy prześcigają się w twardości słów i br
talności obrazów. W oczach naszych wyrósł i rozpowszechn
się styl męski, muskularny, basowy, ogorzały, z szeroką piers
pokrytą szczeciną odyńca. Od czasu, gdy Hemingway otrzym
nagrodę Nobla z rąk szwedzkiej akademii, styl ten stał się n
jako oficjalnym stylem naszych czasów. Na jego widok przysz
badacze poznawać będą od razu twory XX wieku.

Między pełnym westchnień i łez stylem końca XVIII wiek
i przesadnie muskularnym stylem naszych czasów istnieje jedn
bliskie powinowactwo. Łączy je nieumiar; oba są tylko odmi
nami sentymentalizmu. Jak bowiem określilibyśmy ten ostatn
Jest to brak proporcji, rozbieżność między wyrazem uczuć i m
tywującymi go okolicznościami. Określenie to pasuje równ
dobrze do sentymentalizmu łzawego jak i do jego odwrotnoś
I blady młodzieniec roniący niegdyś łzy na kolorowy frak i je
dzisiejszy potomek, goryl ziejący sprośne przekleństwa, są b
może obaj tylko marionetkami, wycinankami z żurnalów m
i powieści.

MALI ARTYŚCI

Mieszkam w starym domu stojącym nad brzegiem urwiska. 'rwisko spada ku rzece tarasami. Każdy z nich podparty jest ysokim murem, obwieszonym girlandami bluszczu. Po wąskich, :romych stopniach można zejść z jednego tarasu na drugi. Na ażdym znajduje się mały, opuszczony ogródek : parę krzewów, .ady trawnika i wiele chwastów. Na prawo i lewo widać po-obne, nieregularne tarasy schodzące stromo ku rzece. Na nie-tórych rosną drzewa : jabłonie, lipy, kasztany i jedna smukła ık świeca jodła, której szczyt szumi nad dachami stojących nad rwiskiem domów.

Do mego mieszkania należy taras trzeci od góry, który w tej hwili wydaje się mniej opuszczony od innych. Przez parę lat czyszczałem go z chwastów i kamieni, zasiewałem trawą, pole-ałem wodą. Deszcze spłukiwały ziemię, słońce spalało delikat-iejsze rośliny, tylko chwasty, odporne na wszystko, pleniły się alej. Codzienny upór zaczął jednak odnosić skutek. Znikły po-rzywy, wypłukane deszczem i wypalone słońcem łysiny traw-ika wypełniły się równą zielenią, odporniejsze kwiaty i krzewy parły się upałom i mrozom.

Nie ma nic samotniejszego od opuszczonego ogrodu. O kilka roków od hałaśliwej ulicy można w nim spotkać zwierzęta ajbardziej płochliwe, starannie unikające obecności człowieka. laz są to maleńkie myszy, brązowe i kosmate, wspinające się najpoważniejszymi minami po gałęziach bluszczu. Innym razem est to zielony wąż, samiczka szukająca właśnie stosownego iiejsca dla swej progenitury.

Wiosna w tym roku była wczesna. Śnieg stopniał w lutym. V słońcu szaro-żółty trawnik zaczął się powoli zielenić. Po-awiła się pierwsza stokrotka, a zaraz po niej zaczęły się wy-uwać z ziemi pędy krokusów, hiacyntów i tulipanów. Pierwsze tworzyły się kielichy krokusów żółtych, potem niebieskich, reszcie białych. Część trawnika zmieniła się w dywan stokrotek. V ciepłym już słońcu ukazał się cytrynowy motyl. Tegoż dnia ały się słyszeć pierwsze głosy ptaków.

Przedtem już znikł czyż, który towarzyszył mi w ogrodzie rzez całą zimę. Ptaki żyjące parami, jeżeli z początkiem zimy tracą swą towarzyszkę, zaczynają się nudzić, poszukują innego owarzystwa, chociażby ludzkiego, i dają się oswajać z wolnej topy. Poprzedniego roku w moim ogródku zimował kos, którego onę zjadły koty. Był to ptak wesoły, pełen figli, znający się a śpiewie i tańcu. Latem dopiero znikł, znalazłszy towarzyszkę innej okolicy. Ostatniej zimy w girlandach zielonego bluszczu jawił się samotny czyż, którego towarzyszkę rozszarpały przy-atujące z drugiego brzegu rzeki sowy. Kiedy schodziłem do grodu, szmer skrzydeł dawał się słyszeć nisko nad ziemią, czyż siadał na najbliższej gałęzi bluszczu, patrząc na mnie wym okrągłym, jak gdyby pytającym spojrzeniem. W mroźne ni jeżył swe czerwone, pod spodem szare pióra i jedną łapkę

chował do kieszeni. W jeden z takich dni usiadł mi na ręce, przestraszył się swojej śmiałości i sfrunął. Odtąd towarzys mi tylko, podfruwując nisko nad ziemią, z jednego końca ogr na drugi. Z pojawieniem się pierwszych kwiatów czyż stał mniej punktualny. Nie czekał mnie już na schodach, wołany pr latywał z daleka, szybko dysząc. Wreszcie znikł, znalazłszy docznie towarzyszkę gdzieś dalej, być może nawet za rze W ogrodzie zostały tylko kosy, odżywiające się czarnymi ja dami bluszczu.

Śpiew ptaków odzywa się zrazu nieśmiało; są to zaled próby głosu. Każdy z nich ma swoją niedługą piosenkę — jed dwie lub trzy — ale i tych nie umie od razu wyśpiewać. Słyc ich niepewne fragmenty, jak gdyby śpiewacy usiłowali so przypomnieć całość melodii. Po kilku dniach piosenka uzupeł się, głos z *piano* przechodzi w *forte*. Z małymi wariantami p senka powtarzana jest teraz uparcie, coraz pewniejsza, osiągaj wreszcie pozory wirtuozowskiej kaligrafii. Tempo jej przyśpies się i, zwłaszcza gdy kilku śpiewaków występuje jednocześ w wolnej konkurencji, natęża się do *presto fusioso*. Wirtuoziz uporczywe poszukiwanie doskonałości formy towarzyszy wido nie muzyce od jej najwcześniejszych początków.

Kiedy słucham kosów ćwiczących się do następnego ko certu, w stojącym za mną domu odbywają się inne przygo wania. W największym pokoju, gdzie stoi rokokowy piec z m lowanych kafli i dwa fortepiany, ustawione są rzędami sta świeckie fotele i krzesła. W pierwszym rzędzie stoi osiem n kich krzeseł i taburetów.

Raz po razu u drzwi odzywa się dzwonek, i salon wyp nia się publicznością. W pierwszym rzędzie zabierają miejs mali artyści, czterej chłopcy i cztery dziewczynki w wieku 7 do 9: dwie małe Japonki, dwoje Holendrów, dwoje wnuk znanego kompozytora angielskiego, jeden Libańczyk i jeden K nadyjczyk. Jedni uczą się od dwuch tygodni, inni od kilku m sięcy, inni wreszcie od dwuch lat.

Pani domu rozdaje obecnym programy i otwiera nuty pulpicie dźwięcznego Blüthnera; milknie gwar, popis zaczy się od najmłodszych. Piosenka ich jest niedługa i prosta, j piosenka kosów. Cała uwaga ich skupiona jest na słuchaniu w dobywanych z instrumentu dźwięków, na kształtowaniu ich, ciągłości rytmu. Słuchacze nie szczędzą oklasków. Istotnie wszyscy grają dziś trochę powyżej swoich możności. Pani do siada od czasu do czasu koło jednego z nich i gra z nim cztery ręce dla utrzymania zmysłu naśladowczego i tego, w psychologii laboratoryjnej nazywa się *Carpenter effect*.

Przy Blüthnerze zasiadają kolejno coraz to bardziej wyszk leni. Piosenka ich przedłuża się i komplikuje: słyszymy fr menty muzyki klasycznej, romantycznej i atonalnej, która mał artystom nie nastręcza najmniejszej trudności. W miarę odp

nia się mięśni rąk i ramion gra ich nabiera siły przekonania; lewej ręce tony stają się pełne i dźwięczne; rytm staje się warty. U ostatnich wreszcie zjawia się osobista kaligrafia frazy uzycznej, dzieło szkolonej wyobraźni.

W sprzyjających warunkach uzdolnienia artystyczne dzieci udzą się równie szybko jak wiosna. Wystarczy jednej iskry zaalającej wyobraźnię, chwili rozpoznania zdolności tkwiących palcach dotykających strun lub trzymających ołówek. Talenty łodzieży są jednak nietrwałe. Nie wytrzymują próby czasu, etknięcia z winem, tytoniem, automobilem i innymi rozrywkami orosłych. Kosy śpiewają też tylko przez kilka miesięcy, po któych przychodzi czas milczenia.

Nieliczni tylko z małych artystów będą grali jako dorośli. 'ych czekają inne próby. W miarę doświadczenia i znajomości óżnych wzorów tracić będą siłę przekonania, gra ich stanie się iepewna i blada, nie zostawiająca nic prócz niedosytu i znużeia. Dla innych źródłem zawodów będzie ich własna biegłość echniczna, łatwość z jaką potrafią skracać wahadło metronomu, ddalając się od słuchaczy. Nie mówię o wszystkich innych przyzynach, dla których dorośli rozstają się z muzyką. Z tych, którzy ozostaną jej wierni, najszczęśliwsi będą amatorzy, żyjący z inego zawodu.

Dla sztuki wszystko to jest oczywiście obojętne; ważny jest ylko ostatni dystylat, który wyszedł zwycięsko z wszystkich rób, oparł się wszystkim pokusom, modom i łatwiznom. Hoacy już pisał, że to co nie jest najlepsze nie ma żadnej wartości. Ja szczęście dla nich, mali artyści i śpiewające kosy nie wiezą nic o tych tragicznych sprzecznościach wewnętrznych sztuki, jej kapryśnej rozrzutności. Jak daleko jednak sięga ta chronna ignorancja? Obserwując ich dziecinne twarze wydaje ię, że można już na nich, jak na portretach Van Dycka, dotrzec niejasne przeczucie dramatu i smutku.

Paweł HOSTOWIEC

Wiersze

BÓL

Jestem kłębkiem myśli
splątanym bardzo,
myśli bez początku,
z których nikt
nie zrobi swetra na drutach czasu
ani nawet rękawiczki
na dziecięcą dłoń.

Jestem kłębkiem bólu,
z którego nie narodzi się
moje marzenie,
bo marzenia zostały daleko
w ziemi, której mnie zabrano,
dając wzamian
ten kłębek myśli
i ten kłębek bólu,
z którego starczy rozpaczy
na wszystkie dziecięce dłonie.

J. RADZYMIŃS

LEŻĄC NA WZNAK NAD BRZEGIEM LAKE MEPHREMMAGOG

Świat jest wielki: jak skrzydła rozpięte
skrzydła chmur od wschodu do zachodu,
chmur przez niebo płynących jak czas:
wczoraj dzisiaj jutro, dziś i dziś i dziś:
jak ostu gwiazda: płomieni krąg
i chmur pióra lodowe ułożone
lotki świata co się wznosi w niebo
pióra szklane kryształy szlachetne jak liść
zakończony kolcem, liść cięty w trójkąty
kryształ liść zatopiony w niebie jak w dniu:
wczoraj dziś zawsze zawsze skrzydło wyciągnięte
poprzez przestrzeń pędzi, skrzydło zawieszone w ciszy
świat rozpięty na dniu jak orzeł
wielki świat jak cisza niebios poza kratą
obłoków
cisza świerka zastygłego nad wodą
że tak się w dwa nieba jak ostrze ciemne wbija
skrzydła wyciąga, pióra cięte w trójkąty,
zastygły czas wczoraj dziś jutro zawsze:
pióra białe i pióra czarne, pióra białe i czarne
plotą wiążą zatrzymują niebo w locie
wielkość w kulę związują błękitną: nici białe
nici ciemne jak las, ostrza rżnięte w trójkąty.

Wielki jest świat: ptak żar-ptak, ptak-miłujący,
skrzydła rozpięte wznoszą dzień przez światła głębię
skrzydła szklane skrzydła czarne wznoszą — hen!
A wielki jest ten lot, lot nieskończony, lot tęskny,
jak czas: wczoraj dzisiaj jutro jutro —
nie zawsze: aż się skrzydła roztopią w niebie
w toni niezmąconej w toni błękitnej
w świecie większym niż czas.

Janusz IHNATOWICZ

EROTYK

trzy noce uwite z twego ciała
cieplejsze są niż wytarta kołdra samotności
trzy noce z uścisku twoich ramion
trzy noce jasne białością twych piersi

życie mierzę na trwanie twych pieszczot
trzy noce twoje trwał urlop od śmierci
ułaskawiony skazaniec piłem twe usta
trzy wieki mieszkałem w pałacu twych ud

moja w cichej przystani snu
moja na porannej fali przebudzenia
płynęłaś ze mną daleko od drapieżnej ziemi
na trzy noce ciałem wstąpiliśmy w niebo

Bolesław TABORS
Richmond. 5.10.5

GRANICA

Pomijam
brzuchaczy objedzonych
chudzielców głodnych,
prezesów rosnących na drożdżach uchwał,
koty chodzące tylko po obwodzie,
utalentowanych portierów kolejki podziemnej,
wieszczów z fabryki biskwitów,
redaktorów rozpartych na kulawych krzesłach,
mistrzów wtłaczających solitery do mikrofonu,
megalomanów w mgiełce dobroczynności,
aktorów olśnionych krajobrazami własnego stylu,
felietonistów straszących na dzwonnicy,
wariatów kręcących globusem w poszukiwaniu rym
szperaczy w rupieciarniach pamięci
dobijających się do wczorajszych bram,
spóźnionych na księżycową rakietę,
okutych w powiciu,
chorujących na patetyczną biegunkę,
cofających się w infantylizm;
niezależnych,
nieprzejednanych,
niepodległych,
zdradzonych,
umarłych,
szukających ze świeczką po słownikach
życia:
pieniądza,
sławy,
nieporozumienia;

władców i niewolników,
ojców i bękartów,
kochanków i morderców,
gospodarzy i sublokatorów,
konduktorów i jadących na gapę,
kapłanów i cielęta ofiarne
tak zwanej
literatury.

[M]yślę o
słowie, które zapalić się może nawet w czaszce idioty,
wierszu, co tkwi jak flaga nad grobem zasypanego lawiną,
owocu drzewa radosnego ocieniającego dzieci, mędrców i
[wojowników,
liściu czekającym wichury,
ptaku z lękiem tęskniącym do ciepła ludzkiej dłoni,
iskrze czyniącej z wymiany świadczeń — miłość,
łódce zbłąkanej w stepach akermańskich,
łabędziu purpurowym,
gałęzi usychającej nad nędzą nocy,
kwiecie na pniu fosforyzującym ze starości,
gejzerze niedoświadczenia,
kropli gorzkiego poznania,
chaosie linii nie umiejących zbudować trójkąta,
błysku szpady zabijającej jastrzębia na dnie oceanu;
olbrzymiej i kruchej,
malutkiej i nieogarnionej
próbie odlotu
w przyjaźń
i porozumienie.

[W]iem, że
topór powali drzewo nie drasnąwszy cierpkiego
aromatu żywicy
i tylko głupcy próbują położyć ręce na gardle myśli
żyjącej z nielegalnego przekraczania granic.

Czesław DOBEK

ETYKA POBIEŻNEGO SPOJRZENIA

Drzewa w deszczu
a jeszcze dawno deszcz
już zaprzestał.

Na westchnieniu się wspieram,
podaj mi Klaro okno:

drzewa w pokrowcach deszczu.

Ludzie chodzą poziomo,
Klaro zawieś firankę;

deszczu jeszcze nie mogę
gościć w moim fartuszku.

Mokry powrót Karola
ważysz w dłoniach przytomnych;

mętność jego spojrzenia
spieszę ująć w miseczkę.

Zaciek włosów na czole,
wpuść je Klaro do sieni:

to niedziela nawisa,
to niedzisa nawiela.

Imię nic ci nie powie
w niskim oknie jesieni.

Jesteśmy królami karo;
Karol, dżdży i niedziela.

Jerzy S. SI
Hampste

STUDIUM W ODCIENIACH BRUNATNYCH

Do mojego pokoju,
w mój niepokój wniosłaś,
do domu wysokiego
w niski poniedziałek,
liść trudny do nazwania
z wyniosłego drzewa
orgazm wody leniwej
szóstej pory ziemi,

i na progu złożyłaś,
progu niewysokim,
wysokim jednak bardzo
kiedy przezeń padam,
więc gorzki smak upadku
i zapach niejasnych liści tamaryndusa

i fuksji zwiąż razem
w bukoliki najbielsze
warg moich na progu.

Wyczułem go, nazywam
przy twoim obcasie,
który jest klawiaturą
wysmukłej ulicy,
gdzie nie płacze natura,
nie śmieją się wiatry,
ale dzieci zielone,
puszyste zwierzęta
mają głowy szerokie
jak młode wachlarze,
więc rozwiń je nademną,
niech usnę w ich cieniu.

Ślad twej stopy pozostał
w szerokim napięciu,
pięciu ramion gwieździstych,
więc wyłem w kominie,
w spięciu słów niebotycznych
oko
kra i
waga
chciałem widzieć ulicę
w której Shao zgasł.

Nie byłoby od rzeczy
napisać wspomnienie
o chińczyku niedużym,
składany scyzoryk w mroku błądzi,
i skośne uszy brną w mgle,
gdzie
dwa uśmiechy niskie
wziął w jednym ukłonie,
potem czapkę okrągłą,
gdy paru cowboyi
przedtem oczy, a potem
wybrawszy z powieki
dwa dolary włożyli,
jak w dwa prześcieradła
kładą Żydzi umarłych
na migrenę Ojców,
pod niską passiflorą
w tęsknej Palestynie,

więc na czole mi rozkręć
furkoczące bąki,
dwoje dzieci,

monety nieprzeciętnej pani,
która dyszy do Boga
tuż za moją ścianą,
potem wspina się w niebo
po tyczkach fasoli.

A dyszące odgarnie
jak puszyste pszczoły Pan Bóg
cerkiew zamyka
w garażu skowyczy
pies na tłuszcz zarzynany
dla gruźlika ochry,
który przecież ma oczy
z wody i kamienia.

Pokój z liściem i w liściach
z progiem niewysokim.

Jak alkohol jedyny,
w zmierzchu co napływa
i w rękach, twarzy, w nogach
warzy miody złote,
w metafizykę życia.
Dwa plus trzy jest siedem.

Jerzy S. SI
Hampste

OPOWIEŚĆ PUSTYNNA
(Fragmenty)

***

Jaszczurka drga w rozpędzie dobiega do kępy traw
Szelest to zryw powieki źrenice szukają jej drogi w powiet
Bo odtąd jest cisza i niebo ogromne jak wnętrze błękitnej m
Huczy w niej nasze serce nasz oddech nasz krok nieruchom
Jaszczurka potwarza ziemię a my nie wiemy jak powtórzyć
[szybkość świa
Ogromni samotni z otwartą gębą w podziwie zastygłym
[oddechu nam br

Kraj płaski gdzie jest najwięcej obłoków więc zwie się Tickal
Kraj płytki równina równina równina wąziutki skrawek zi
Nie ma palm nie ma traw nie ma drzew jest jedno uschni
[drze

iiałe sypiące próchnem przeklina wieczność słońca sterczy
[ostra pięść
: za nią maleńki cień kropelka linia gdzie pióra martwych
[ptaków
Czekają na wiatr co da im życie przypomni lot powróci lot
[i szybkość
iamotne drzewo uschnięte za chwilę zapadnie się w ziemię jasną
nikt już nie odróżni chęci tryskania w górę buntu od szerokiej
[śmierci ziemi
Pozostaniemy my pod kulą światła z oczyma uszami we wszystkich stronach świata
Odprowadzając obłoki po niebie szeptem wyschniętych warg
[modlitwą przekleństwem
Iż przyjdzie mrok i noc bez słów bez obietnic i będzie ciemność
chłód.

***

tak zgięci ustami wodziliśmy po łożyskach trupich rzek
[rzek-zjaw
Żadna łza nie napełni ich szumiącą wodą wodą z ostatnich lat
V szczelinach otwartych ran świeci nie nasz metal nie nasz
[smutek
Szybciej coraz głębsza jest dolina suchych potoków już
Dno martwego jeziora i my w nim na dnie rozpaczy
Wśród okurzonych muszli szkieletów zwierząt i ptaków jest
[dźwięk
To kamień rozpada się na dwa kamienie dwa kamienne dźwięki
I potem drętwieje cisza i gdyby nie jęk kamieni świst kory
Byłaby pustka prawdziwa nic śmierć słońca na mapie wędrownych jezior
Więc usta szepczą słowa a my nie wiemy jakie do kogo
Słyszymy śpiewy wody skaczą srebrzyste ryby w oczach jest
[mokra radość
O tym myślimy śledząc początek i koniec rzek ludzi i zwierząt
Na dnie papierowych jezior wieczorem przy elektrycznej pełni
[obcych miast.

Zdzisław MAREK

Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim

Korzystając z pobytu w Paryżu Stefana Kisielewskiego czyli Kisiela z krakowskiego ,,Tygodnika Powszechnego", publicysty, literata, muzyka i posła na sejm w jednej osobie, Redakcja ,,Kultury" zadała mu szereg pytań, na które obszernie nam odpowiedział. W myśl zasady ,,Verba volant, scripta manent" *publikujemy ów wywiad za zgodą i z autoryzacją naszego rozmówcy.*

Redaktor ,,Kultury" : — Interesuje nas bardzo, co sądzi Pan o perspektywach dalszej demokratyzacji, ewentualnie o odwrocie od demokratyzacji w Polsce ?

Kisielewski : — Wiele jest na świecie rzeczy względnych i wieloznacznych, przede wszystkim zaś należą do nich słowa, które w różnych częściach kuli ziemskiej i w różnych ustach mają to samo brzmienie a najzupełniej inne znaczenie. To właśnie jest ze słowem ,,demokracja" i ,,demokratyzacja" : na Wschodzie i na Zachodzie znaczą one absolutnie co innego. Gdy rozmawiam tutaj z ludźmi z Emigracji (a czynię to przez całe noce — są to właśnie owe ,,długie nocne rodaków rozmowy"), uderza mnie niezrozumienie faktu, że żyjemy w dwóch różnych światach i wymiarach, że tym samym słowom odpowiada u nas całkowicie odmienna treść niż tutaj i że chcąc zrozumieć nasze zagadnienia polityczne trzeba najpierw nauczyć się znaczenia naszych słów.

Redaktor ,,Kultury" : — Czy dla uściślenia tej sprawy mógłby Pan podać jakieś konkretne przykłady odmiennego znaczenia tych samych słów ,,u was" i ,,u nas" ?

Kisielewski : — Oczywiście, na przykład : rząd i parlament Nasz rząd nie jest wcale rządem, nasz parlament czyli Sejm, d którego mam przyjemność należeć, nie jest bynajmniej parlamen tem w zachodnim sensie tego słowa. Rzeczywistym, choć ni wybieranym przez całe społeczeństwo (podobnie jak Konwent z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej) parlamentem Polski jes Komitet Centralny PZPR, gdzie naprawdę ostro ścierają si różne, decydujące o formach naszego życia poglądy i koncepcje Rzeczywistym zaś rządem Polski, wyłonionym w tajnym głoso waniu przez Komitet Centralny, jest Biuro Polityczne, złożon z dziewięciu członków. Rząd natomiast jest ciałem czysto wy konawczym, technicznym, złączonym zresztą ,,unią personalną" (Cyrankiewicz) z Biurem Politycznym. Sejm jest w najlepszyn wypadku ciałem doradczym czy opiniodawczym, zaś Rada Pań stwa to odpowiednik senatu czy angielskiej Izby Lordów. Te system rządzenia nie uległ i prawdopodobnie w obecnym układzi stosunków międzynarodowych nie ulegnie u nas zmianie. Ta więc mówiąc o demokratyzacji nie interpretujmy tego słow w tradycyjnym, zachodnim sensie jako zmiany zasadniczych form życia politycznego. Demokratyzacja u nas to znaczy : na ile rzą dzący krajem marksiści mają zamiar udzielić autonomicznyc swobód społeczeństwu, to jest jego poszczególnym komórkom czy to administracyjnym jak Rady Narodowe, czy też produk cyjnym jak większe czy mniejsze zakłady pracy (z gospodarstwa mi chłopskimi włącznie), a także całemu narodowi, prze ewentualną zmianę tych czy innych ogólnych przepisów praw nych.

Redaktor ,,Kultury" : — A więc, przyjmując teraz pańsk interpretację tego słowa, ponawiam pytanie na temat perspekty demokratyzacji w dzisiejszej Polsce.

Kisielewski : — ,,Październik" dokonał niewątpliwie bardz wiele jeśli chodzi o prawa i swobody obywatelskie. Przed wszystkim zlikwidowano polityczną wszechwładzę Urzędu Be pieczeństwa a kilku najbardziej zwyrodniałych jego satrapów p ciągnięto do odpowiedzialności karnej. Po drugie zlikwidowan system donosicielstwa i permanentnego szantażu w zakłada pracy, kasując dyktatorskie stanowisko ,,personalnych". Wie niewinnych ludzi wypuszczono z więzień a także wszczęto wob wielu skazanych w poprzednim okresie osób postępowanie reh bilitacyjne (popełniono zresztą przy tym sporo nieuniknionyc w tej sytuacji błędów zarówno in plus jak i in minus). Anul wano wiele represji gospodarczych (tak zwane ,,domiary"), st sowanych wobec drobnych, prywatnych przedsiębiorców i zwr cono wiele przejętych przez państwo czy też zamkniętych zakł dów pracy. Wytworzono, mimo wszelkich niedoskonałości, je nak jakąś atmosferę jako tako praworządną, skrzywdzony czł wiek otrzymał drogę dochodzenia swoich krzywd, czemu sprzy znacznie większa niż w poprzednim okresie wolność prasy i sł

wa. O problemach kultury nie potrzebuję chyba wiele mówić: polski świat kulturalno-artystyczny potrafił zerwać z idiotyzmami przymusowo stosowanej teorii tak zwanego socrealizmu w sztuce na długo przed Październikiem.

Najskromniej stosunkowo przedstawiają się demokratyzujące osiągnięcia Października w dziedzinie społeczno-ekonomicznej. Tu wymienić należy przede wszystkim kwestię rolną, to jest dopuszczenie do spontanicznej, oddolnej likwidacji 80% spółdzielni produkcyjnych oraz części Państwowych Gospodarstw Rolnych (likwidacji zresztą niejednokrotnie zbyt gwałtownej i dewastacyjnej). Drugą zdobyczą było utworzenie Rad Robotniczych, niestety jak dotąd raczej „fasadowych", bo nie wyposażonych w żadne możliwości samodzielnego działania gospodarczego. Inne zamierzone reformy ekonomiczne Października, jak decentralizacja planowania i zarządzania przemysłem, jak zmiana systemu budżetowania, jak opracowanie jednolitego cennika przemysłowego, opartego na jakimś uchwytnym i sprawdzalnym prawie wartości i na realnych bodźcach ekonomicznych — pozostały jak dotąd w sferze słów. Łączy się to niewątpliwie z faktem, że Październik dla takich czy innych przyczyn politycznych pozostawił w tej dziedzinie na kluczowych stanowiskach, zarówno jeśli chodzi o Warszawę jak i o teren, ogromną większość ludzi z poprzedniego okresu. Usunięto na przykład bardzo przecież uzdolnionego Minca a pozostawiono całe falangi wiceministrów czy dyrektorów przedsiębiorstw, niezdolnych do przestawienia się na nowy tryb ekonomicznego myślenia. Nie dopuszczono do przemysłu ludzi świeżych, zdolnych, palących się do pracy, najwyżej najwybitniejszych z nich zgrupowano w pozbawionej praktycznego znaczenia Radzie Ekonomicznej. To wielka szkoda i błąd.

Redaktor „Kultury": — A jak należy oceniać szerzące się u nas ostatnio pogłoski o zahamowaniu procesu demokratyzacji w Polsce a nawet o całkowitym, generalnym odwrocie od demokratyzacji?

Kisielewski: — Proszę Pana, ja na dalszą metę jestem optymistą: zawsze nim byłem i zapewne pozostanę nim nawet leżąc na katafalku. Oczywiście: mogą być różne wahnięcia w przód i w tył, proces jest skomplikowany i złożony, sądzę jednak, że nie ma już powrotu do stalinizmu ani w Polsce ani w Rosji — a stanowimy przecież „naczynia połączone". Dowodem na stan rzeczy w Związku Radzieckim są zarówno decentralistyczne reformy zarządzania przemysłem, referowane ostatnio przez Chruszczowa jak i nastroje młodszego i młodego pokolenia radzieckiej inteligencji. W sumie myślę, że proces demokratyzacji jest nieodwracalny, choć może przebiegać wśród walk i oporów a rozłożyć się na długie lata. Jeśli chodzi o Polskę, bardzo się obawiam jednego, że mianowicie nasze kolosalne trudności gospodarcze mogą ten proces mocno zahamować.

Redaktor „Kultury": — Jak słychać, należy Pan w tej dzi dzinie, wbrew Pana ogólnemu optymizmowi, do skrajnych pes mistów?

Kisielewski: — Raczej chyba do realistów. Sytuacja je taka. Mamy ciężki przemysł, bardzo deficytowy, bo oparty n przestarzałych wzorach technicznych i zależny całkowicie od im portowanych surowców. Wygląda to tak paradoksalnie, że i więcej w tej dziedzinie produkujemy, tym większy jest nasz defi cyt — a zrezygnować z ciężkiego przemysłu już nie możemy i n chcemy: ogólne założenie od wsi do miasta, od rolnictwa d fabryki było przecież słuszne, zgodne z dialektyką rozwoju świa ta — z tej drogi nie ma odwrotu. Mamy dalej niedoinwestowane przestarzałe technicznie, zmniejszające przez to swą wydajność górnictwo węglowe, mamy rolnictwo, którego uzdrowienie mimo dobrego początku wymaga długich lat, mamy zwiększający si in minus ujemny bilans płatniczy z zagranicą oraz malejącą mas towarową na rynku, mamy wreszcie nierozwiązalną, wręcz tra giczną kwestię mieszkaniowo-remontową. Obliczam, że na mo dernizację ciężkiego przemysłu, na doinwestowanie górnictwa na stworzenie i rozbudowę nowych gałęzi przemysłu (prze twórstwo węgla, przetwory rolne), na wszczęcie wielkiego ruch budowlanego, potrzeba nam kredytów na ogólną sumę 3 (trzech miliardów dolarów. Niektórzy nasi ekonomiści w Sejmie uzna tę sumę za mrzonkę, ja myślę, że jest ona murowana, to znaczy że tyle właśnie a nie mniej nam potrzeba. Natomiast rzeczy wiście mrzonką może być możliwość jej otrzymania — to s przecież dwie różne sprawy. Nie przesądzam wcale, kto ma da tę pożyczkę: Wschód czy Zachód, w jakiej ma ją dać formie i n ile lat ją rozłożyć. Słyszymy jednak, że nawet rokowani o pierwszy etap, o owe skromne amerykańskie 130 milionów, id nader opornie (a ileż to miliardów amerykańskich łyknęły Niem cy Zachodnie, których przemysł wypiera dziś łaskawego ofiaro dawcę z jego własnych rynków zbytu). Jest rzeczą jasną, że be kredytu w tych rozmiarach nie zdołamy oprzeć naszej gospo darki na jakimś obiektywnym prawie wartości (wobec skompl kowanych umów eksportowo-importowych ze Wschodem i ros nących stosunków gospodarczych z Zachodem jest to bardz trudne). Jeśli zaś tego nie zrobimy, musimy wrócić do skrajneg interwencjonizmu państwowego, opartego na przymusie. A t byłoby na pewno na drodze demokratyzacji potężnym krokie wstecz. Trzeciego wyjścia nie widzę.

Redaktor „Kultury": — Musi Pan jednak zdać sobie spra wę z tego, że przeciwko udzielaniu Polsce pomocy są w Ameryc liczne i nie bezpodstawne opory. Przecież chodzi bądź co bąd o pomoc dla państwa komunistycznego, będącego w Blok Wschodnim. Poza tym stosunki parlamentarno-polityczne Ameryce mają swoje specyficzne właściwości. Wasi, pożal s Boże, dyplomaci absolutnie się w tym nie orientują, robia

co krok drażniące gaffy. Wreszcie bardzo Polsce szkodzi sprawa antysemityzmu.

Kisielewski : — Wszystkie te rzeczy doskonale rozumiem. Rzeczywiście wysyłaliśmy i wysyłamy na Zachód ludzi nieodpowiednich — i w tej dziedzinie Październik nie zdobył się, niestety, na zasadnicze posunięcia personalne. Jeśli chodzi o antysemityzm, to podkreślić trzeba, że źródła jego nie znajdują się w Polsce i że nastroje antysemickie u nas bynajmniej nie mają tendencji wzrastających. Antysemityzm jest rzeczą haniebną i po zbrodniach hitleryzmu czymś moralnie wręcz niepojętym. Z resztkami jego prowadzona jest w Polsce walka, w której zgodnie uczestniczą Państwo i Kościół.

Ale teraz sprawa najważniejsza : owa odmowa pomocy państwu komunistycznemu. Miły Boże ! Mnie przecież nie podejrzewa Pan chyba o komunizm a mimo to mówię Panu otwarcie : jesteśmy w Bloku Wschodnim i będziemy w nim, bo to wynika nie tylko z naszego położenia geopolitycznego, lecz po prostu z naturalnego kierunku rozwoju historii. Nie można być nogami na Wschodzie a głową na Zachodzie : mimo naszej kultury łacińskiej należymy do Wschodu. Rozumiał tę niepopularną zresztą w Polsce zasadę Dmowski, gdy przed pierwszą wojną światową nie wahał się głosić tezy o konieczności zjednoczenia Polski ,,pod berłem carów''. Z własnej i nieprzymuszonej woli deklaruję Panu, że sojusz Polski ze Związkiem Radzieckim, pomimo wszelkich naszych oczywistych a tragicznych urazów na tym punkcie, uważam za główny aksjomat polskiej racji stanu : chyba szaleniec głosiłby co innego. Jesteśmy na Wschodzie — to fakt bezsporny i obiektywny. Jeśli jednak stosunki między Wschodem a Zachodem nie mają przybierać postaci wojny ,,zimnej'' ani ,,ciepłej'', jeśli ma wzrastać współpraca i zrozumienie, to Polska po październikowa może w tym odegrać olbrzymią, bardzo dla obu stron pozytywną rolę. Toteż traktowanie tej Polski jako wroga jest wielkim błędem Zachodu — zresztą nie pierwszym i zapewne nie ostatnim...

Redaktor ,,Kultury'' : — No, nie przesadzajmy, nikt was tak znowu nie traktuje jako wroga : są po prostu i takie tendencje, co jeszcze o niczym nie świadczy. Ostatecznie Zachód ma ustrój parlamentarny ,,dawnego'' jak Pan to mówi typu. Osobiście to ja będę tym razem optymistą, sądzę bowiem że owa pożyczka dojdzie wreszcie do skutku i że, choć nie tak wielka, będzie jednak pierwszym a bardzo doniosłym etapem zbliżenia i pomocy ekonomicznej. Na marginesie pańskich pesymistycznych uwag o polskiej gospodarce zauważyć chciałem jeszcze, że wy, czyli Polska Ludowa, nie wyzyskujecie swoich możliwości również w samym Bloku Wschodnim : podobno nawet z rynków chińskich wypierają was Czesi. No a już ta polska propaganda zagraniczna...

Kisielewski : — Przepraszam, pod tym względem nie ma między nami różnic. Tak zwany ,,szlag'' mnie trafia, gdy o niej myślę.

Redaktor ,,Kultury'' : — Ale wróćmy trochę do spraw wewnętrzno-krajowych. Jak ocenia Pan rolę waszego katolickiego klubu ,,Znak'' w nowym Sejmie?

Kisielewski : — Oceniam ją jako bardzo trudną, niewdzięczną i nieefektowną, ale ważną, wręcz konieczną. Weszliśmy do Sejmu, niejako symbolicznie, w małej liczbie ośmiu (obecnie) posłów, choć reprezentujemy olbrzymi odłam społeczeństwa, o czym świadczy na przykład fakt, że wszyscy kandydaci z grupy ,,Tygodnika Powszechnego'' dostali w swych okręgach absolutnie największą ilość głosów (Stomma w Krakowie, Zawieyski w Warszawie, Makarczyk w Lublinie, Kołakowski w Częstochowie, ja we Wrocławiu). Nie jesteśmy ani komunistami ani socjalistami, nie bierzemy udziału w rządzeniu Polską, nie my stworzyliśmy obecną polską rzeczywistość a jednak wchodząc do Sejmu bierzemy w jakimś sensie za nią odpowiedzialność. Przyświeca nam dobro narodu i realizm. Nie mamy zamiaru, jak to wielokrotnie podkreślał Stanisław Stomma, przewodniczący naszego klubu, uprawiać demagogicznej opozycji i dyskontować dla siebie wszelkie błędy czy niepopularne pociągnięcia rządu. Weszliśmy aby w konkretnej sytuacji osiągać rzeczy konkretne. Zadanie nasze między innymi to walczyć o wolność myśli i sumienia, myśli zarówno religijnej jak i świeckiej, to wnieść do Sejmu ton inny, nie komunistyczny lecz mieszczący się w ramach ustroju, to wyrazić opinię i potrzeby narodu, wyrażać je wobec Partii, częstokroć zupełnie od tej opinii odciętej. W pracy naszej skazani będziemy prawdopodobnie na niepopularność : jako realiści będziemy częstokroć mówić rzeczy drażniące dla społeczeństwa; jako katolicy czy w ogóle nie socjaliści będziemy też mówić rzeczy drażniące dla rządzącej Partii. Na to nie ma rady : być może, że stracimy w opinii nasze ,,dobre nazwiska'' z poprzedniego okresu (jak się zdaje straciliśmy je już w opinii emigracyjnego ,,Orła Białego'', co nas zresztą specjalnie nie martwi). Powtarzam : rola nasza jest trudna zarówno wobec Partii jak i społeczeństwa. Utrudnia ją jeszcze fakt, że wychowana na stalinowskich metodach prasa polska nie podaje stenogramów przemówień sejmowych — tak było na przykład z moim przemówieniem budżetowym, które zostało przez wszystkie pisma streszczone w paru nieprawdziwych słowach. Mimo jednak wszelkich ,,niewygód'' naszego stanowiska, mimo to, że prawdopodobnie nie przysporzy nam ono u nikogo laurów, uważamy naszą pracę za pożyteczną dla narodu. Oto wszystko.

Redaktor ,,Kultury'' : — Hm. Widzę tu dużo realizmu politycznego, ale także jakiś minimalizm. Zadam Panu jedno pytanie : A więc wzięliście na siebie rolę, którą w minionym okresie odgrywał ,,Pax''?

Kisielewski : — Pytanie na pozór kłopotliwe, ale tylko na pozór. W ogóle jeśli chodzi o „Pax", to jest to sprawa bardzo specjalna, skomplikowana i ciekawa, o której na ogół bardzo płytko pisano, zarówno w kraju jak i na emigracji. Być może, że kiedyś spróbuję zająć się tym tematem w inny sposób. Na razie chciałbym krótko zdefiniować zasadniczą *ideologiczną* (nie mówiąc o różnicy metod, okresu, ludzi itp.) rozbieżność między nami a „Paxem". Otóż my nie afirmujemy, nie pochwalamy polskiej rzeczywistości, lecz traktujemy ją jako coś danego, z czym jako realiści musimy się liczyć, w czym będziemy żyć, co trzeba sprawiedliwie i obiektywnie oceniać. „Pax" natomiast z góry afirmował tę rzeczywistość i w tym celu konstruował jakąś specyficzną ideologię, łączącą komunizm z katolicyzmem. Był to oczywiście nonsens, przeciw któremu protestowali zarówno marksiści jak i katolicy (i to przez usta papieża !). Jednocześnie ta afirmacja wymagała permanentnego mówienia nieprawdy o polskim życiu. Stwierdzić jednak trzeba, że była to postawa, dla niejednego młodego człowieka z Warszawy, zwłaszcza żyjącego dzięki „Paxowi" w dosyć niezależnych warunkach, nader atrakcyjna. Nasza postawa natomiast jest kłopotliwa i ascetyczna, wymaga na pozór pójścia przeciw własnej ideologii a za koniecznościami, wynikającymi z sytuacji, wymaga wyrzeczeń i nie efektarnego działania. Jest „na oko" minimalistyczna i kompromisowa, domaga się życia w permanentnym konflikcie wewnętrznym a nie gwarantuje sukcesów — najwyżej zachowanie status quo i to nie wiadomo na jak długo. Tego rodzaju postawa nie może być w Polsce popularna : jest za trudna do zdefiniowania i zbyt „sucha". Niemniej wydaje mi się ona czysta ideologicznie i moralnie a zarazem jedynie słuszna z punktu widzenia polskiej racji stanu. Zapewne niewielu ludzi może ją w pełni praktykować, dlatego też nie mamy zamiaru tworzyć żadnej masowej katolickiej partii politycznej, kontentując się poparciem, jakiego naszym poczynaniom w Sejmie udzielił prymas Wyszyński.

Redaktor „Kultury" : — O ile dobrze Pana zrozumiałem, twierdzi Pan, że „Pax" zawarł z marksizmem kompromis ideologiczny i filozoficzny a wy — wyłącznie polityczny...

Kisielewski : — Oczywiście. Doskonale Pan to zdefiniował !

Redaktor „Kultury" : — Wreszcie ostatnie pytanie „pro domo sua". Jaki jest rzeczywisty stosunek kraju do emigracji, jakie są w tej dziedzinie perspektywy rozwojowe. Przy okazji : jak jest w Polsce przyjmowana „Kultura" ?

Kisielewski : — W sprawie emigracji zaczął ostatnio u nas panować jakiś zdrowy rozsądek. Marksiści polscy przestali wreszcie twierdzić, że emigrant wojenny powinien za wszelką cenę wracać do kraju, a kto nie wraca, ten jest zdrajcą, wyrodkiem i szpiegiem. Hasło powrotu, wobec emigracji zadomowio-

nej za granicą i „urządzonej” materialnie było szaleństwem. Niech Pan zauważy, że przyrost naturalny w Polsce wynosi rocznie 400.000 osób, że w roku 1957 przyjmujemy 300.000 repatriantów ze Związku Radzieckiego, a na to wszystko budujemy w tym roku zaledwie 200.000 nowych izb mieszkalnych (nie mówiąc już o tych, które się zawalą — a takich nie brakuje). Te cyfry chyba coś znaczą : dowodzą one jasno, że masowy powrót emigracji zachodniej do kraju byłby gospodarczym absurdem. Uważam natomiast, że powinny istnieć dwie Polski : krajowa i emigracyjna, ściśle ze sobą współpracujące a nie obrzucające się nawzajem mianem zdrajców czy sprzedawczyków. Aby mogły one ze sobą współpracować, należy znieść między nimi wszelkie bariery w rodzaju zakazów drukowania w kraju itp. Z drugiej strony powinny być umożliwione masowe i częste wizyty w Polsce naszych rodaków z emigracji. W tej chwili, o ile wiem, nasze władze nie stawiają, jeśli chodzi o tę sprawę, żadnych przeszkód. Słyszę natomiast, że Polacy z zagranicy, posiadający tak zwany paszport bezpaństwowy boją się przyjeżdżać do kraju, gdyż państwo, w którym mieszkają, może im po powrocie odebrać ten paszport (jest to tak zwana utrata praw uchodźcy politycznego). Sprawę tę należałoby jak najprędzej uregulować. Jak ? — tego nie wiem : to już wasza sprawa. W każdym razie Polacy z kraju i z zagranicy powinni żyć ze sobą jak najbliżej — to chyba jasne.

Redaktor „Kultury” : — A jak wygląda w kraju sprawa naszego pisma ?

Kisielewski : — Sądzę, że wyjątkowo dobrze. Jest to jedyne pismo emigracyjne, które, mimo zakazów i konfiskat, jakoś docierało do polskiej opinii — wielka w tym zasługa waszej pracy i wytrwałości. Uważam „Kulturę” za najlepsze i najciekawsze pismo, wychodzące na świecie w polskim języku. Mimo to mam oczywiście swoje zastrzeżenia, zwłaszcza czasami wobec linii politycznej. Mieroszewski na przykład to świetny publicysta, ale nie rozumiem, dlaczego z uporem przepowiada jakąś „neutralizację” krajów Europy Wschodniej, co ja uważam za mrzonkę...

Redaktor „Kultury” : — To nie jest żadna mrzonka, to jedyne wyjście z sytuacji, wyjście lansowane przez Zachód, ale nie odrzucane przez Wschód.

Kisielewski : — Pozwoli Pan jednak, że ja to między bajki włożę...

Redaktor „Kultury” : — Ależ proszę o argumenty !

Kisielewski : — Nie mamy już na to czasu, więc zrobię jak Franc Fiszer, który dawał słowo honoru, że Pana Boga nie ma. Daję Panu słowo honoru, że tej „neutralnej strefy” nie będzie, a jeśli by nawet była, to wcale się to dla Polski dobrze nie skończy.

Redaktor „Kultury” : — No, no. Może Pan stracić honor.

Kisielewski : — To jest zawsze możliwe, zwłaszcza w polityce. Mam też wobec was pewien zarzut personalny : że drukujecie Józefa Mackiewicza, który zarówno ze względu na swą okupacyjną przeszłość jak i na swe sprzeczne z polską racją stanu poglądy, moim zdaniem, drukowany u was być nie powinien. Poza tym pismo wasze jest świetne, jest zarówno uniwersalistyczne jak i polskie, o bardzo doniosłym znaczeniu zwłaszcza dla współczesnej historii Polski. Można się z nim nie zgadzać — nie sposób go nie czytać.

Redaktor „Kultury” : — Ale obecnie znów mam alarmy, że „Kultura” jest przez polską pocztę konfiskowana, że nie dochodzi do adresatów w Kraju.

Kisielewski : — Wyjechałem z Polski przed paru tygodniami, więc nie wiem, jak tam ta sprawa teraz wygląda. Przed wyjazdem rozmawialiśmy wraz z Zawieyskim z ministrem łączności Rabanowskim, który stwierdził, że „Kultura” jest z zasadzie dozwolona, ale że przechwytują ją niżsi funkcjonariusze, czyli tak zwany „aparat”. Po powrocie do Polski dołożę wszelkich starań, aby tę sprawę wyjaśnić.

Redaktor „Kultury” : — Trochę się Pan wykręca ogólnikami.

Kisielewski : — To możliwe. Ale ostatecznie jeszcze raz Panu przypominam, że ja w Polsce nie rządzę. I nawet się na to nie zanosi.

Październik i dolary

Solidarność rewolucyjna, jaka spontanicznie występuje w chwili przeprowadzania zasadniczych zmian, rzadko trwa poza okres usuwania starego porządku. Zwycięstwo przewrotu może być początkiem jego przegranej w dalszej perspektywie, jeżeli odkrytych możliwości współpracy nie umacnia się szybko sojuszami tych sił których poparcie pozwoliło na podjęcie ryzyka i przełamanie martwego punktu. W polskiej „rewolucji październikowej”, a jest to nazwa powtarzana przez część prasy i chętnie już zapominana w kołach kierowniczych, najważniejszy czynnik stanowili robotnicy zakładów ciężkiego przemysłu, młodzież żądająca swobody myślenia i lewica intelektualna odry-

wająca się od mistycznego stosunku do teorii marksizmu. Chłopi, aczkolwiek dzięki naciskowi sytuacji gospodarczej najwięcej skorzystali na Październiku, nie spieszyli się do czynnego udziału w rozgrywce; była ona dla nich rozprawą odbywającą się wewnątrz systemu stworzonego przez ludzi z miasta.

Dziś, mniej więcej w pół roku po kryzysie październikowym, ruch który go wywołał zaczyna tracić rozpęd. Partia zastrzega się przed rozsądną rewizją haseł politycznych i gospodarczych, wobec czego cała energia jej aktywu i rządu zużywa się na opanowywanie chaosu wynikającego z braku jasno określonych celów działania. Dla zachowania fasady jedności partii, potrzebnej kierownictwu politycznemu jako jedyny uznawany przez Rosję instrument władzy, głosi się ostrożną ,,linię środkową'' która nie dopuszcza do rewizji teorii i sprowadza wszystko do usunięcia błędów w wykonywaniu tradycyjnych założeń. To stanowisko pozwala na utrzymanie poparcia oportunistów i ukrycie rozdzielenia się aktywu partii na dwa skrzydła: socjalizmu humanistycznego i socjalizmu, połączonego z totalitarnym systemem rządów. Atakuje się jednak przede wszystkim lewicę partyjną, czyli skrzydło broniące wprowadzenia w życie haseł Października i przeciwstawiające się ograniczeniu ich do oczyszczenia i usprawnienia administracji. Ludzie ,,prawicy'' partyjnej pozostają na stanowiskach, albo też nie ponoszą widocznej odpowiedzialności za popełnione błędy, podczas gdy ludzie ,,lewicy'' muszą opuszczać miejsca na których wywalczyli nadejście Października. Jeżeli ta zygzakowata linia polityczna podetnie żywotność humanizacji socjalizmu, następnym jej nieuchronnym przesunięciem będzie pójście jeszcze dalej w stronę ortodoksyjnej ,,prawicy''.

W praktyce do ,,prawicy'' dalej należy wiele ważnych stanowisk, chociaż zasadnicze decyzje podejmuje grupa wyniesiona do władzy przez ostatnie zmiany. W miarę jednak oddalania się tej grupy od naturalnych sojuszników w partii i w społeczeństwie, musi się zwiększać jej zależność od starego aparatu administracyjnego, bez którego niesposób rządzić. Im zaś trudniejsza sytuacja gospodarcza, im więcej doraźnych kłopotów wymagających natychmiastowej akcji, tym szybciej będzie się zacieśniać związek między nowymi przywódcami a odziedziczonym po przeszłości zespole rządowym. Katastrofalne położenie gospodarcze tak samo zmusza do odkładania na później realizacji haseł reformy, jak ogólne położenie polityczne zmusza do trzymania się starych form. Nie wiadomo na przykład jakie byłyby koleje rządów Piłsudskiego po zamachu majowym, gdyby zamiast z doraźną, pomyślną dla Polski koniunkturą gospodarczą, spotkały się z głębokim kryzysem. Wzmożenie popytu na polski węgiel i zwiększenie wywozu niewątpliwie pomogło Piłsudskiemu do zerwania sojuszu z PPS. W dzisiejszej Polsce wzmacnia się współpracę z tą częścią partii, która ponosi odpowiedzialność za przeszłość, gdyż groźba strajków, zaburzeń, niedostatku, każe na pierwsze miejsce wysuwać jedność partii, a hasło wolności odkładać na jutro.

Z tym łączy się jednak powolne ale stałe osłabianie sojuszu sił społecznych, które wynosząc Gomułkę do władzy postawiły przed partią kogoś, z kim partia musi się liczyć, skoro jego znaczenie nie polega na cichych porozumieniach w łonie Komitetu Centralnego albo na poparciu obcych mocodawców, lecz na zdobyciu sobie stanowiska przywódcy narodowego. Można zapewne powiedzieć, że utrzymanie partii w jej obecnym składzie i jej obecnej postaci jest w tej chwili ceną płaconą za zgodę sowiecką na ,,polską drogę do socjalizmu''; odwrotnie — przyjęcie przez partię kierownictwa Gomułki i uznanie jego autorytetu jest ceną płaconą za ocalenie PZPR przed sytuacją węgierską. Dla obu stron kompromis, narzucony przez rzeczywistość, jest dotkliwy i kosztowny. Idzie o to aby wskutek nadmiernych zadań gospodarczych nie stał się zbyt kosztowny dla społeczeństwa.

Cenzura w sprawach ideologicznych, tamowanie dyskusji, odsunięcie od wpływu na decyzje młodszych szeregów partyjnych podrywa październikowe porozumienie z lewicą inteligencji. Niedawne cofnięcie robotnikom przyznanych poprzednio wypłat wyrównawczych powiększa rozczarowanie, wywołane w okresie wyborów odsunięciem od sejmu przywódcy Żerania. Odwołanie ustawy z listopada ubiegłego roku może być jak najbardziej uzasadnione nadmiernym wzrostem funduszu płac i groźbą inflacji, ale zaoszczędzenie w ten sposób dla państwa około 8 miliardów złotych sprawia poważny zawód masom pracowniczym, które były przecież gotowe strajkować w sytuacji o wiele ryzykowniejszej. Względy na politykę zagraniczną doprowadzają do rozczarowania inteligencji, względy ekonomiczne — do rozczarowania robotników. Jeżeli nie można usunąć wszystkich ograniczeń, wynikających z podstawowych elementów polskiej sytuacji, dla ocalenia nurtu reformy jest sprawą zasadniczej wagi zmniejszenie tych nacisków, które da się opanować. Krótko mówiąc — szybkie podniesienie poziomu życia.

Przyjmowanie przez obecne kierownictwo partii ostrożnej, ,,środkowej'' linii wygląda na zabieg przywracania biurokracji zaufania do własnej pozycji, na zabieg wzmocnienia i usprawnienia partii. Oczywiście lepiej byłoby mieć współpracę ze społeczeństwem, gdyż naród usposobiony pozytywnie dla idei socjalistycznych ważniejszy jest od sprawnej partii. Jeżeli wszakże społeczeństwu nie można już nic więcej dać w dziedzinie gospodarczej, a wobec fali niezadowolenia trzeba je krępować w dziedzinie politycznej, jako bezpieczne źródło oparcia pozostają tylko kadry partyjne.

W sumie robi to wrażenie, że proces zmian utknął na martwym punkcie. W trzech dziedzinach, w których istotne zmiany pozyskiwały współpracę społeczeństwa, trudno pójść dalej przy obecnych warunkach gospodarczych i obecnej taktyce partii. Nadzieje na poprawę materialną są dosyć wątłe i z każdym dniem słabsze a wysokość wypłacanych zarobków, po podniesieniu najniższych pensji, dosięgła granicy możliwości skarbowych.

Mimo poprawy w stosunkach z Rosją nie sposób mówić o przy
wróceniu pełnej suwerenności, której całkowite odzyskanie jes
w ogóle wątpliwe w istniejącym układzie międzynarodowym
Demokratyzację zaś życia polskiego wciąż krępuje ograniczon
zakres suwerenności oraz stan nastrojów w kraju doprowadzo
nym do granic cierpliwości latami niedostatku i policyjnych prze
śladowań. Demokratyzacja jest bowiem funkcją suwerennośc
i stanu gospodarczego; zaciśnięcie pasa zwalnia jej postęp, atmo
sfera kryzysu dostarcza argumentów za wzmocnieniem dyscy
pliny.

Pomoc dla Polski w postaci udzielenia kredytów gotówko
wych i towarowych, dostarczenia surowców i zboża, mogłaby
zaważyć na rozwoju jej sytuacji wewnętrznej. Wiązanie tej po
mocy ze zwalczaniem ustroju socjalistycznego w Polsce jest nie
porozumieniem, skoro bezpieczeństwo państwa i zachowani
szans pokojowego rozwoju wymaga, aby plany na przyszłoś
opierały się na usprawnieniu gospodarki socjalistycznej. Socja
lizm zresztą został w zasadzie przyjęty przez społeczeństwo w tym
znaczeniu, że hasło powrotu do wielkiej własności przemysłowe
i rolnej nie znalazłoby poparcia. Zagadnienie ustrojowe polega
zatem nie na sporze o ideał polityczny, jakim niewątpliwie dla
ogromnej większości Polaków jest system zapewniający i wol-
ności obywatelskie i sprawiedliwość społeczną, lecz na znalezie-
niu najlepszych dróg wprowadzenia go w życie.

Sukces idej politycznych zależy od ogólnego przyjęcia celów
jakim służą, a następnie od zdania przez nie praktycznego egza-
minu. W Polsce nie kwestionuje się społecznych celów socja-
lizmu, a równocześnie jest oczywiste dla wszystkich, łącznie
z członkami partii, iż praktyka socjalizmu przyniosła katastrofę
Na Zachodzie, mimo wielu przeżytków aspołecznego kapitalizmu
robotnik lepiej wyszedł na planie Marshalla niż robotnik prze-
ciętnej republiki ludowej na zastosowaniu przez Związek Sowiec
ki zasady ,,proletariackiego internacjonalizmu''. Najprostsza
zatem metodą poprawienia polskiej sytuacji wewnętrznej będzie
racjonalizacja socjalizmu, wyzwolenie go spod wpływu dogma
tycznych teorii i oparcie na eksperymencie, oraz stosowanie uspo
łecznienia własności tylko w tych dziedzinach gdzie przynosi to
wyraźne korzyści. Kolektywizacja rolnictwa jest typowym przy
kładem: wprowadzanie jej bez równoczesnych poważnych inwe
stycji rolnych obniża produkcję żywności i tym samym podrywa
podstawę akcji uprzemysławiania kraju. Dokonywany w te
chwili odwrót świadczy iż ta przynajmniej próba socjalistyczne
własności jest łatwo odwracalna. To samo odnosi się do handlu
i do rzemiosła, gdzie praktyka socjalizmu nie powinna sięga
poza dobrowolną spółdzielczość, zmuszoną do pracy w warun
kach stałej konkurencji.

Ponieważ rozpętywanie walki z socjalizmem może narazi
byt państwa, a gospodarcza nieudolność praktyki socjalistyczne
osłabia jej pozycję — w interesie narodowym leży dziś wszystk

co uzdrawia socjalizm. Nie mówiąc już o tym że do poszerzania zakresu posiadanej wolności o wiele lepiej nadaje się społeczeństwo odciążone od najdotkliwszych trosk materialnych, aniżeli ludzie doprowadzeni biedą do desperacji i do ostrego napięcia walki klasowej, wyradzającego socjalizm w przymus policyjny. Wobec likwidacji wielkiego kapitału w Europie Środkowej zarówno przez wojnę jak i przez rewolucję, przeciwieństwo polityczne już nie polega tam na konflikcie kapitalizm-socjalizm, lecz na obronie praw człowieka przed dziwaczną mistyką komunistycznego totalizmu.

II

Położenie gospodarcze Polski dosadnie określa porównanie sumy 300 milionów dolarów, o jaką wystąpiono w rokowaniach o pożyczkę dolarową, z oczekiwaną wysokością deficytu inflacyjnego — 150 milionów dolarów. Deficyt inflacyjny wynika z rozpiętości między ogólną sumą indywidualnych dochodów a ilością towarów dostarczonych na rynek. Przyznawanie podwyżek, jeśli nie idzie w parze z powiększeniem wytwórczości, deficyt ten powiększa. Mimo to podwyżka płac za każdym razem była koniecznością polityczną, od strony zaś gospodarczej wyrazem optymistycznego liczenia na wyrównanie różnicy przez przyszłą produkcję. Nadzieja ta ani razu nie znalazła pełnego usprawiedliwienia w rzeczywistości, toteż w Polsce od lat panuje ukryta inflacja, której zewnętrzną oznaką w warunkach gospodarki socjalistycznej jest nie zwyżka cen lecz brak towaru i powstawanie czarnego rynku. Podobnie i po Październiku wrócono do wiary w przełamanie błędnego koła, przyznając podwyżki i wyrównania.

Ostatnie decyzje Gomułki są dowodem wysiłku wydostania się z tego kręgu złudzeń. Zwalnianie personelu biurowego, zmniejszenie personelu partyjnego, zezwolenie na pewien zakres handlu prywatnego, wycofanie przyrzeczeń poczynionych po strajkach świadczy o próbach opanowania sytuacji, w której żądania polityczne przechodzą w żądania gospodarcze. A jednak mimo to fundusz płac, i tak już obliczony optymistycznie, przekroczono w pierwszych dwóch miesiącach o 1.200 milionów złotych. Na tym tle obrócenie choćby części ewentualnych pożyczek na zaopatrzenie rynku pozwoliłoby na dotrzymanie obietnic wobec klasy która najczynniej poparła Październik. Suma 150 milionów dolarów, nie stanowiąc poważnej pozycji w ekonomii Stanów Zjednoczonych czy w gospodarce zachodnio-europejskiej, na polskim rynku wewnętrznym oznacza zaspokojenie potrzeb wymagających półtora miliarda złotych.

Część polskich ekonomistów, jak na przykład prof. Lange, oczekuje, że reprywatyzacja handlu i rzemiosła wydobędzie „ukryte rezerwy gospodarcze", zepchnięte pod powierzchnię życia przez nadmierną socjalizację i obłęd planowania. W najlepszym jednak razie będzie to bardzo powolny proces, którego

przebieg już na początku ulega skrzywieniom skoro handel prywatny, wskutek braku towarów i deficytu inflacyjnego, zamienia się właściwie w ulegalizowaną formę spekulacji. Radykalnym środkiem zapełnienia przedziału między sumą skromnych podstawowych potrzeb a wytwórczością byłby dostateczny import, przede wszystkim import z Zachodu. Dostateczny jego rozmiar zapewniłby gospodarce polskiej okres względnie spokojnej rekonwalescencji po wielu latach absurdów i marnotrawstwa. Co więcej, przyczyniłby się do uspokojenia politycznego, do poczucia jakiej takiej stabilizacji a co za tym idzie do lepszych wyników pracy. Byłaby to opłacalna inwestycja w zdolność wysiłku robotnika.

Niestety, i ta droga wyjścia jest prawie zamknięta gdyż polskie możliwości importowe maleją wraz z kurczeniem się eksportu węgla. Długi okres prawie darmowego wywozu do Związku Sowieckiego wyrządził olbrzymie szkody nie tylko jako zwykły rabunek polskich zasobów, lecz także przez zmuszanie do małowartościowego importu z Rosji i przez eksploatację najłatwiej dostępnych pokładów węglowych na rzecz otrzymania towaru niskiej jakości i często niezbyt potrzebnego. Przykład pierwszy z brzegu : nabycie sowieckiej licencji na lokomotywy elektryczne przestarzałego typu, które na Zachodzie wytwarza się od czterdziestu lat, i które można łatwo kupić jako model wypierany przez nowoczesną produkcję. Wskutek usunięcia niewolniczych warunków pracy w górnictwie (demokratyzacja kosztuje !) i wskutek wyczerpania tak zwanych ,,tanich'' pokładów w kopalniach w które nie inwestowano od kilkunastu lat, wywóz węgla spadł z 26 milionów ton w 1949 roku do 19 i pół miliona w 1956 roku, a w roku bieżącym spadnie dalej do 14 milionów. Oceny amerykańskie dają szacunek niższy o jeszcze jeden milion. Na zniżkę eksportu wpływa poważnie wzrost spożycia wewnętrznego, lecz w takim razie rozbudowa przemysłu powinna przewidzieć zastąpienie wywozu węgla innym rodzajem eksportu : oczywiście miały nim być produkty wzniesionych z takim trudem fabryk.

Tu wszakże zamyka się błędne koło polskiej gospodarki, która uzyskawszy cały węgiel śląski miała przed sobą tak pomyślne perspektywy. Eksport bowiem nowego ciężkiego przemysłu jest słabo opłacalny. Gdy sprzedając węgiel uzyskuje się dolara za 8-9 złotych, sprzedając tabor kolejowy Polska — wskutek nienowoczesnych metod pracy — zdobywa dolara za cenę 40 złotych. Sytuację inwestycyjną streszcza sarkastyczna uwaga, jaką kiedyś Minc rzucił Gomułce. Gdy była mowa o Żeraniu, za budowę którego miliony zapłacono Rosji, a który dziś pracuje tylko cząstką swej mocy produkcyjnej, Minc zauważył : ,,No, ale nie można powiedzieć żeby Żerań nie przydał się tow. Gomułce !'' Ileż w tym prawdy — gdyby nie marnotrawstwo i bieda, nie byłoby takiej fali protestu ! W Czechosłowacji nie powtórzyła się polska sytuacja polityczna nie tylko wskutek różnic temperamentu narodowego, ale też i wskutek różnicy poziomu

życia. Znana anegdota mówi, iż delegacje czeskich intelektualistów jeżdżą do Polski, by odetchnąć podniecającą atmosferą dyskusji, a polskie delegacje do Czechosłowacji by zjeść w dobrej restaracji i kupić ubranie.

Tak samo jak górnictwo, jeśli idzie o unowocześnienie kopalń, zależy od uzyskania kredytów zagranicznych, położenie rolnictwa łączy się z możliwością rzucenia na rynek ilości ziarna dostatecznej dla obniżenia jego ceny w wolnej sprzedaży. Po Październiku zezwolono na rozwiązywanie spółdzielni rolnych, aby uzyskać lepszą wydajność gospodarki prywatnej. Dla zachęcenia wsi podniesiono o 50% ceny płacone za obowiązkowe dostawy, ale w sprzedaży prywatnej nadal dostaje się cenę wyższą. Dopóki ziarno z importu nie obniży cen, dopóty chłop będzie zgarniał główne korzyści ze zmian październikowych.

Niedostateczny przywóz, jako skutek niedostatecznego wywozu, uderza prawie w każdą dziedzinę życia. W Polsce centralnej bezrobocie sięga 3/4 miliona, podczas gdy w województwach zachodnich potrzeba co najmniej pół miliona pracowników, ale kryzys budowlany na zrujnowanych i nieodbudowanych Ziemiach Odzyskanych nie pozwala na przerzucenie tej bezczynnej masy. Ciężki przemysł cierpi na niedostatek surowca, pracuje chaotycznie wśród nieustannych przestojów. W kraju o zrównoważonej gospodarce byłby źródłem bogactwa, w kraju o niezaspokojonych prymitywnych potrzebach, ledwo zdolnym do sprowadzania surowców, jest — niestety — jak wspaniałe centralne ogrzewanie w domu z nienaprawionym dachem i wytłuczonymi szybami.

Od robotnika, zdemoralizowanego poprzednią polityką, można uzyskać zwiększenie wysiłku tylko normalnymi bodźcami gospodarczymi. Chłopa można doprowadzić do lepszej gospodarki jedynie dostarczeniem maszyn rolniczych i zaopatrzeniem wiejskich sklepów w towary przemysłowe. Wyśmiano by dziś każdego kto by zaproponował współzawodnictwo fabryk dla uczczenia na przykład ,,zbiorowego przywództwa'', czy pamięci XX Zjazdu. Obawiam się, że podobna propozycja w związku na przykład z rocznicą Października także spotkałaby się ze wzruszeniem ramion. Polski paradoks polega na przyjęciu celów socjalizmu i na utracie zaufania do jego metod. Wyniki poprzednich lat zniszczyły wiarę w sens ofiar, w rozumność celów stawianych przez centralne planowanie, w osiągnięcie kiedykolwiek przyrzekanej pomyślności.

W ostateczności w celu przeprowadzenia rzeczywiście koniecznych inwestycji pozostaje rządowi próba bardziej racjonalnego zastosowania dawnych metod, czyli surowej dyscypliny pracy i nałożenia na społeczeństwo dalszych ciężarów. Stało się to jednak niewykonalne politycznie wobec zaniku wiary w sens tej gospodarki i zniknięcia lęku przed terrorem policyjnym. Usiłowanie więc użycia raz jeszcze skompromitowanych sposobów odebrałoby władzom udzielone im warunkowe poparcie i zmusiłoby do szukania siły poza własnym społeczeństwem. Jak demo-

kratyzacja nie była realna bez przywrócenia suwerenności, tak samo odejście od demokratyzacji prowadzi do ponownej utraty autorytetu państwowego. Każdy polski polityk zdaje sobie chyba sprawę z tych powiązań. Obok zaś tego pamięta także że nie wolno przerwać budowy Nowej Huty i że obniżenie wywozu węgla zmniejsza rocznie o 200 milionów dolarów zdolność kupowania na Zachodzie...

Znaczenie polityczne pomocy gospodarczej dla Polski tłumaczy się tym właśnie łańcuchem przyczyn i skutków, w którym pierwsze ogniwo, kryzys ekonomii socjalistycznej, łączy się tak ściśle z ostatnim : powrotem do dawnych zależności i zamianą humanizacji socjalizmu na jego powolną kadaryzację.

III

Doceniając gospodarcze i moralne znaczenie udzielenia Polsce poważniejszych kredytów na Zachodzie, nie wolno wpadać w przesadę i przypisywać im jakiejś cudotwórczej mocy. Pożyczka dolarowa ani nie zmieni zewnętrznej sytuacji, ani też nie doprowadzi do skierowania większości polskiego handlu na zachód. Pozostanie zależność gospodarcza od Rosji i bloku wschodniego ponieważ jest to dziś naturalny teren polskiego eksportu. Polska przeprowadza z tym obszarem dwie trzecie swych obrotów handlowych i jest z nim na długo związana. W ramach tego układu Polska może być albo wyzyskiwanym narzędziem, albo partnerem zmuszonym do przyjmowania niekorzystnych warunków, albo wreszcie partnerem wyciągającym rozsądne korzyści ze swoich warunków politycznych.

Wzmocnienie Polski socjalistycznej będzie interesować Amerykę tylko wtedy, gdy okaże się korzystne dla polityki amerykańskiej w Europie. Staje ona przed dokonaniem wyboru między rachubami na polepszenie albo na pogorszenie wewnętrznego położenia europejskich republik ludowych. W tej chwili rachuby na pogorszenie byłyby o tyle dziwne, że w razie ewentualnych demonstracji, które może wywołać pogłębiający się kryzys gospodarczej istnieje perspektywa bądź kadaryzacji, bądź też powtórzenia tragedii węgierskiej. Reakcja Zachodu na powstanie wygierskie wykazała iż hasło ,,samowyzwolenia'' rzucano chyba tylko dla celów wyborczych, bez nadziei iż kiedyś przejdzie w rzeczywistość. Tak zawsze ,,self liberation'' musi naruszyć istniejący podział świata; jest nonsensem politycznym propagowanie podobnych ruchów, jeżeli nie ma gotowej koncepcji zaproponowania Rosji zmiany status quo, w sposób możliwy dla niej do przyjęcia.

Interwencja rosyjska w Polsce, jaką mógłby wywołać załamanie się obecnego systemu rządów, nie leży zatem w interesie nie przygotowanej do niej polityki amerykańskiej. Wolno również przypuszczać, że powtórzenie wypadków węgierskich na polskim terenie miałoby o wiele poważniejsze skutki. Wybuch

w Warszawie rewolucji skierowanej przeciw krzywdzie społecznej i niezaradności systemu rządów, i przeciw komunistycznemu imperializmowi, wywołałby na pewno echa w Niemczech Wschodnich. Trudno sobie wyobrazić obojętność rządu w Bonn, gdyby w Berlinie Wschodnim rozgrywały się sceny przypominające masakrowanie kobiet i dzieci w Budapeszcie. Granica między Niemcami zachodnimi i wschodnimi mogłaby zniknąć zanim jeszcze dyplomaci zebraliby się na pierwszą konferencję. Trzeba raczej odrzucić, jako teoretyczną możliwość, próbę zlokalizowania konfliktu, ponieważ jej wynik byłby z góry przesądzony.

Istotą zagrożenia Europy i Ameryki nie jest sam system gospodarki socjalistycznej, lecz swoisty imperializm komunistyczny, spajający cały blok i dążący do ciągłego poszerzania swego zasięgu. Niższość gospodarcza bloku wschodniego stwarza w nim poczucie niebezpieczeństwa, które uśmierza jedynie stała akcja rozbijania przeciwnego bloku i sięgania po kraje neutralne. Tradycyjna doktryna mówi, iż hamować postępy komunizmu potrafi jedynie silny gospodarczo kapitalizm, kontrolowany przez ustrój demokratyczny. Ferment ideologiczny w Europie i eksperymenty z gospodarką planową w Indiach podsuwają myśl, że gospodarka socjalistyczna, prowadzona bez ingerencji sowieckiej, a tym samym wolna od cech tyranii, *również* może powstrzymywać zakusy imperialistycznego komunizmu. Jeżeli w Azji byłoby dla Zachodu sukcesem dopomożenie prymitywnym narodom do szybkiego zbudowania nowoczesnej gospodarki w ramach zasad socjalistycznych, ideologiczna samodzielność w Europie Środkowej także powinna stanowić rzecz nie do pogardzenia.

Dla Rosji polityka pokojowego współżycia jest tylko inną formą szukania zdobyczy, bezpieczniejszą od zimnej wojny i od awantury węgierskiej. Sowiety przeszły na nią dopiero, gdy uznały że ich zasoby pozwolą na ofiarowywanie państwom biednym pomocy gospodarczej i broni. Jest więc koegzystencja jakby wskaźnikiem i dowodem dojrzałości ekonomii sowieckiej. Ale ta nowa taktyka może zawieść, jeżeli podział świata zacznie się pojmować nie jako obozy dwóch różnych systemów gospodarczych, lecz jako rozgraniczenie życia w wolności i życia pod policyjną kontrolą. Gdyby od różnic gospodarczo-społecznych ważniejsze się stały przeciwieństwa między totalizmem a poszanowaniem praw człowieka, po tej samej stronie mogą się znaleźć i państwa liberalno-demokratyczne i państwa socjalistyczne. Wolno nawet powiedzieć że jeśli Zachód ma pozyskać dla siebie nowe nacjonalizmy azjatyckie, te właśnie kryteria podziału stają się konieczne. Sięgają one do podstaw kultury i są istotniejsze, prawdziwsze od różnicy metod gospodarczych. Główny nacisk spoczywa tu na szacunku dla człowieka w *teraźniejszości,* przeciwstawionemu swoistej materialistycznej religii *przyszłego* szczęścia.

W związku z tym bardzo ważne jest zdawanie sobie sprawy jak arbitralnie o wyborze między wolnością a systemem przymusu potrafią rozstrzygać sprawy gospodarcze. Gdy uprzemysło-

wienie — podstawowy warunek wzniesienia nowoczesnej cywilizacji — odbywa się bez pomocy zagranicznej, w oparciu jedynie o forsowną własną kapitalizację prymitywnego kraju, państwo prędzej czy później ucieka się do przymusu. Masowe ściąganie do miast ludności wiejskiej (na przykład Budapeszt rośnie z 900 tysięcy mieszkańców do 1.700 tysięcy) stwarza trwały kryzys budowlany, którego samo istnienie już pozwala na terroryzowanie pracownika. Wyżywienie wielkiej armii pracowniczej o niskich zarobkach zmusza do zdobywania taniej żywności od wsi. Gdy chłop zaczyna się buntować przeciw kontyngentom dostaw po rabunkowych dla niego cenach, kolektywizacja staje się narzędziem złamania jego oporu. Na tym etapie walki o uprzemysłowienie terror policyjny staje się nieodzowny. Błędy biurokratycznego planowania rychło zadają kłam obietnicom dobrobytu po okresie wysiłku. Nastroje zwracają się przeciw przymusowi i przeciw usprawiedliwiającej go ideologii, odzywają się w organizacjach głosy krytyki, a tym samym wzmaga się koniunktura totalizmu i terroru. Jest to w skrócie droga przebyta przez Rosję od leninizmu do stalinizmu.

Może ona stać się także drogą narodów kolonialnych, uzyskujących niepodległość. Te zaś kraje europejskie, które zostały wepchnięte na nią wskutek zajęcia przez obce wojska, nie mogą z niej zdecydowanie zawrócić bez poważnej pomocy. Usiłowania przeprowadzenia reform o własnych siłach, przywrócenie podstawowych wolności wśród biedy i brutalnych form walki o byt, zawsze noszą w sobie groźbę chaosu.

IV

Rzecz jasna, że pożyczka amerykańska dla Polski nie przyniesie Stanom żadnych korzyści wojskowych toteż i jej przesłanki muszą być inne, aniżeli przy udzielaniu pomocy Jugosławii. Tito otrzymał poważne sumy, przewyższające wszystko czego w najśmielszych planach oczekiwałaby Polska, ale Jugosławia wojskowo była całkowicie niezależna od Rosji, posiadając — mimo swego socjalistycznego ustroju — samodzielną pozycję. Korzyści przewidywane w razie przyznania Polsce znaczniejszych kredytów nie będą natury wojskowej i nie będą dawać jakichś bezpośrednich zysków. Znaczenie ich może polegać na staniu się cząstką szerszej akcji, pomyślanej jako wykorzystanie przez Zachód okresu koegzystencji.

Utrzymanie bowiem ścisłej kontroli rosyjskiej nad republikami ludowymi w Europie zależy od podsycania nastrojów zagrożenia niebezpieczeństwem kapitalistycznym. Jak terror wewnętrzny w Rosji wiązał się z teorią o zaostrzającej się walce klasowej, podobnie hegemonia jednego państwa socjalistycznego łączy się z wyzyskiwaniem zasady międzynarodowej solidarności proletariatu w świecie rozbitym na dwa wrogie obozy. Gdy zmniejszają się przedziały dzielące dwa światy, maleje tytuł do

narzucania ścisłych związków w ramach jednego obozu. Korzyści osiągnięte z pomocy Zachodu przez jedno z państw socjalistycznych mogą być zachęcającym przykładem dla innych, a udane reformy zawsze wywołują zazdrość mieszkańców sąsiedniego państwa.

W ocenie tych reform łatwo popełnić — z amerykańskiego punktu widzenia — błąd perspektywiczny. Rzeczy bowiem bardzo jeszcze dalekie od politycznej swobody demokracji, mogą posiadać niezaprzeczalny charakter radykalnych i pozytywnych zmian na tle poprzedzającej je sytuacji. Im łatwiej i szybciej przejdzie się przez wyjątkowo trudny okres ugruntowania zmian, tym lepsza szansa dla dalszego zbliżania się ku demokracji, choćby nie była to typowa demokracja parlamentarna w stylu liberalnym. A wreszcie zwiększenie spożycia, pewien dobrobyt, poczucie bezpieczeństwa materialnego, rozszerzenie oświaty mimo woli wprowadzają na ścieżkę liberalizacji nawet ustroje autorytatywne.

Każde wzmocnienie środkowo-europejskiej republiki ludowej pozwala jej na bardziej samodzielną ,,drogę do socjalizmu'', na własne określenie treści komunizmu. Ten niejasny termin, który treść historyczną czerpie przede wszystkim z ustroju stalinowskiego w Rosji, dziś jeszcze bardziej zaciemnił swe znaczenie. Po Węgrzech pojawiły się pojęcia ,,prawdziwego'' i ,,nieprawdziwego'' komunisty. Ten drugi ulega nacjonalizmowi i skrupułom mieszczańskim tam gdzie idzie o podstawową sprawę obrony zdobyczy rewolucji. ,,Prawdziwy'' komunista aprobuje interwencję rosyjską, aczkolwiek ceną utrzymania Węgier w obrębie bloku było krwawe zdławienie ,,leninowskiej'' rewolucji robotniczej. Odrzucanie tego poglądu ortodoksja komunistyczna uważa za przyznawanie pierwszeństwa narodowym interesom węgierskim przed interesami ,,międzynarodowego proletariatu'', reprezentowanymi przez Rosję. Tak więc różnica obu stanowisk sprowadza się do stosunku do narodowej niezależności i do uznania istnienia *innego* typu socjalizmu niż ten jaki narzuca Rosja. Idzie tu zatem o humanistyczną postać rewolucji i o przeprowadzanie jej bez sowieckiej kontroli.

W Polsce Październik naruszył ideową łączność ze Związkiem Sowieckim zaczynając rewidować znaczenie marksizmu, ale nie zerwał — jak Węgry — sojuszu politycznego. Gdyby w ramach tego sojuszu, ciągle będącego koniecznością polityczną wobec zagrożenia granicy zachodniej, socjalizm mógł dojść do tego, co Sartre nazwał ponownym ,,określeniem samego siebie'', byłoby to zjawisko ogromnej doniosłości. Dziś bowiem, kiedy powrót kapitalizmu praktycznie nie wchodzi w rachubę, Europa Środkowa nie posiada innej wizji przyszłości poza tą jaką daje jej Rosja. Ale odradzanie się teorii socjalizmu może znów zwątleć, jeżeli całą uwagę pochłonie walka o byt, a chaos gospodarczy zmusi do tym surowszego porządku politycznego.

W tej chwili widać w Polsce pierwsze oznaki zniecierpliwienia grupy rządzącej. Niezadowolenie wywołuje już w różnych

miejscach odruchy protestu, co skłania do zaostrzania cenzury, do coraz dalszych kompromisów ze „starą gwardią". Na pierwszego maja wygłaszano mowy zapewniające o zdrowych podstawach polskiej gospodarki. Mimo tego oficjalnego optymizmu łatwo poznać prawdziwe nastroje władz po niechętnym stosunku do zbliżenia między inteligencją a światem robotniczym. Współpraca zaś tych grup społecznych, rozpoczęta jeszcze przed Październikiem, jest w polskich warunkach tym naturalniejsza że zanikają przedziały materialne między ich poziomem życia. Gdyby wobec tej solidarności świata pracy, spróbowano nacisków, byłby to początek powrotu do dawnych metod. Zapewne ich praktyka byłaby tym razem wolna od jaskrawych nadużyć i bezmyślnego terroru, lecz zasada zostałaby ta sama. Wszelka pomoc pozwalająca na utrzymanie minimum warunków w jakich może się pokojowo odbywać proces rewizjonistyczny nie jest więc pomocą dla *partii,* tylko pomocą dla *społeczeństwa.* Oczywiście jest to, w ostatecznym wyniku, pomoc dla dojrzalej pojętego socjalizmu. Podstawowe jednak zagadnienie ustrojowe i polityczne Europy Środkowej nie polega obecnie na zwalczaniu socjalizmu, lecz na dostosowaniu go do wymagań życia i do konieczności istnienia na tym obszarze suwerennych państw.

Z. BRONCEL

Spór o dług i skarb

Ściśle według wzorów orwellowskiego Ministerstwa Prawdy preparował Wydział Historii przy KC PZPR dzieje polskiego ruchu robotniczego. Odsłonił te praktyki na łamach „Przeglądu Kulturalnego" młody zapewne, bo dotychczas nieznany, historyk Najder, w artykule zatytułowanym „Dług i Skarb" (Nr 51-52, 1956 r.). Przeciwstawiając się metodzie przykrawania do potrzeb dnia, historii własnych antenatów ruchu komunistycznego w Polsce przy pomocy fałszowania i retuszowania dokumentów, zahaczył również Najder o dzieje PPS wskazując, że przemilczanie ich i okrywanie niesławą jest co najmniej pomniejszaniem skarbu tradycji polskiego ruchu robotniczego.

Wystąpienie Najdera wywołało w kołach oficjalnych PZPR prawdziwe zgorszenie. W partyjnym Wydziale Historii ujawniły się namiętne reakcje i rozwinęła gorąca dyskusja. Problem odfałszowania dziejów ruchu robotniczego stanął nagle w całej rozciągłości . Rzecznik kierownictwa partyjnego, J. Kancewicz, starał się wprawdzie zatrzymać sprawę w kręgu rewizji ocen tra-

dycji ruchu i w tym tylko zakresie przyznawał Najderowi słuszność (,,Trybuna Ludu'', 25. I. i 12. II.), ale podarta zasłona kłamstwa nie daje się dalej używać. ,,Przegląd Kulturalny'', z dnia 6 marca przyniósł nową publikację: ,,Spór o dług i skarb'', Anny Żarnowskiej i Mariana Drozdowskiego. Autorzy ci nie tylko podtrzymali tezy Najdera, dotyczące rewizji dotychczasowych oficjalnych ocen działalności PPS, ale znacznie je rozszerzyli : nie zadowolili się rehabilitacją subiektywnej uczciwości i bohaterstwa działaczy PPS, ale usiłują wniknąć w obiektywną rolę tej partii w kształtowaniu się polskiego ruchu robotniczego.

Taki jest pokrótce przebieg polemik krajowych na temat skarbu, jaki zawiera tradycja ruchu socjalistycznego i długu jaki ciąży na tych, którzy chcą być spadkobiercami tej tradycji. I trzeba przyznać, że młodzi historycy, którzy podjęli tę polemikę mając przeciw sobie całą machinę oficjalnego fałszerstwa, wykazali nie tylko cywilną odwagę, ale również duży stopień przenikliwości, niezbędnej do odsłonięcia wprawdzie rąbka tylko prawdy, ale mogącego posłużyć przy dalszej pracy za prawdziwą nić przewodnią. By zrozumieć na jakie porwali się kanony, podnosząc głos krytyki, i jakie muszą zburzyć przeszkody, by dojść do celu, którym jest obiektywna ocena dorobku PPS, trzeba sobie uprzytomnić, że wyrok na PPS w najbardziej uroczystej i obowiązującej formie został wydany przez tak zwany Zjazd Połączeniowy i stanowi jeden z fundamentów, na których zbudowano PZPR. Wyrok ten, zawarty w deklaracji ideowej, brzmi jak następuje :

,,PPS powstała jako partia rewidująca w duchu reformistycznym i ugodowym dorobek pierwszego Proletariatu... była kierowana przez ściśle powiązane z sobą elementy prawicowo-socjaldemokratyczne i piłsudczykowsko-nacjonalistyczne... rozbijała w roku 1905 wspólną rewolucyjną walkę polskiego i rosyjskiego proletariatu... po 1905 roku przeszła na służbę austro-niemieckiego imperializmu, poparła ten imperializm w grabieżczej wojnie 1914-1918 roku, biorąc udział w Legionach Piłsudskiego... uratowała panowanie burżuazji w Polsce, rozbijając ruch robotniczy i broniąc władzy kapitału w roku 1918... poparła zbrodniczą wyprawę przeciwko republikom radzieckim w latach 1919-1920...''

Ta litania ,,zbrodni'' PPS ciągnie się dalej aż do okresu okupacji i działania PPS pod kryptonimem WRN i wówczas, według brzmienia deklaracji, ,,była (ona) bojową siłą obozu antydemokratycznego''.

Zdawało się, że spod takiej piramidy win żaden komunista nie odważy się odgrzebywać skarbów. A jednak znaleźli się tacy i piramidę tę rozwalają, nie mogąc odkryć w dokumentach, z którymi się zetknęli ani potwierdzenia oskarżeń, ani nawet śladu zbrodni. Ale praca ich nie jest łatwa. Trzeba przebrnąć nie tylko przez bagniska oszczerstw i insynuacji, lecz również przezwyciężyć zakorzenioną już przez dziesiątki publikacji legendę, że ruch

robotniczy reprezentowała w Polsce całkowicie i bez reszty Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy.

Wielka jest zasługa Najdera, że odważył się na podważenie tej legendy i ujawnienie jak sztucznie oficjalna historia PZPR wyolbrzymiła znaczenie SDKPiL. Od tego już tylko krok do zrozumienia przewodniej roli PPS w życiu polskiej klasy robotniczej. Krok ten zrobili A. Żarnowska i M. Drozdowski stwierdzając, że ,,partia socjalistyczna, która w swojej działalności nie poświęca sprawie narodowej należnej uwagi, nie może pretendować do tego, by reprezentować całokształt interesów klasy robotniczej''. Tu zaś tkwiła istota sporu ideologicznego między PPS i SDKPiL. Ta ostatnia negowała narodowe dążenie klasy robotniczej polskiej, wyrażające się w postulacie Niepodległości, stanowisko PPS nazywała pogardliwie ,,socjal-patriotyzmem'' i tym samym postawiła się na marginesie polskiego ruchu robotniczego.

Nie można wymagać ani od Najdera ani od Żarnowskiej i Drozdowskiego, by jednym zamachem przezwyciężyli całą zaporę kłamstwa, jakim otoczyła dzieje PPS oficjalna ,,historia'' partii komunistycznej. Uwypuklenie przez oboje ostatnich słuszności zasadniczej koncepcji ideologicznej PPS, łączącej w nierozdzielną całość socjalizm i niepodległość, robi jednak dostatecznie szeroki wyłom dla dotarcia do właściwej oceny charakteru polskiego ruchu robotniczego i jego roli w życiu całego narodu. Ale osiągnięcie tego celu wymaga porzucenia wielu chwytów metodologicznych i kryteriów dla oceny zjawisk, które wciąż panują w umysłach nawet wymienionych publicystów, zajmujących się najnowszą historią Polski.

Na nic jest na przykład, przy obrazowaniu zjawiska społecznego, jakim jest każdy masowy ruch polityczny, metoda sekcji ciała zbiorowego i wyodrębnianie jego dobrowolnie określonych członów jak doły partyjne, średni aktyw, przywódcy, teoretycy itp. Podziały tego rodzaju, ciekawe dla socjologa, łatwo fałszują obraz historyczny. Przypisywanie decydującej roli ideologom i przywódcom prowadzi do poniżenia roli ,,dołów'', gdy w rzeczywistości oddziaływanie jest obustronne i dokonania są dziełem wspólnym. Ta właśnie daleka od marksizmu metoda personalistycznego traktowania historii, prowadzi ku utrwaleniu prawdziwej obsesji w komunistycznym myśleniu na temat piłsudczyzny w PPS. Obsesja ta jest nie obca i autorom polemik na temat ,,skarbu''. Wprawdzie Żarnowska i Drozdowski dostrzegli, że widać wpływ Piłsudskiego na życie ideologiczne PPS nie był tak decydujący, skoro marksistowskie rozważania mogły się ukazywać w piśmie redagowanym przez Piłsudskiego, lub gdy po rewolucji w 1912-1913 roku ,,opozycja'' potrafiła się przeciwstawić Piłsudskiemu. Niemniej jednak powracają uparcie do problemu piłsudczyzny jako do jednego z głównych problemów PPS. Autor tych słów sam należał do ,,opozycji'' i nieraz, być może ze zbytnią nawet namiętnością, oddawał się sporom kierunkowym w ło-

nie PPS, ale z pojęciem piłsudczyzny zetknął się dopiero wówczas, gdy Piłsudski był już poza partią.

Trzeba również porzucić takie kryteria oceny jak ,,wielonurtowość". Bowiem albo trzeba przyjąć za dobrą monetę twierdzenie J. Kancewicza, że ,,rewolucyjność proletariacka jest możliwa tylko w oparciu o marksizm", a wówczas należy wykląć jako nierewolucyjny i nieproletariacki cały ruch robotniczy Wielkiej Brytanii i krajów skandynawskich oraz ogromną część ruchu robotniczego wszystkich krajów zachodnich, albo też pogodzić się z faktem, że ruch robotniczy krajów wysoko rozwiniętego proletariatu ma właśnie ,,wielonurtowe" oblicze, w którym marksizm zaznaczył swój wpływ bardziej lub mniej wyraźnymi rysami. Polski ruch robotniczy upodobnił się pod tym względem do ruchów zachodnich. Dlaczego zaś w Rosji, choć i tu dopiero po zastosowaniu gwałtu, przybrał on charakter ,,ideologicznego monolitu", to odpowiedź na takie pytanie może prowadzić do ocen niezbyt dodatnio świadczących o sile i głębokości zasięgu socjalizmu w tym kraju, gdy jedna grupa ideologów mogła narzucić swoją jednolitą koncepcję ideologiczną całemu ruchowi.

Kryterium tak zwanych wpływów obcych, mające rzekomo wyjaśniać ,,zboczenia" PPS z czysto proletariackiej linii, należy raczej do arsenału niewybrednej polemiki a nie do sposobów wyjaśnienia masowego ruchu politycznego i społecznego. W omawianych artykułach raz po raz powtarza się oskarżenie podlegania PPS wpływom drobnomieszczańskim, nacjonalistycznym, czy w ogóle ,,żywiołów nieproletariackich". Jest to strzelanie obok celu. W obozie PPS był taki publicysta, nazwiskiem Unszlicht, który wszystkie winy SDKPiL tłumaczył wpływem ,,socjal-litwactwa". Zapewniam, że nie miał on wielkiego wśród nas powodzenia, a jego publikacje przeszły bez śladu, bo strzelały tak samo w próżnię. Kto tylko bodaj się otarł o marksowską metodę myślenia, zdaje sobie sprawę, że każdy ruch społeczny i polityczny podlega, jak to pouczał Kaźmierz Krauz, wpływom, pochodzącym z różnych epok i różnych środowisk.

PPS nie wyrosła na pustyni. Wchłonęła dorobek ideowy ,,Proletariatu", boć uczestnicy tego ruchu należeli do założycieli partii. Wzięła coś również z ducha powstań chociażby przez uczestników ostatniego powstania narodowego (Limanowski) nie mówiąc już o wpływie socjalistów-utopistów epoki wielkiej emigracji jak Worcell czy Świętosławski. Jak te wpływy były żywe, niech świadczy pełen serca stosunek naszego młodszego pokolenia PPS-owców do Dębskiego, proletariatczyka, i do Furmańskiego, który na manifestacje socjalistyczne zjawiał się w mundurze powstańca 63-go roku. Tę serdeczność żywili wszyscy.

A jakiż sens ma pisanie o ,,nieproletariackich wpływach "? Na kształtowanie się ideologii PPS wpływało całe życie narodu i doświadczenia, przeżycia wszystkich jego warstw nie tylko drobnomieszczańskiej, lecz nawet — o zgrozo! — szlacheckiej, przecież pierwsza kadra robotników wykwalifikowanych wyłoniła się u nas z warstwy zubożałej szlachty i to szlachty nienaj-

gorszej. I dlaczegóż szlachcic-literat — Włodzimierz Ulianow Lenin, miałby mieć większe prawa do tytułu proletariackości, ni szlachcic-kotlarz Tomasz Arciszewski? Z tymi poszukiwaniam wpływologicznymi lepiej trzymać się z dala od dociekań na prawdą historyczną.

W ocenie politycznego ruchu masowego jedynym obiekty nym kryterium może być miara zgodności programu daneg ugrupowania z interesami i pragnieniami sił, które reprezen tuje. W danym wypadku — czy PPS wyrażała interesy i dą żenia klasy robotniczej polskiej i czy praktyka, działalność po lityczna i wychowawcza partii pozostawała w zgodzie z zało żeniami ideologicznymi. Niestety, takie postawienie sprawy wi dzimy we fragmentach tylko dyskusji prowadzonej na temat his torii PPS, gdy winno być ono motywem przewodnim. Mate riału zaś do ustawienia problemu w tej płaszczyźnie dostarcz pod dostatkiem sześćdziesiąt z górą lat działania PPS.

Weźmy chociażby zjawisko trójzaborowości PPS. Formal nie niezależne w każdym z trzech zaborów partie występował na zewnątrz na terenie Międzynarodówki Socjalistycznej jak jednolita organizacja. Autorzy, zabierając głos w omawiane dyskusji, bądź pomijają ten fakt, bądź obiecują się nim zając dopiero w przyszłości. A przecież obrazuje on siłę zasięgu ruch i postawę zasadniczą w życiu narodu polskiego. Czyż nie jest t jasne kryterium dla oceny znaczenia PPS? Biorąc ten fakt po uwagę trzeba by od razu w nowej postawić płaszczyźnie chociaż by ulubiony przez komunistów temat rzekomego separatyzm czy nawet wrogiego stosunku PPS do rewolucji rosyjskiej.

Na ten temat istnieje bogata publicystyka z lat rewoluc 1905-go roku i czasów porewolucyjnych. Stosunek do rewoluc rosyjskiej zawsze, od czasów dekabrystów czy później Narodne Woli, układał się w alternatywie: koordynacja czy utożsamienie Sam fakt trójzaborowości wykluczał utożsamienie ruchu rewo lucyjnego w Polsce z ruchem rosyjskim. Jakżeby mogła się zmie ścić w takich ramkach PPSD zaboru austriackiego czy PPS za boru pruskiego? A zresztą możliwość sporu przecięły wydarzeni rewolucji 1905 roku, gdy manifestacja grzybowska (13 listopad 1904 roku) wyprzedziła analogiczny, chociaż o wiele mniej „pro letariacki" przejaw rewolucyjny w Rosji, w postaci wielkiej de monstracji w Petersburgu (22. I. 1905), z ikonami i pod wodz popa Hapona.

O krytycznym stosunku PPS do rewolucji rosyjskiej możn by dziś wiele napisać, ale wystarczy tu stwierdzić, że krytyczn stosunek nie jest jeszcze stosunkiem wrogim. W starych rocz nikach „Robotnika", nawet za czasów redagowania go prze Piłsudskiego, jak również w broszurowych publikacjach PPS znajdziemy zawsze podkreślenie pozytywnego stosunku d ruchów rewolucyjnych w Rosji i gdyby tak nie było Lenin i inn rewolucjoniści rosyjscy nie cieszyliby się pomocą Daszyńskiego Marka czy Diamanda, kiedy znaleźli się w Galicji, na emigracj Nie wzięliby też wszyscy bez wyjątku pepesowcy, wypuszczen

z więzień i katorg czy przypadkowo losem wojny rzuceni do Rosji, czynnego udziału w rewolucji 1917 roku. Tylko nie chcieli, i, będąc wierni sobie, nie mogli się utożsamiać z żadną partią rosyjską. Utożsamili się z leninowskim skrzydłem Socjalnej Demokracji rosyjskiej zwolennicy i członkowie SDKPiL. Przypłacili to udziałem w pierwszej próbie sowieckiego najazdu na Polskę. To im nie pomogło do zadzierzgnięcia węzłów z polskim proletariatem.

Historii PPS nie sposób jeszcze pisać obiektywnie. Za blisko stoimy problematyki, która stanowi treść jej dziejów. Gdyby nawet traktować ten tylko jej rozdział, który został zamknięty w 1918 roku, i tu nie można oderwać się od aktualności zjawiska, które ciągle pulsuje w życiu polskim. Toteż rozumiem doskonale zarówno trudności materialne jak i opory psychiczne publicystów komunistycznych, zajmujących się historią ruchu robotniczego, jak również ich chęć uratowania co się da z oficjalnego arsenału osądów, zgromadzonych przez komunistów w walce z PPS. Tym bardziej podziwiam odwagę zerwania przynajmniej z ordynarnym prostactwem w traktowaniu przedmiotu. Myślę jednak, że nawet od przeciwników można wymagać jeszcze nieco więcej obiektywizmu, lepszych metod badania i słuszniejszych kryteriów oceny. Stąd tych kilka uwag, usiłujących skierować na inne nieco tory dociekania szczerych poszukiwaczy skarbu doświadczeń polskiej klasy robotniczej. Rolę zaś bezpośredniego bodźca, który mi kazał usiąść do pisania, odegrała końcowa uwaga autorów ,,Sporu o skarb i dług'', odsłaniająca ich wewnętrzną walkę i rozdwojenie trudne do przezwyciężenia wobec sprzeczności między wymaganiami prawdy, a potrzebami propagandy.

Wyłaniający się stąd dylemat określają Żarnowska i Drozdowski rozróżnieniem między naukowym i ideologicznym aspektem historii. Wypowiadają się za samodzielnością naukowego aspektu, ,,którego najistotniejszą cechą winno być adekwatne odzwierciadlenie procesu historycznego bez wszelkich dodatków wartościujących''. Pragnęliby więc wyzwolić od podporządkowania historiografii wymogom propagandy, ale jednocześnie przyjmują tezę iż ,,ideologiczny aspekt (historiografii) *siłą faktu* koncentruje się na ocenie, wartościowaniu, afirmacji kierunków i tendencji najbardziej bliskich programowi partii'', czyli inaczej, że można w historiografii uprawiać również metodę przystrajania prawdy stosownie do wymagań partii.

Do czego to prowadzi, dał nam obraz dość wymowny właśnie Najder, opisując fałszowanie nawet ruchu prekomunistycznego, by wydobyć na jaw ,,tendencje najbardziej bliskie programowi partii'' w chwili obecnej. Wydaje mi się, że w publicy- ,,aspektu ideologicznego'', który zezwala na dowolne wartościowanie i afirmacje z punktu widzenia polityki chwili. Istnieje w niej miejsce tylko na wartościowanie w świetle danego czasu i danych warunków, w których zachodziło określone zjawisko. Dlatego trzeba zwrócić uwagę na metodę badań, kryteria war-

tościowania i niektóre aspekty historii PPS, których pomijan w prowadzonej dyskusji, a zapewne również w przeprowadz nych studiach, musi prowadzić do zatrucia publicystyki hist rycznej ,,aspektami'' wrogimi prawdzie.

Zygmunt ZAREMBA

W odpowiedzi redaktorowi Turowiczowi

Wiadomości o grożącej krajowi nowej fali antysemityzmu wywołały a kietę na ten temat w ,,Kulturze'' paryskiej, ogłoszoną w N-rze wrześniowy 1956. Prasa krajowa podała nam szereg faktów, listy prywatne wyjaśni nurtujące społeczeństwo urazy. Wreszcie zabrał głos ,,Tygodnik Powszec ny'' w N-rze 11, z 17 marca 1957, w artykule wstępnym naczelnego reda tora.

Jerzy Turowicz postawił dwie tezy zasadnicze: 1) że po kilkus latach współżycia obu narodów na ziemi polskiej, Żydzi mają prawa wspó gospodarzy za udział, który brali w historii kraju, jego ekonomii i kulturz 2) że antysemityzm z katolicyzmem pogodzić się nie da i że w istocie swoj jest całkowicie pogański.

Tym dobitnym oświadczeniom, trafiającym w sedno sprawy, towarzys obszerne rozważania na temat czy antysemityzm dziś w Polsce w ogó istnieje, czy też nie. Pan Turowicz pisze więc, że antysemityzm jako ,,ki runek programowo-światopoglądowy został w Polsce przełamany'', że s jednak zjawił jako tendencja wśród pewnych członków PZPR, czyli jak ,,towar importowany'', że ,,hasła te natrafiają w masach na podatny grunt' ale obawa antysemityzmu nie jest dziś uzasadniona, co nie znaczy, że z je objawami nie należy walczyć, ich się wystrzegać, albo je lekceważyć.

Kampania prasowa na ten temat ma, zdaniem Turowicza, obok dobry też i złe strony, bo ,,może dla obserwatorów zagranicznych stworzyć ni zgodne z rzeczywistością i szkodliwe dla interesów Polski wrażenie''.

Ten długi komentarz do zagadnienia tragicznie prostego, czyli do ni zawodnie istniejącego nadal w Polsce antysemityzmu, zdaje się świadcz o oporach wewnętrznych piszącego, albo o jakichś przemilczeniach, któ podważają zaufanie czytelnika i osłabiają wagę wyżej wymienionych oświa czeń. Wzgląd zaś na ,,obserwatorów zagranicznych'' i zagrożony jako kampanią prasową ,,interes Polski'' brzmi w tym kontekście fałszywie. N jest ważne *co* o nas zagranicą pomyślą, a ważne jest *czym jesteśmy*. Waż jest uświadomienie społeczeństwa i uprzedzenie nowych haniebnych wybr ków.

Prawda prędzej czy później zawsze wyjdzie na jaw a plotka ją wy brzymi.

Oświadczenie swoje o niezgodności antysemityzmu z katolicyzmem po budowuje Turowicz katolickim personalizmem i uniwersalizmem. Nieste

ludzie o tradycyjnie bezmyślnych urazach, albo ślepo niechrześcijańskich nienawiściach, którzy protestowali przeciwko wydrukowaniu w „Tygodniku" wiersza poświęconego pamięci Juliana Tuwima, ci ludzie i im podobni — nie dosłyszą argumentów filozoficznych. To co wieki poprzednie posiały w umysłach i sumieniach narodu i za co kler katolicki ponosi także w dużej mierze odpowiedzialność, nie da się odrobić w jednym pokoleniu, ani nie dało się wytrzebić strasznym przykładem zbrodni hitlerowskiej.

Najstraszniejsze w dziejach ludzkości ludobójstwo, masakra kilku milionów Żydów w Polsce, obranej przez Hitlera jako plac straceń, krew i popioły tych ofiar, które wsiąkły w ziemię polską, stanowią istotną więź która spoiła Polskę z narodem żydowskim i od której zwolnić się nie jest w naszej mocy. Polska jest obciążona jeśli nie odpowiedzialnością za zbrodnię to odpowiedzialnością za jej zadośćuczynienie. Uczuciami solidarności ze skazanymi wtedy na śmierć ludźmi, ani podziwem dla walczącego ghetta (o czym p. Turowicz wspomina we wstępie do swego artykułu) nie mamy prawa się chwalić ani zasłaniać. Uczucia te nie były ani powszechne, ani nawet przeważające w narodzie.

W ostatnim paragrafie autor artykułu tłumaczy się niejako przed tymi czytelnikami i przyjaciółmi pisma, którym powyżej wyrażone poglądy „nie będą się podobały". To trochę tak, jakby ksiądz na ambonie tłumaczył się przed swymi parafianami, że zwalcza kradzież, zabójstwo lub cudzołóstwo. Przykazania Boże nie są chyba na to by się podobały, są obowiązującym dla ludzi wierzących prawem.



W pierwszej części swego artykułu p. Turowicz zapowiada, że zastanowi się nad zasięgiem antysemityzmu w Polsce, jego charakterem i źródłami, tych wyjaśnień jednak nie znajdujemy w artykule. Częściową odpowiedź na te zagadnienia przynoszą nam listy z kraju od osób wiarygodnych i w ofiarnej pomocy dla Żydów w latach hitlerowskich zasłużonych. Te listy omawiają sytuację wiadomą, że dużo naczelnych stanowisk w Polsce zajmowali i jeszcze dziś zajmują Żydzi polscy albo rosyjscy, korzystając z przywilejów z tymi stanowiskami związanych, taki stan rzeczy wywołuje rozdrażnienie i uczucia zazdrości w szerokich warstwach nieuprzywilejowanych obywateli; punktem jednak najdrażliwszym jest haniebnej pamięci Urząd Bezpieczeństwa, w którym pracowało sporo Żydów.

„To są rzeczy — piszą nam — które trudno skwitować ogólnikowym słowem antysemityzm..."

Zastanówmy się: ludzie, którzy byli dręczeni w więzieniach U.B., gotowi są nie pamiętać winy ciążącej na ministrze Radkiewiczu, odpowiedzialnym za to co się działo, gotowi są rozgrzeszyć Ubowców Polaków, darować dostojnikom Polakom ich luksusowe wille i inne przywileje, pogodzić się z pomnikiem Dzierżyńskiego jako polskiego komunisty, ale ci sami ludzie nie wybaczą Ubowcom, ani komunistycznym dostojnikom pochodzenia żydowskiego, będą protestować przeciwko czci pamięci Tuwima i czci składanej ofiarom ghetta i będą wypominać aż do dziesiątego pokolenia każdą kroplę krwi żydowskiej.

O tych sprawach już się mówiło i pisało niejednokrotnie, są one zadrażnione, zatrute wszelakimi pasjami i tak złożone, że nie sposób się ich dotknąć nie wpadając w splot kontrowersji nie do rozwikłania. Naczelna rola Żydów w krajach świata komunistycznego wynika oczywiście z ich zaufania do ustroju, który zasadniczo wykluczał wszelki rasizm i nacjonalizm, z ich zdolności abstrakcyjnego myślenia, umiejętności do kompromisu i przystosowania się do ustroju, który im dawał szanse odegrania się po latach mordów i poniewierania. Ale ileż naczelnych stanowisk zajmują Żydzi na Zachodzie,

w krajach kapitalistycznych ? Kto jeśli nie oni wystąpili pierwsi z oskarże-niem zbrodni stalinowskich ? Jaki jest ich udział w nauce i sztuce na całym świecie i w jak znacznej mierze zaważyli na rewolucji październikowej w Polsce ?

Te różne aspekty należy mieć na uwadze wyrokując o chwili obecnej obciążonej całym dziedzictwem przeszłości. Łańcuch win i zaniedbań sięga daleko, nie widzimy jego początku ani końca, są łańcuchowe nieuniknione reakcje tych win, jest zemsta i odemsta ciasno splecione w przeklęte koło. Kto je rozplecie, kto rozerwie ? Każdy z nas Polaków i Polaków-Żydów i Żydów nie Polaków dziś, zaraz i wszędzie drogą jawności i w duchu braterstwa — albo nikt, nigdy i nigdzie. I wtedy nie będzie końca tego łańcucha.

M. CZAPSKA

Paryż, kwiecień 1957.

Archiwum polityczne

Nurty i perspektywy

I

KATALOG MARKSIZMÓW

Dr Leszek Kołakowski rozróżnia trzy typy marksizmu: marksizm roboczy, marksizm młodzieżowy, marksizm właściwy.

Klasyfikacja powyższa wydaje się niekompletna. Istnieje bowiem jeszcze czwarty typ marksizmu, a mianowicie państwowy marksizm sowiecki.

Prof. dr Kołakowski jest uczniem prof. Kotarbińskiego i filozofem teoretykiem. Tylko tym należy tłumaczyć, że w swej klasyfikacji pominął marksizm sowiecki. Dla filozofa nie istnieje bowiem państwowy marksizm sowiecki z tej prostej przyczyny, że to w ogóle nie jest marksizm. Dla polityka natomiast, państwowy marksizm sowiecki z wszystkich gatunków marksizmu jest najważniejszy.

Gdy w ubiegłym roku tłumaczyłem dla ,,Kultury'' referat Chruszczowa, wygłoszony na XX Zjeździe KPZR — doszedłem do wniosku, że wykształcony marksista nigdy by takiego przemówienia nie wygłosił. Centralna teza Chruszczowa — jak wiadomo — dotyczy tak zwanego kultu jednostki, który był źródłem i przyczyną wszelkiego zła w przeszłości. Próba wyjaśnienia złożonego procesu historycznego ,,kultem jednostki'' jest polityczną ,,idealizacją'' nie do przyjęcia dla marksisty. Na ten fakt zwrócił zresztą uwagę Mieczysław Bibrowski w odpowiedzi Azizjanowi.

Kult jednostki nie był przyczyną tylko skutkiem. To nie kult jednostki powodował terror tylko odwrotnie, dlatego, że

istniały rządy terroru powstał kult jednostki. Ale dialektyka w państwowym marksizmie sowieckim nie odgrywa żadnej roli. Dialektyczny materializm nie decyduje o niczym — bieżący interes polityczny decyduje o wszystkim.

Trzeba stwierdzić, że pewni polscy komuniści z wielką cywilną odwagą przeprowadzili nieubłaganą krytykę najjaskrawszych deformacji państwowego marksizmu sowieckiego. Wystąpienia te miały zawsze charakter obronny i były odpowiedzią na ataki prasy sowieckiej.

Po rewelacjach Chruszczowa na XX Kongresie KPZR nadarzała się sposobność „sekularyzacji" marksizmu. Głównej roli w tym procesie musiałyby się podjąć zagraniczne partie komunistyczne — ściślej mówiąc zachodnio-europejscy komuniści. Przed zachodnimi komunistami pojawił się problem czy przywrócić marksizmowi statut niezależnej doktryny filozoficzno-społecznej i obalić dogmat nieomylności Moskwy, czy też, mimo wynurzeń Chruszczowa, pozostać na „łonie kościoła".

Izaak Deutscher, w jednym z swych szkiców, wprowadza zasadnicze rozróżnienie między heretykiem a renegatem. Ale rozróżnienie powyższe możliwe jest tylko poza granicami marksizmu definiowanego aktualnym interesem Sowietów. Wolfgang Harich nie był renegatem. Wiedzą o tym wszyscy. Był niewątpliwie heretykiem. Na rozkaz Moskwy uznano go jednak za renegata i skazano za zdradę stanu. Względy polityczne — czyli interesy Rosji — tak we wschodnim Berlinie, jak i uprzednio w Budapeszcie zadecydowały o tym co jest „prawidłowym" marksizmem-leninizmem a co renegactwem i zdradą.

Stalinizm niesie z sobą system moralnych tabu. Każdy komunista w Polsce wie, że Kadar powinien być w więzieniu a nie Harich. Ale mimo, że jest to problem istotny, objęty jest tabu. Komuniści w Polsce milczą z racji geopolitycznych. Dla jakich racji milczą komuniści na Zachodzie?

Komuniści zachodni mając do wyboru stalinizm albo antykomunizm — wybierają milczenie. Obawiają się bowiem, że krytyka s. . izmu może w praktyce oznaczać poparcie dla antykomunistycznej propagandy prowadzonej przez instytucje amerykańskie. Innymi słowy obawiają się by potępiając stalinizm nie popadli w renegactwo.

Z punktu widzenia marksizmu „właściwego", by użyć terminologii dra Kołakowskiego — wszystkie nadzieje socjalizmu związane są z antystalinowskim ruchem odbudowy i rewizji, którego wyrazem w Polsce był Październik. Wrogiem Nr 1 tego ruchu nie jest ani Free Europe ani propaganda amerykańska lecz stalinizm.

Nie jestem marksistą ale w pełni rozumiem tych komunistów, którzy są gotowi potępić stalinizm lecz nie są gotowi do zdrady komunizmu. Wydaje mi się jednak, że zachodni marksiści, którzy milczą w obawie by ich wystąpienia antystalinowskie nie zostały poczytane za poparcie amerykańskiego antykomunizmu a tym samym za renegactwo — z dwóch ewentual-

ności wybierają gorszą. Bo jeżeli Październik upadnie w Polsce, tak jak upadł na Węgrzech, to nie na skutek amerykańskiej propagandy, lecz na skutek triumfu stalinizmu, któremu lękano się przeciwstawić. Czasem i milczenie może być zdradą i renegactwem.

Pozycja antystalinowców wewnątrz obozu państw ,,demokracji ludowych'' byłaby zupełnie inna, gdyby stała za nimi solidarna opinia partii komunistycznych na Zachodzie.

Polscy antystalinowcy w gruncie rzeczy zawdzięczają daleko więcej komunistom chińskim niż komunistom zachodnio-europejskim.

Marksizm chiński stanowi zagadnienie odrębne. Mimo, że Chiny przy każdej sposobności podkreślają solidarność państw obozu socjalistycznego i czołową rolę Związku Sowieckiego — to niemniej wpływ Pekinu w kolektywnym przywództwie tego obozu stale rośnie. Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że Chińczycy w krytycznej chwili poparli Gomułkę nie wyłącznie z sympatii do jego programu. Nadarzała się sposobność poprzeć przywódcę komunistycznego, opozycyjnego w stosunku do stalinowskiej Moskwy, który dawał gwarancje, że pomoc tę w pełni oceni i zapamięta. Chiny — prawdopodobnie szczerze dbają dziś o zwartość i solidarność bloku państw komunistycznych. Prawdopodobnie szczerze uznają pewien autorytet Moskwy jako symbolicznej stolicy światowego komunizmu. Ale to wszystko nie zmienia faktu, że w świecie komunistycznym — jak w każdym świecie — toczy się bój o władzę i wpływy.

W 1938 roku nawet największy fantasta, w sensacyjnej powieści nie zaryzykowałby przepowiedni, że za kilkanaście lat Chiny będą miały więcej do powiedzenia nad Wisłą niż Niemcy, Anglia i Francja razem wzięte. Chiny gospodarczo są jeszcze bardzo słabe w proporcji do ich obszaru i cyfry ludności. Ale za dalsze kilkanaście lat sytuacja i na tym odcinku ulegnie zmianie.

Fakt, że granica na Odrze i Nisie uznawana jest między innymi i przez Czechosłowację nie posiada większego znaczenia. Natomiast wielkiego znaczenia jest fakt, że granicę tę uznaje Pekin. Gdyby kiedyś Rosja chciała podjąć inicjatywę niemiecką obejmującą wydatniejszą rewizję granic — Pekin na taki plan mógłby się zgodzić, ale mógłby się i nie zgodzić. Odbudowa sojuszu rosyjsko-niemieckiego nie leży w interesie Chin.

II

NARODU POLSKIEGO CZŁONKOWIE WSPIERAJĄCY

W początkach kwietnia odwiedził mnie młody ekonomista z Warszawy. Rozmawialiśmy o pożyczce amerykańskiej i o toczącej się na łamach prasy krajowej dyskusji na temat ,,pol-

skiego modelu gospodarczego''. W pewnej chwili mój młody gość rzucił pytanie: ,,Dlaczego emigracja nie zabiera głosu w tych sprawach? Socjaliści i nie-socjaliści w Polsce wysuwają często sprzeczne diagnozy i sprzeczne prognozy. Kto jak kto, ale polscy socjaliści przebywający na Zachodzie projekt polskiego modelu gospodarczo-społecznego powinni mieć od dawna gotowy. Jeżeli kiedy, to dziś jest chwila, by z takim projektem wystąpić''.

Cóż odpowiedzieć na takie pytania? Mamy zagranicą nie tylko socjalistów ale i wybitnych ekonomistów i znawców życia gospodarczego. Ale daremnie byłoby szukać ich nazwisk na łamach prasy czy fachowych periodyków krajowych. (Chwalebny wyjątek stanowi doskonały artykuł nie socjalisty p. Jerzego Zdziechowskiego na łamach ,,Tygodnika Powszechnego'').

Na emigracji panuje pogląd, że naszym obowiązkiem jest — jak to określił jeden z przywódców londyńskiego Veritasu — ,,nie włączać się do nurtu krajowego''. (Do jakiego nurtu mamy się włączać — brytyjskiego?).

Sfery kierownicze emigracji starają się narzucić opinię, że postawa antykomunistyczna wymaga całkowitego odcięcia się od rzeczywistości krajowej. Drukowanie fachowej rozprawy w periodyku krajowym, wzięcie udziału w dyskusji na temat ,,polskiego modelu gospodarczego'' — byłoby równoznaczne z uznaniem reżymu komunistycznego a tym samym rezygnacją z polityki niepodległościowej.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że stawianie znaku równania między antykomunizmem a postawą niepodległościową — jest fałszywym uproszczeniem. Znam nieprzejednanych antykomunistów, którzy na łamach prasy niemieckiej wyrazili pogląd, iż nasze ziemie zachodnie winny wrócić do Niemiec. Czy taki polski antykomunista jest niepodległościowcem? W moich oczach — nie.

Odwrotnie, wielu komunistów antystalinowców oddało wielkie usługi narodowi polskiemu. Ci wszyscy marksiści, którzy walczą z stalinizmem, którzy odważnie polemizują z prasą sowiecką i odpierają ataki tak polskich jak i rosyjskich ,,dzierżymordów'' — są obrońcami tej ograniczonej wolności i tej ograniczonej demokracji, które wyróżniają Polskę wśród innych państw bloku wschodniego.

Każda emigracja po pewnym czasie popada w ,,mesjanizm''. Tym mesjaszem, którego my oczekujemy, jest ,,wyzwolenie''. Wszystko co dzieje się w Kraju do ,,wyzwolenia'' nie jest ważne, bo przecież nie dzieje się w Polsce tylko w ,,Polsce Ludowej''.

Tradycja państwowa jest w nas bardzo wiotka i dlatego tak trudno jest nam pojąć, że istotą wszelkiej polityki narodowej jest *ciągłość*. Jeżeli jutro nastąpiłoby ,,wyzwolenie'' — zmieniłby się rząd i Sejm ale zasadnicze problemy Polski Ludowej pozostałyby te same. Gdyby p. Cyrankiewicza zastąpił p. Ciołkosz nie byłoby przez to ani o jeden bochenek chleba więcej.

Młody ekonomista z Kraju — o którym wspomniałem powyżej — naświetlając pewne strukturalne trudności polskiego przemysłu podkreślił brak warstwy kierowników i dyrektorów. Fabrykę można zbudować w dwa lata — inżyniera można wykształcić w cztery czy w pięć lat. Ale na dobrego dyrektora czy kierownika fabryki trzeba czekać 25 lat. Trzeba bowiem na to doświadczeń całego życia.

To są setki i tysiące zagadnień, które nie znikną w dniu wyzwolenia. Te sprawy i problemy stanowią treść polityki polskiej, którą my ignorujemy, z której nurtu postanowiliśmy się wyłączyć.

Nie ma polityki niepodległościowej w oderwaniu od rzeczywistości polskiej. W oderwaniu od rzeczywistości można tylko snuć wspominki o raczej nieświetnej przeszłości. Nie walczymy bowiem o pełnię niepodległości dla historycznej Polski sprzed dwudziestu laty — tylko dla tej obecnej, biednej i... ludowej.

Chciałbym zamknąć te rozważania wyodrębnieniem kilku punktów.

I. — Należy rozróżnić niepodległość od formy ustroju. Hiszpania nie jest państwem w pełni demokratycznym choć jest niepodległa. Można nie być z przekonań zachodnim demokratą a być polskim niepodległościowcem i patriotą. I odwrotnie iluż jest Polaków o przekonaniach liberalnych, którym polska niepodległość jest doskonale obojętna.

Weźmy dla przykładu dwóch Polaków. Jeden z nich jest antystalinowcem i marksistą zamieszkałym w Warszawie. W prasie krajowej ukazują się jego artykuły — podpisane imieniem i nazwiskiem — a polemizujące nierzadko z stalinowcami w ,,Prawdzie'' i w innych pismach sowieckich Nikt chyba nie powie, że ten polski marksista z rozkazu Kremla i za pieniądze Kremla polemizuje z ,,Prawdą'', na której łamach wymyślają mu od polskich imperialistów.

A teraz weźmy Polaka z Londynu, który jest aktywnym antykomunistą płaconym co miesiąc przez instytucje obcego mocarstwa.

Jeżeli któryś z tych dwóch Polaków jest ,,agentem'' to na pewno nie ten marksista w Warszawie. Tak czy nie?

Nie odmawiajmy praw do polskości ludziom, którzy wyznają inną ideologię niż my, tym bardziej, że większość z nas (emigrantów) nie wyznaje żadnej ideologii.

II. — Przez ,,wyzwolenie'' przeciętny Polak zagraniczny rozumie odzyskanie pełnej niepodległości na zewnątrz i odbudowę ustroju demokratycznego na wewnątrz. W emigracyjnej mesjanistycznej perspektywie i porządku rzeczy bezpośrednio po ,,wyzwoleniu'' odbędą się wolne wybory z których — niczym Afrodyta z piany morskiej — wyłoni się ów doskonały ustrój demokratyczny o którym mówią od lat ,,orędzia'', ,,deklaracje'' i wszyscy wodzowie emigracji.

W rzeczywistości walka o polski przyszły ustrój demokratyczny trwa nieprzerwanie w Kraju, gdyż walka o poszerzenie sfery wolności jest zawsze walką o demokrację. Walka toczy się na wszystkich polach działalności społecznej, kulturalnej, artystycznej. Jednym z najistotniejszych teatrów operacyjnych tej walki jest front ideologiczny. Jestem osobiście przekonany, że jeżeli w danym okresie dyktat partii przytłumi czy wręcz zgasi ten proces — do sformułowań i osiągnięć tej dyskusji polscy antystalinowcy powrócą. Powrócą gdy nacisk z zewnątrz zmaleje. Powrócą gdy polscy antystalinowscy marksiści nie będą musieli drukować swych pewnych wypowiedzi zatrzymanych przez cenzurę — na łamach obcych periodyków.

Wydaje mi się, że nie należy w tej sprawie operować nazwiskami. Wystarczy jeżeli powiemy, iż najśmielsze z tych sformułowań różnią się nieznacznie od analogicznych koncepcji socjalizmu demokratycznego.

W prasie emigracyjnej — jakże w licznych wypadkach — potraktowano tę dyskusję kpinami. Polacy z Kraju, z którymi rozmawiałem tu w Londynie, nie mogli wprost uwierzyć, że są emigranci, którzy do tego stopnia zatracili wyczucie sytuacji w własnej ojczyźnie.

Ów młody ekonomista, na którego już kilkakrotnie powoływałem się w tym artykule i który nota bene nie jest i nigdy nie był komunistą — wskazując na pewien artykuł w prasie emigracyjnej zauważył: ,,To nie ten Polak walczy o demokrację w Polsce, który ośmiesza i wykpiwa dyskusję ideologiczną w Kraju siedząc bezpiecznie w Londynie na stypendium Free Europe! Nie, o demokrację w Polsce walczy ów wykpiwany przez niego antystalinowiec marksista czy nie marksista, który notowany i z bliska obserwowany przez ambasadę sowiecką w Warszawie — ryzykuje w swych artykułach poglądy, za które przyszłoby mu ciężko zapłacić w razie ,,zmiany linii''.

III. — Musimy wybrać. Albo zadowolimy się rolą ,,wspierających członków'' narodu polskiego rezygnując z góry z wszelkiego współudziału w życiu Kraju, albo musimy zmienić nasze dotychczasowe poglądy.

Polityka polska obejmuje dwa nurty. Dążenie do maksymalnego uniezależnienia Polski od jednostronnego nacisku Rosji — oraz wypracowanie form sprawiedliwego społecznie ustroju.

Co my, jako polityczna emigracja, mamy do powiedzenia w sprawie przebudowy ustroju? Każde potknięcie się, każde niepowodzenie czy klęskę Gomułki kwitujemy złośliwymi komentarzami à la ,,myśmy to dawno przewidywali''. Ale jaki model społeczno-ustrojowy my reprezentujemy? Przedwojenne partie polityczne porozbijane na grupy i grupki? Gdzież istnieją lepsze warunki jeżeli nie tu na Zachodzie do opracowania wielkiego programu ,,reformy reform''. Były w tym kierunku podejmowane indywidualne próby, jak na przykład ankiety ,,Kultury'' o przemianach w Polsce. Jednak jako całość, jako Emigracja,

nie mamy żadnej polityki na Kraj a jedynie propagandę i to... nie naszą własną. Nasi działacze konkurują między sobą w manifestowaniu frazesowiczowskiego antykomunizmu w trosce o zasiłki, posady, stypendia. Za niejedną emigracyjną ,,uchwałą'' kryje się również ta troska.

Sprawa posiada jeszcze jeden aspekt, który się przemilcza. W prasie emigracyjnej granica między antykomunizmem a antypolskością bywa często zatarta. Nie pomogą żadne Macierze Szkolne jeżeli młodzież wychowywać się będzie w antykomunizmie przerodzonym w antypolskość. Dla młodego emigranta, który skazany jest oglądać Polskę poprzez perspektywę londyńskiego ,,Dziennika Polskiego'' — daleka nieznana ojczyzna musi się wydawać krajem ponurej anegdoty.

Jaki jest cel tego rodzaju polityki? Sto czy sto trzydzieści tysięcy Polaków w Wielkiej Brytanii stanowi niewątpliwie najbardziej antykomunistyczną grupę ludnościową w Zachodniej Europie. Jeżeli ktokolwiek z nas miał choćby najsłabsze sympatie pro-komunistyczne, po przewrocie październikowym mógł bez przeszkód wrócić do Kraju. Indoktrynowanie w antykomunizmie dzień po dniu Polaków w Anglii jest równie zbędne jak nawracanie Jezuitów na katolicyzm.

Co jest naszym celem — czy wychowanie młodzieży na internacjonalnych antykomunistów i przyszłych funkcjonariuszy wszystkich możliwych antykominternów, czy też na rzetelnych Polaków, dążących do niepodległości ojczyzny i przebudowy jej ustroju.

Jeżeli nie mamy dość inteligencji by połączyć postawę antykomunistyczną z pro-polskością lepiej byśmy byli mniej antykomunistyczni a bardziej pro-polscy niż odwrotnie. Nie możemy bowiem propagandy antykomunistycznej opłacać antypolskością, jeżeli nie chcemy przypieczętować procesu wynaradawiania się naszej młodzieży.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

SŁOWA NIE STAJĄCE SIĘ CIAŁEM

Polaka zagranicznego przywykłego od lat do prasy zachodniej — w polskiej prasie uderzają trzy rzeczy:

1. — Wiadomości polityczne podawane są w identycznej oficjalnej wersji przez wszystkie pisma codzienne. Jest to straszliwie nudne.

2. — Artykuły są niebotycznie długie. Lippman — jeden z najlepiej płatnych dziennikarzy świata pisze artykuły od 70 do 100 wierszy. Słynne artykuły redakcyjne w „The Manchester Guardian" liczą często 15 do 20 wierszy !

Może się to komuś wydawać dziwne ale długość artykułów w prasie jest funkcyjnie związana z szerokością geograficzną. Im dalej na wschód od Greenwich tym artykuły dłuższe.

3. — Na trzecim miejscu należy wymienić ów charakterystyczny rozziew jaki panuje między słowem a ciałem-faktem. Im dalej na wschód tym treść słów trudniejsza jest do zdefiniowania a związek ich z rzeczywistością jest bardziej luźny.

Otwieram „Nową Kulturę" i czytam artykuł wybitnego pisarza, krytyka i marksisty w jednej osobie kryjącego się pod literkami Ktt.:

> „Jeżeli zgodzimy się aby wielość myślenia i swoboda dyskusji, rozmaitość tworów ludzkiego geniuszu, wolność myślenia, głoszenia swych myśli i tworzenia nowych dzieł rozkwitała nie u nas, lecz u nich, po przeciwnej stronie barykady, w innych niesocjalistycznych krajach — przestaniemy być socjalistami".

Pięknie. Odkładam „Nową Kulturę" i biorę do ręki „Po Prostu". Z artykułu p. Karłowicza dowiaduję się, że Księgarski Ośrodek Bibliograficzny opracował i wydał „Katalog Książek Wyczerpanych". Tomisko liczy 379 stron i zawiera przeciętnie 40 tytułów na stronie. Do tego osobliwego katalogu dołączone jest „pismo okólne" nr 10/57 w którym powiedziano, że „... księgarze mają niezwłocznie przystąpić do oczyszczania półek z tytułów zdezaktualizowanych, umieszczonych w załączonym katalogu".

Wymowny dopisek do tego „okólnika" nakazuje przechowywać katalog w księgarni pod osobistą odpowiedzialnością kierownika, bowiem przeznaczone jest to dzieło „wyłącznie do użytku służbowego".

To nie Marks ale Oskar Wilde napisał kiedyś, że życie naśladuje sztukę. Książki wymienione na 379 stronach katalogu w przytłaczającym procencie nie są bynajmniej wyczerpane. Ale cóż to szkodzi ! Życie musi się nagiąć do sztuki — w tym wypadku do sztuki cenzorskiej. Gdy kierownicy bibliotek i księgarń oczyszczą półki z tytułów „zdezaktualizowanych" i rzucą je na przemiał — katalog będzie w pełni odpowiadał prawdzie, gdyż stanie się spisem książek zniszczonych, a więc i wyczerpanych.

Więc jak to właściwie jest. Ktt stwierdza : „Jeżeli zgodzimy się aby wolność i swoboda dyskusji, rozmaitość tworów ludzkiego geniuszu... rozkwitała nie u nas, lecz u nich, w innych niesocjalistycznych krajach — przestaniemy być socjalistami".

O ile istnieją obiektywne dane, pozwalające w sposób zrozumiały wyjaśnić dlaczego przeciętny Polak żyje biednie w porównaniu z przeciętnym Amerykaninem — o tyle nie ma żadnych racjonalnych przyczyn, którymi można by usprawiedliwić stosowanie w Polsce metod Inkwizycji z „Index Librorum Prohibitorum" na czele.

Ów wschodni rozdźwięk między słowem a jego materialnym realistycznym pokryciem jest czymś absurdalnie *nie* marksistowskim. Słowo przestaje być narzędziem dialektyki i pryska pusto na piance frazesów. Marksizm to jest zachodnia szkoła myślenia. James Burnham wiele lat temu zerwał z ko-

munizmem i jest obecnie współredaktorem prawicowego pisma. Niemniej, każdy jego artykuł jest wzorem dialektyki.

Lecz skończmy ten nawias.

Socjalizm buduje się etapami. Natomiast jedno jest pewne. Na żadnym etapie nie należy socjalizmu kompromitować. Ci, którzy socjalizm kompromitują — sabotują. Nie ma na to innego określenia.

Onegdaj odwiedził mnie młody człowiek z Kraju. Przekonany komunista, członek Partii od dwunastu lat. W toku rozmowy pokazałem mu notatkę w „Po Prostu" o owym indeksie książek zakazanych. Młody człowiek w miarę jak czytał purpurowiał. Cenię go za ten rumieniec.

Pokazałem mu również list z dyrekcji Poczty Brytyjskiej informujący p. Bolesława Taborskiego, tłumacza wydanej przez nas powieści Grahama Greene'a „Moc i Chwała", a którą zamierza wydać teraz „Pax", że paczki wysłane przez niego do Kraju, zawierające egzemplarze powieści — uległy konfiskacie. Pokazałem dziesiątki zawiadomień poczty francuskiej stwierdzającej konfiskaty „Kultury" i jej książek w Polsce jako „druków zakazanych".

Przeczytałem także mojemu gościowi odpis listu jaki otrzymał redaktor „Kultury" od Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom w Warszawie. W początkach marca br. zaproponowaliśmy Komitetowi przesyłkę paru tysięcy egzemplarzy książek, wydanych przez „Kulturę" — do rozsprzedania ofiarując całość pieniędzy tą drogą uzyskanych na pomoc repatriantom. Komitet podziękował i — odmówił. A wybraliśmy książki „niepolityczne", przede wszystkim tych autorów, którzy drukują w Kraju lub otrzymali propozycję druku.

— Widzi pan — odezwałem się do mojego młodego gościa — polscy marksiści swoim inkwizycyjnym indeksem książek zakazanych chcieliby objąć całą Europę a nie tylko Polskę.

— To nie marksiści ! — oburzył się młody człowiek.

— Więc kto ?

— Biurokraci !

— Tą sztancą niech pan operuje w Kraju, nie tu ! W Polsce Ludowej za wszystko odpowiadają marksiści — za biurokratów również.

Mój gość palił pospiesznie „Player'sy", a ja uświadomiłem sobie nagle jaki straszliwy kompleks niższości wobec „burżuazyjnego" Zachodu fundują w duszach młodych marksistów partyjne kacyki. Większość tych kacyków uformowała się w prowincjonalnym, komunistycznym ghetcie i nie wyszła nigdy poza krąg marksizmu dla pół-inteligentów. Ci panowie nie wyobrażają sobie rządów bez konfiskat, cenzur, prohibitów itd. Dla inteligencji humanistycznej żywią niekłamaną pogardę. Ideałem kacyków jest inteligencja złożona z samych inżynierów, chemików, techników. Humanizm w samym założeniu wydaje im się kontrrewolucyjny.

Podsunąłem mojemu sympatycznemu gościowi pudełko z papierosami i powiedziałem co następuje :

— Wynaturzenia władzy są zawsze stalinizmem. Łatwiej jest rządzić przy cenzurach i prohibitach — jeszcze łatwiej przy rozbudowanym aparacie Bezpieki — najłatwiej stosując masowy terror. Ale ci, którzy stosują te metody — choćby socjalizm z ust im nie schodził — nie są socjalistami. O losach socjalizmu nie zadecydują filozofowie ani socjalistyczne „pięknoduchy". Socjalizm stoi i upada praktyką.

W każdym systemie społecznym spotykamy przerosty władzy. Łatwo — powiedzmy dla przykładu — wykazać, że w demokracji brytyjskiej rośnie stale zakres władzy rządu a nie parlamentu. Ale w żadnym innym systemie przerosty władzy nie mają tak decydującego znaczenia jak w ustroju socjalistycznym. W tym wypadku bowiem przerosty decydują o istocie ustroju — o socjalizmie. Jeżeli przerosty władzy przekroczą pewną granicę z socjalizmu pozostają tylko frazesy i hasła. Osobiście uważam książkę Dr Kołakowskiego „Światopogląd i życie codzienne" za doskonałą. Ale o tym w jakiej mierze Polska współczesna jest krajem socjalistycznym *nie mówią* książki Dr. Kołakowskiego lecz te książki, które w Polsce są zakazane.

ŁOSOŚ PO POLSKU

Chodzi o rzecz poważną — o ryby. By uniknąć zarzutu, że poruszam sprawy na których się nie znam — wyjaśniam z pośpiechem że łowię ryby nieprzerwanie od 8-go roku życia czyli w sumie 42 lat. Łowiłem ryby w Sowlince, w Łososinie, w Dunajcu, w Rabie, w Nilu, w Eufracie, w Tygrysie i w dziesiątku innych rzek. Od dziesięciu lat łowię ryby w Tamizie powyżej Richmond. Posiadam sporo książek poświęconych rybołóstwu i jeżeli mam pretensje do fachowości w jakiejś gałęzi działalności ludzkiej — to właśnie w tej.

W Ameryce w Anglii czy w Szwajcarii jest wielu zawodowych wędkarzy, którzy za wysoką opłatą bogatym dyrektorom i dyplomatom zdradzają sekrety „Long-corking", „Spinning", „Fly-fishing" i innych technik królewskiego sportu. W Polsce jest w tej chwili 190 tysięcy zarejestrowanych wędkarzy (i ufam — z pół miliona niezarejestrowanych) ale mimo wszystko wątpię czy znalazłaby się dla mnie posada wędkarskiego instruktora.

Każdy wędkarz bez względu na wiek, płeć, narodowość, religię (if any ?), ideologię czy przynależność partyjną — ma jedno marzenie w życiu : łowić łososie.

By laikom umożliwić zrozumienie praktycznych sugestii, które pragnę wysunąć — należy wpierw uplastycznić kilka punktów.

Żaden sport poza wędkarstwem nie budzi w skądinąd chłodnych reprezentantach płci męskiej tak fanatycznej lojalności i przywiązania. Znałem ludzi, którzy po dziesiątkach lat nałogowego palenia przestawali palić. Znałem takich, którzy pewnego pięknego poranku przestali zażywać morfinę, którzy wyparli się wódki, zażywania tabaki i telewizji. Nie znałem jednak nikogo, który by porzucił wędkarstwo. Raz wędkarz — całe życie wędkarz. To jest żelazna reguła, która tym różni się od wszystkich innych reguł, że nie zna żadnych wyjątków.

Łowienie łososia w górskiej rzece jest pra-esencją sportu, przygody i urody życia. To jest przeżycie niepowtarzalne i jedyne za które warto zapłacić (jeżeli się ma) każde pieniądze. Wędkarze składają już nie miesiącami ale latami na opłacenie kosztów jednego „łososiowego" urlopu.

Wędkarzy w Kraju i poza Krajem zainteresuje może szczegół, że w Tamizie — jednej z najbardziej rybnych rzek w Europie — do dziś trafia się specjalny gatunek pstrąga. Każdy wędkarz tamizowy oddałby chętnie wszystko co kiedykolwiek w Tamizie ułowił — za jednego pstrąga. Wielki autorytet — jeżeli chodzi o rybołóstwo w Tamizie — Ken Sutton podaje, że rekor

dowy pstrąg złowiony w Tamizie w ostatnich latach ważył 39 funtów i 8 uncji, to jest około 23 kilogramów.

Łowiąc w Tamizie dziesięć lat na pstrąga nigdy się nie natknąłem. Łososi w Tamizie nie ma. Ale nie zawsze tak bywało. Jeszcze sto lat temu, gdy ojciec z prowincji oddawał syna na naukę do majstra w Londynie — jeżeli płacił za wikt i mieszkanie — miał prawo zawarować w umowie, że jego synalek nie będzie częściej dostawał łososia na obiad jak dwa razy w tygodniu. Natomiast ci biedni terminatorzy za których wikt ojcowie nie płacili dostawali łososia pięć i sześć razy w tygodniu, ponieważ była to jedna z najtańszych ryb na rynku.

Łosoś zniknął nie tylko z Tamizy ale i z pół setki innych rzek w Anglii i na kontynencie.

Każdy wędkarz — nawet taki co łowi ryby tylko raz w roku w czasie letniego urlopu — odwiedza biura podróży i kolekcjonuje prospekty ,,Fishing-holidays" a w szczególności prospekty ,,wczasów łososiowych". Jest trudne do uwierzenia, że Polska, która posiadą łowiska łososia jedne z najpiękniejszych w Europie turystycznie zupełnie ich nie wyzyskuje. Łowiska łososia to są kopalnie dolarów i funtów w dosłownym tych słów znaczeniu. Rok rocznie wędkarze z Europy wyjeżdżają do Kanady na sezon łososi. Do Szkocji każdego sezonu przyjeżdżają Amerykanie ponieważ szkocki łosoś posiada bardzo wysoką rangę łowiecką. W Szkocji można się również uczyć królewskiego sportu u najprzedniejszych mistrzów łososiowego wędkarstwa.

Polakom wydaje się, że oczarują cudzoziemców Sukiennicami, Wawelem czy Starym Rynkiem w Warszawie. Jestem zaprzysiężonym ,,krakauerem" i uważam Kraków za cudowne miasto. Ale Norymberga czy Bruges są równie cudowne a przy weneckim placu Św. Marka wszystkie rynki miast europejskich to ubożuchne kopciuszki.

W światowym przemyśle turystycznym panuje zasada wysokiej specjalizacji. Chcąc zwrócić na siebie uwagę trzebą oferować atrakcje, których gdzie indziej się nie znajdzie.

W Polsce panował i panuje pogląd, że obok ,,cudów architektury" fenomenalną atrakcją jest folklor. Na każdym polskim prospekcie są nieodmiennie żniwa i urodziwe dziewuchy w łowickich strojach. Jedyną alternatywę stanowią nieśmiertelni górale zakopiańscy.

Nieporozumienie polega na tym, że nasi ,spece" od turystyki są zapóźnieni w rozwoju o pięćdziesiąt lat i do dziś wierzą niezachwianie, iż turyzm polega na tak zwanym ,,zwiedzaniu".

Zwiedzanie odbywa się dziś przeważnie autokarami i na tej operacji zarabia w pierwszej linii firma organizująca turę a więc kraj z którego turyści wyjeżdżają. Turyzm przez wielkie ,,T" polega na tym by turystę zatrzymać bo tylko wówczas gdy cudzoziemiec zechce pozostać dwa czy trzy tygodnie pozostawi poważniejszą walutę. Turysta, który spędzi w Polsce kilka tygodni łowiąc pstrągi i łososie — być może przyjedzie w następnym sezonie i to nie sam lecz ze znajomymi.

Polskie pstrągi i łososie mogłyby zarabiać dziesiątki tysięcy dolarów rocznie. Ale trzeba sobie raz uświadomić, że turystyka to nie propaganda, to nie ,,zwiedzanie", to nie Sukiennice i łowickie pasiaki — to przemysł. Poważny, trudny przemysł. Fotografowie i propagandyści nie wystarczą. Trzeba fachowców.

LONDYŃCZYK

Wynaradawianie się Polaków w Kanadzie

Man hat behauptet, die Welt werd
durch Zahlen regiert; das aber weis
ich, dass die Zahlen uns belehren, o
sie gut oder schlecht regiert werde
Goethe.
(Gespraeche mit Eckermann

Uważaliśmy za naturalny objaw to, że tysiące rodzin nie mieckich lub szkockich (1), które emigrowały do Polski, spolsz czyły się całkowicie, mimo że z punktu widzenia Niemiec cz Szkocji całkowite spolszczenie równało się całkowitemu wynaro dowieniu. Wynik był z góry przesądzony, skoro stosunkowo nie znaczny odsetek obcej narodowości miał być poddany wieloletnir wpływom polskiego środowiska. A jednak kiedy w ostatnim stu leciu karta się odwróciła, to trudno nam się pogodzić z myślą że emigracja polska przechodzi od szeregu lat taki sam proce naturalnego wynaradawiania.

Wpływ szkoły, radia, kina, prasy i telewizji dociera w nowo czesnych państwach nawet na zapadłą wieś, która kilkanaści lat temu nie miała codziennej łączności ze światem zewnętrznym

Wymieniliśmy szkołę na pierwszym miejscu dlatego, iż ka de nowoczesne państwo nie tylko coraz bardziej rygorystyczni przestrzega obowiązku uczęszczania młodzieży do szkół z pa stwowym językiem wykładowym, ale i dlatego, że obecn

(1) Podróżnik szkocki, William Lithrogow w 1625 oceniał ilość Szkot w Polsce na 30.000 i nazywał Polskę „A Mother and Nurse for the You and Youngling of Scotland who are yearly sent hither in great numbers"

młodzież w daleko większym stopniu niż to miało miejsce w kraju przed wojną, idzie do szkół średnich czy wyższych. Dlatego dziś jeszcze na niejednej starej farmie w Stanach czy w Kanadzie można spotkać dziadków niemal wyłącznie używających języka kraju pochodzenia, ze znikomą znajomością angielskiego, natomiast wnuki, nawet w domu między sobą „szwargoczą" miejscowym dialektem angielskim.

Obraliśmy emigrację polską w Kanadzie za przedmiot naszego studium głównie z trzech powodów: po pierwsze, emigracja ta licząc ponad ćwierć miliona przedstawia tym samym rząd wielkości, gdzie proces wynaradawiania powinien być cyfrowo ujęty; po drugie Kanada posiada oficjalne statystyki ludności, mające szczegółowo przeprowadzony podział według pochodzenia narodowego, języka macierzystego i wyznania, a w odniesieniu do emigrantów jest ponadto podany czas przybycia do Kanady. Dane powyższe opracowane są tak, że nie znam innego państwa na świecie, którego statystyka w tym kierunku byłaby dokładniejsza od kanadyjskiej. Po trzecie, wnioski wyciągnięte z takiej analizy mogą służyć jako zastępcze wskaźniki o emigracji polskiej w innych krajach, gdzie brak jest tak szczegółowych danych, a gdzie warunki nie wskazują na zasadnicze różnice w przebiegu procesu wynaradawiania.

OKREŚLENIE POJĘĆ UŻYWANYCH W KANADYJSKICH SPISACH LUDNOŚCI

Pochodzenie narodowe (racial origin). — Kanadyjski urząd statystyczny rozróżnia w przeprowadzanych spisach ludności: a) pochodzenie narodowe, które określa się według przodka płci męskiej, który pierwszy przybył do Kanady; b) kraj urodzenia w granicach z roku 1951 (jeśli chodzi o ostatni spis); c) posiadane obywatelstwo (dla wszystkich imigrantów wymagany jest pięcioletni okres pobytu w Kanadzie dla uzyskania obywatelstwa).

Podawanie przodka nie przedstawiało dużej trudności, czego najlepszym dowodem jest, że podczas ostatniego spisu z czerwca 1951, na 14 milionów mieszkańców, tylko 170.000 (1,2%) nie umiało określić pochodzenia swego przodka.

Język macierzysty (mother tongue). — W czasie spisu 1951 i 1941 jako język macierzysty określano język, którego dana osoba nauczyła się jako pierwszego w dzieciństwie i który jeszcze rozumie. Definicja przyjęta dla spisu z roku 1931 była nieco węższa, bo zamiast „który jeszcze rozumie" było „którym jeszcze mówi". Dlatego, gdy porównuje się dane tych trzech spisów, liczby z 1931 odnośnie języka macierzystego będą w stosunku do następnych spisów raczej za małe. Spis podaje dane dla 24 języków używanych jako macierzyste.

Język urzędowy (official language). Kanada ma dwa języki urzędowe, angielski i francuski. Według spisu z 1951 tylko jeden procent ogółu ludności podał, że nie zna żadnego z nich.

Religia. — Spis rozróżnia 18 wyznań, co do których podaje dane liczbowe.

Okresy emigracji. — Całość emigracji dla ujęcia danych spisowych ujęto w sześć okresów : przed 1911, 1911-1920, 1921-1930, 1931-1940, 1941-1945, 1946, 1947-1951.

Powyższe dane ogłoszone są nie tylko dla każdej z dziesięciu prowincji i dwu okręgów administracyjnych Kanady, z podziałem na wieś i miasto, ale też dla każdego miasta ponad 30.000 mieszkańców można się dowiedzieć ile w nim było na przykład w roku 1951 imigrantów z roku 1946, którzy używali języka polskiego i to z podziałem na mężczyzn i kobiety.

WSKAŹNIK ZUPEŁNEGO WYNARODOWIENIA

Obchodzone niedawno stulecie zgonu Mickiewicza mimo woli nasuwa na myśl postać Sadyka-Paszy. Choć Czaykowski zaciągnąwszy się w szeregi wojska tureckiego zmienił nie tylko nazwisko lecz i wiarę, zarówno Mickiewicz jak i Czartoryski pragnąć organizować przy jego pomocy legion polski, dali tym samym oczywisty dowód, że nie można było uważać Czaykowskiego za wynarodowionego.

Z drugiej jednak strony samo słowo ,,wynaradawiać się'' zdaje się wyraźnie wskazywać, że odnosi się ono do wszystkich co nie dzielą życia narodu przez czas dłuższy. Uważam za niemożliwe ustalić jakiś wskaźnik liczbowy, który w odniesieniu na przykład do wypadku, gdy dana osoba opuściła kraj jako małe dziecko i po dłuższym pobycie na emigracji już z trudnością używa języka polskiego, mógłby nam powiedzieć, że wynarodowienie nastąpiło już w 60 czy 70 procentach.

Ale gdy taka osoba zapomniała tak dalece swego języka macierzystego, że go w ogóle nie rozumie, to sądzę, że jest ona całkowicie wynarodowiona. Tym samym w tej kategorii znajdą się w Kanadzie osoby polskiego pochodzenia, które podały inny język macierzysty niż polski.

Dominion Bureau of Statistics w opracowaniu spisu z 1941 wyraźnie zaznacza, że statystyka języka macierzystego jest doskonałym wskaźnikiem asymilacji poszczególnych narodowości (2). Muszę jednak podkreślić, że głupotą byłoby uważać każdego Kanadyjczyka polskiego pochodzenia, mówiącego łamaną polszczyzną, za mało wartościowego z polskiego punktu widzenia. Może się bowiem zdarzyć, że taki Kanadyjczyk zajmując wybitne stanowisko może oddać sprawie polskiej większe usług

(2) Eighth census of Canada, vol. I, p. 268.

niż tuzin polskich inteligentów, którym nie poszczęściło się w Kanadzie.

Mogą być wypadki, że ktoś wstydzi się podać język polski jako macierzysty. Uważam to również za dowód wynarodowienia, ale odnośnie osób, które przyjechały do Kanady nie jako małe dzieci, nie wydaje się to prawdopodobne, gdyż urzędnik przeprowadzający spis mógłby zakwestionować tak wielki zanik pamięci. Biorąc to pod uwagę, przyjęte kryterium wynarodowienia jest raczej łagodne, bo są przecież rodzice, którzy będąc tego rodzaju emigrantami muszą dla siebie podać język polski jako macierzysty, ale dla dzieci mogą już podać angielski. Z punktu widzenia ideowego rodziców takich należy uważać za wynarodowionych.

HISTORIA POLONII KANADYJSKIEJ W CYFRACH

Choć pierwszy spis ludności w Kanadzie miał miejsce w 1871, a następne co dziesięć lat, to Polacy jako osobna narodowość występują w spisach dopiero od 1901 roku. Poprzednio ujmowano ich razem z Rosjanami i Finami, można jednak przypuszczać, że były to ilości drobne, rzędu kilkuset osób (3).

Ciekawe jednak, że wśród tych nielicznych pierwszych emigrantów z pierwszej połowy XIX wieku znalazło się dwóch, którym po dzień dzisiejszy nikt jeszcze wśród Polonii kanadyjskiej nie dorównał. Mam na myśli Kazimierza Gzowskiego i Edwarda Kierzkowskiego. Pierwszy przybył najpierw do Stanów po upadku powstania listopadowego, w którym był porucznikiem saperów i zasłynął jako wybitny przedsiębiorca, budując mosty i pierwsze linie kolejowe. Kierzkowski natomiast brał tak żywy udział w życiu społecznym, że został wybrany do pierwszego parlamentu kanadyjskiego niemal wyłącznie głosami Kanadyjczyków pochodzenia francuskiego (4).

W poniższej tablicy podano ilość osób polskiego pochodzenia w poszczególnych latach spisowych. (Dane bezwzględne we wszystkich tablicach pochodzą z oficjalnych źródeł, podanych na końcu pracy. Natomiast odsetki obliczyłem na podstawie tychże źródeł).

(3) W 1871 te trzy narodowości razem podano na 607 osób, a w 1881 na 1.227. W 1901 było Polaków 6.285 czyli 22% tych trzech narodowości, ten sam odsetek wskazywałby na około 130 w roku 1871 i na około 270 w 1881. Spis z roku 1891 podziału narodowościowego nie podaje.

(4) Od szeregu lat Polonia nie ma żadnego przedstawiciela w parlamencie federalnym. Ukraińcy, choć liczbowo niespełna dwukrotnie liczniejsi, mają w parlamencie federalnym 4 posłów a w parlamentach prowincjonalnych 16 oraz 2 burmistrzów większych miast (Edmonton i Windsor). Nie jestem pewien czy wyniki te można wytłumaczyć bez reszty powołując się na większe skupienia Ukraińców. Raczej wytłumaczenia szukałbym w znaczeniu finansowym kooperatyw ukraińskich, których część bierze żywy udział w życiu politycznym udzielając również swego poparcia komunistom.

Ilość osób pochodzenia polskiego w Kanadzie w latach 1871-1951

Osoby polskiego pochodzenia:

1871	1881	1901	1911	1921	1931	1941	1951
ok. 130	ok. 270	6.285	33.652	53.403	145.503	167.485	219.845

Ogólna liczba ludności w milionach:

1871	1881	1901	1911	1921	1931	1941	1951
3,5	4,3	5,4	7,2	8,8	10,4	11,5	14,0

Odsetek osób polskiego pochodzenia:

1871	1881	1901	1911	1921	1931	1941	1951
0,00	0,01	0,12	0,47	0,67	1,40	1,46	1,57

Według oceny profesora J. Rutkowskiego emigracja pochodzenia polskiego w Kanadzie wynosiła przed pierwszą wojną światową około 30.000 osób (5). Z powyższej tablicy widoczne jest, że ocena ta jest zbyt niska. Spisy z 1931, 1941 i 1951 podają ilość żyjących w tym czasie emigrantów pochodzenia polskiego, którzy przybyli do roku 1920 na 35.743, 29.689 i 24.493. Ekstrapolując te dane do roku 1914, otrzymamy liczbę 45.500, a że według oficjalnej statystyki w okresie 1915-1920 przybyło polskich emigrantów 2.339, to po odjęciu tej liczby od powyższej otrzymamy ostatecznie około 43.000 żyjących w roku 1914. Tym samym całość osadnictwa musiała być jeszcze liczniejsza i ocena prof. Rutkowskiego musi być jeszcze co najmniej o 50% za niska.

Wracając do obecnych czasów, ponieważ od 1 czerwca 1951 kiedy to przeprowadzono ostatni spis, do końca roku 1956 przybyło 24.475 emigrantów pochodzenia polskiego i przyjmując ponadto przeciętny przyrost naturalny średni, dla całej Kanady (19.58 na 1.000 w roku 1953) otrzymamy na 1 stycznia 1957 około 270.000 ludności pochodzenia polskiego (6). A że na 1 stycznia 1957 ludność Kanady oceniano na 16,3 milionów, to odsetek ludności pochodzenia polskiego wynosił 1,66%. Wydaje się, że

(5) Jan Rutkowski, Historia gospodarcza Polski, Tom II, str. 234, Poznań 1950.

(6) Jeśli nie zaznaczono inaczej, będziemy mieli na myśli pod tym określeniem pochodzenie narodowe.

do następnego spisu ludności odsetek ten spadnie, jakoże coraz mniej jest Polaków wśród nowych emigrantów.

OGÓLNE CECHY ŚRODOWISKA KANADYJSKIEGO

Geografia i ekonomia. — Odległość dzieląca Montreal od Vancouveru jest większa niż między Madrytem a Moskwą. Chcąc się wybrać z Montrealu do Vancouveru aby odwiedzić rodaka, wizy wprawdzie nie trzeba, ale podróż pociągiem pospiesznym zajmie trzy doby, a samolotem 15 godzin czyli niemal tyle co lot z Montrealu do Londynu. U sąsiada w Stanach, mimo świetnej komunikacji lotniczej, publiczność podróżuje średnio krócej niż trzy godziny (około 600 mil). To tłumaczy dlaczego zjazdy Polonii nie mogą nigdy liczyć na masowe obesłanie z całego kraju. A nawet gdy weźmiemy dwie sąsiednie prowincje Ontario i Quebec, gdzie mieszka prawie połowa całej Polonii, to nie należy zapominać, że powierzchnia każdej z nich przekracza kilkakrotnie obszar przedwojennej Polski. Jeśli do tych dwu prowincji dodamy i cztery inne, wprawdzie mniejsze ale z których każda również przekracza obszar Polski, a to Manitoba, Alberta, Saskatchewan i British Columbia, to na obszarze tych sześciu prowincji mieszka ponad 98% ogółu Polonii, a że prowincje te grupują 88,3% ogółu ludności Kanady, więc jest tam nieco większe skoncentrowanie Polonii niż w pozostałych czterech prowincjach i dwu okręgach administracyjnych.

Ludność Kanady, mniej niż połowa Polski przedwojennej na obszarze prawie 25 razy większym, będąc w pewnych dziedzinach jednym z czołowych eksporterów świata (zboże, papier), rozbudowując wydobycie bogactw naturalnych świeżo odkrywanych jak ropa, rudy żelaza i uranu, również na skalę światową, zdobywać się musi na olbrzymi wysiłek, by podołać temu zadaniu. Jest to więc środowisko, w którym puls życia gospodarczego nie jest o wiele niższy niż w Stanach, a możliwości dalszego rozwoju bodajże większe.

I dlatego pod adresem emigracji europejskiej w Kanadzie można lapidarnie powtórzyć podsumowanie André Siegfrieda dotyczące szybko się posuwającej asymilacji emigrantów w Stanach, w chwili obecnej : *La géographie a pris le pas sur l'histoire, le milieu sur l'hérédité* (7).

Elementy polityczne. — Patrząc z perspektywy tysiącletniej historii naszej kultury na 90-lecie politycznej egzystencji Kanady, łatwo przeoczyć możemy dwa istotne fakty : po pierwsze, że to 90-lecie przypada na czasy ostatnie, kiedy to jak wiadomo nauka poczyniła (w ciągu ostatnich 150 lat) większe postępy niż w poprzednim tysiącleciu i że w ciągu tych dziewięćdziesięciu lat Ka-

(7) André Siegfried, *Tableau des Etats-Unis,* Paris 1954, p. 46.

nada nie miała ani jednego dnia niszczącej wojny na własnym terenie (8); po drugie, i kto wie czy nie ważniejsze, że ci którzy kładli podwaliny przyjechali na ten teren niemal jako zorganizowane wyprawy z dwu czołowych państw zachodnio-europejskich o kulturze starszej niż nasza to jest z Francji i z Anglii, a te więzy, zwłaszcza z Anglią, jeszcze po dzień dzisiejszy w każdej niemal znajdujemy dziedzinie. Dość wspomnieć, że jedna z najbardziej znanych firm kanadyjskich posiada kroniki kilkakrotnie starsze niż konstytucja państwa. Jest nią *Hudson Bay Company*, która na podstawie przywileju królewskiego prowadzi nieprzerwanie interesy na tutejszym kontynencie od roku 1670. A na przykład najstarszy dziennik angielski wychodzący po dzień dzisiejszy w Montrealu, *The Gazette*, założono w roku 1778.

Z aktu zjednoczenia Kanady (1867) wynika jedna rzecz, o znaczeniu podstawowym dla naszego zagadnienia: całość szkolnictwa należy wyłącznie do uprawnień każdej prowincji. I dlatego nie ma ministra oświaty w rządzie federalnym, natomiast występuje w każdym niemal rządzie prowincji. Prócz prowincji Quebec, gdzie szkoły katolickie, będące tylko w tej jednej prowincji w większości, oparte są o dawne wzory francuskie, pozostałe połacie kraju wraz ze szkołami protestanckimi w Quebecu, mają system szkolnictwa angielski, oczywiście z szeregiem lokalnych odmian. Żadna prowincja, z wyjątkiem Quebecu, nie udziela poparcia finansowego szkołom prywatnym tak, że praktycznie biorąc, nauka języka innego niż oficjalny, to jest angielski i francuski, ogranicza się do przedszkoli opłacanych z prywatnych funduszy danej grupy narodowościowej, zaś Kościół rzymsko- i grecko-katolicki prowadzi naukę religii na doraźnie zorganizowanych kursach w języku macierzystym danej narodowości. U Ukraińców system burs i połączenie studiów religijnych ze świeckimi umożliwia prowadzenie nauki szeregu przedmiotów po ukraińsku. Dlatego to Polonia francuska, mimo iż tylko dwukrotnie liczniejsza od Polonii kanadyjskiej, jest w bez porównania lepszym położeniu, jako że ma około sześćdziesięciu nauczycieli języka polskiego i historii opłacanych przez rząd francuski, Polonia zaś kanadyjska nie może liczyć na żadną pomoc

---

(8) Natomiast dwa stulecia poprzedzające zjednoczenie Kanady pełne były walk wszystkich ze wszystkimi. Miały miejsce wypadki wzajemnego skalpowania nie tylko w walkach z Indianami lecz i pomiędzy kolonistami angielskimi z jednej strony, a francuskimi z drugiej. Tych ostatnich w 1755 wypędzono masowo i bez uprzedzenia z dzisiejszej Nowej Szkocji osiedlając na ich miejsce kolonistów angielskich. Dwie wojny pograniczne ze Stanami w 1775 i w 1812 oraz rokosz w 1837 zamykają bilans walk. Wśród powieszonych rokoszan było trzech Polaków-powstańców z 1831, którzy dołączyli się jako ochotnicy ze Stanów. Warto zaznaczyć że Polaków bronił w sądzie młody adwokat J. Macdonald, który w 29 lat później został pierwszym premierem zjednoczonej Kanady. A organizatorem rokoszu był jeden z dziadków Mackenzie Kinga (1874-1950), premiera współczesnej Kanady przez 22 lat, podczas gdy drugi jego dziadek jako porucznik artylerii wojsk rządowych tłumił rokosz.

rządową i ma, jak zaznaczyliśmy, zasiąg działania na skali Madryt-Moskwa.

Mimo że nie ma tu oficjalnie uznanych teorii politycznych, w praktyce jest pewna ciągłość rządzenia, jako że rząd federalny w ciągu ostatnich dwudziestu lat jest bez przerwy w rękach partii liberalnej, posiadającej w parlamencie druzgocącą większość. A główna partia opozycyjna, tak zwani postępowi konserwatyści, nie mają w swoim programie żadnych podstawowych różnic od liberałów, tak że walka wyborcza sprowadza się raczej do osobistych zalet kandydatów, a zwłaszcza kierowników obu partii. Niemniej, zdarzało się w parlamencie, że rząd mimo olbrzymiej większości zmieniał swoje projekty pod naporem opozycji, której udało się uzyskać poparcie opinii publicznej, głównie prasy, w krytyce tych projektów. Jak dalece osoby a nie programy odgrywają rolę, tego najlepszym dowodem jest, że wielokrotnie wyborca głosuje do parlamentu federalnego na kandydata liberałów, a w wyborach do parlamentu prowincji na kandydata konserwatystów. I dlatego w prowincji Ontario, najbogatszej i najludniejszej, gdzie mieszka ponad jedna trzecia ogółu Polonii kanadyjskiej, rządy prowincjonalne są od lat w ręku konserwatystów, mimo że do parlamentu federalnego prowincja ta wysyła więcej posłów z listy partii liberalnej niż z konserwatywnej.

Do uprawnień rządu federalnego należy między innymi prowadzenie polityki emigracyjnej. W wypowiedziach przedstawiciela monarchy na terenie Kanady (*Governor-General*), który przedstawia stanowisko rządu federalnego, można znaleźć niejednokrotnie oficjalny punkt widzenia w sprawie asymilacji. I tak we wrześniu 1936 Lord Tweedsmuir, po zwiedzeniu ośrodków ukraińskich, w odpowiedzi na adres powitalny, zakończył swe przemówienie następującymi słowy :

,,Jeżeli my Szkoci uważani jesteśmy za dobrych obywateli nowych krajów, to głównie dlatego, że chociaż dobrze żyjemy z innymi i choć chętnie przyjmujemy lojalność wobec nowego kraju, to jednak nigdy nie zapominamy naszych starych szkockich obyczajów i pamiętamy zawsze niewielki kraj, z którego pochodzimy. To samo jest prawdą w stosunku do każdej narodowości o silnej tradycji i musi to być prawdą wobec narodu o tak silnej tradycji jak wasza. Będziecie tym lepszymi Kanadyjczykami będąc dobrymi Ukraińcami (9)''.

Ten sam Lord Tweedsmuir w orędziu do Kanadyjczyków polskiego pochodzenia oświadczył między innymi :

,,chciałbym przypomnieć, że mogą oni oddać wielką przysługę swemu przybranemu krajowi strzegąc zazdrośnie najlepszych tradycji kraju swego urodzenia''.

(9) J.M. Gibbon, *Canadian Mosaic-The Making of a Northern Nation*, str. 307, Toronto 1938 (Zwraca uwagę, że określenie ,,mozaika'' odnośnie obrazu kulturalnego Kanady użyła po raz pierwszy autorka amerykańska V. Hayward w 1922 w książce ,,Romantic Canada'', a następnie w 1926 K.A. Foster w książce : Our Canadian Mosaic).

Jak zaznaczyliśmy uprzednio, rząd federalny jest od roku 1935 w rękach partii liberalnej. Jest zwyczajem niemal, że w jubileuszowych zjazdach poważnych organizacji polonijnych biorą udział przedstawiciele rządu federalnego oraz przewódca opozycji to jest prezes partii postępowych konserwatystów, który jedno ze swych przemówień w 1953 zakończył nawet po polsku słowami naszego hymnu narodowego. A jeden z najstarszych ministrów rządu federalnego, inż. C.D. Howe, w którego ręku od szeregu lat spoczywa kierownictwo resortów gospodarczych, jest członkiem honorowym Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie.

W lipcu 1954, gdy ogłoszono nominację do senatu (członkowie senatu są mianowani dożywotnio przez premiera rządu federalnego), to premier zaznaczył, że nowomianowany senator Żyd, który był posłem przez szereg lat, choć wchodzi do senatu jako przedstawiciel miasta Toronto, będzie równocześnie i przedstawicielem Kanadyjczyków żydowskiego pochodzenia. Jest to ważki precedens, gdyż dotąd pochodzenie narodowościowe nie było brane pod uwagę przy nominacjach do senatu.

Niemniej należy przytoczyć zdecydowane oświadczenie ministra emigracji, J.W. Pickersgilla, z 1 lipca 1955 : ,,Pragniemy zamienić w Kanadyjczyków wszystkich nowoprzybyłych zarówno Anglików jak i innych, tak szybko jak będziemy mogli''. Ale ten sam minister na dziesięcioleciu Kongresu Polonii Kanadyjskiej w listopadzie 1954 reprezentował premiera rządu federalnego i wygłosił w jego imieniu i we własnym przemówienie, w którym podkreślił wkład Polonii w życie Kanady.

Teorie asymilacyjne. — Mimo braku urzędowej doktryny asymilacyjnej nie brak oczywiście szeregu teorii nieurzędowych. Nie mogła więc pozostać bez wpływu amerykańska praktyka przetapiania różnych narodowości w jednym tyglu ,,melting-pot'' , gdzie ponoć samo życie odgarnia szlakę i daje w końcu jednorodny stop. Biorąc jednak pod uwagę dwujęzyczność Kanady, jako że 29% ludności używa języka francuskiego jako macierzystego, nie zanosi się na to, by w najbliższych dziesięcioleciach można było wszystko razem ,,stopić''. Nie mogą więc być brane pod uwagę głosy, raczej odosobnione, aby obce narodowości z miejsca przerabiać na jedno angielskie kopyto. I takie poglądy są zdecydowanie krytykowane nawet przez Kanadyjczyków anglosaskiego pochodzenia. By pokazać jak ostro krytyka ta może być ujęta, warto przytoczyć jako przykład poglądy prezesa uniwersytetu Arcadia, dr Watson Kirkonnella, który pisał w roku 1935 :

,,Nic nie jest tak płytkie i bezpłodne jak człowiek, który zapiera się własnego pochodzenia. 'Stuprocentowy' Amerykanin (lub Kanadyjczyk) to zazwyczaj taki, który świadomie ukrył obce pochodzenie, aby zebrać korzyś

materialne z dobrze rozreklamowanej lojalności. Niewiele może być nadziei lub szlachetnych rezultatów duchowych z tak sprostytuowanego patriotyzmu. Niestety, tego rodzaju postawie sprzyja fakt, że wielu obywateli używających języka angielskiego daje dowód ignorancji zakładając, iż obce pochodzenie jest naturalną oznaką niższości. Kto tak myśli jest chuliganem umysłowym, niezależnie od tego czy to jest prawnik, pułkownik milicji czy biskup. Czego nam gwałtownie potrzeba to, wręcz przeciwnie, dosyć zwykłego rozsądku, aby uznać zarówno bogactwo i różnorodność uzdolnień narodowych jak i siłę, którą korzenie narodowe dają jednostce (10)".

Często się słyszy o mozaice kultury kanadyjskiej; wydano pod tym tytułem dwie książki (9). I może dlatego ostatnio prof. P .Yuzyk, Kanadyjczyk ukraińskiego pochodzenia, proponuje mozaikową formę asymilacji zamiast amerykańskiego tygla (11). Pod tym określeniem prof. Yuzyk rozumie stopniową i kontrolowaną asymilację, w której poszczególne grupy pielęgnują swoje tradycje kulturalne i wnoszą je jako wkład do kultury kraju jako całości.

Wydawałoby się, że u podstaw takiego poglądu powinna być współpraca na terenie Kanady grup kulturalnie zbliżonych jak Ukraińcy i Polacy. Niestety, prof. Yuzyk, który zajmuje katedrę historii na wydziale historii i studiów słowiańskich uniwersytetu w Winnipeg, w swej źródłowej książce *The Ukrainians in Manitoba*, wydanej w roku 1953 (12), mówi o tej współpracy niemal mimochodem, natomiast szeroko rozpisuje się o prześladowaniach Ukraińców w Polsce.

Nie brak i krytyków mozaiki, którzy sądzą że politycznie grozi to ,,bałkanizacją'' Kanady, bo rozpoczęło się wypominanie krzywd historycznych.

---

(10) Canadian Overtones, Columbia Press, str. 104, Winnipeg 1935.

(11) Określenie ,,melting pot" wprowadził rabin Schuman w 1907 pod adresem szybko asymilujących się emigrantów europejskich na terenie Nowego Jorku. Pogląd ten luźno ujęty — jako że nie był on nigdy ściśle sformułowany teoretycznie — wychodził z założenia, że jest możliwe uzyskanie ,,stopu amerykańskiego" nawet w ciągu jednego pokolenia. Fakt iż poważny odsetek rekruta w armii Stanów, w okresie I wojny światowej, nie znał języka angielskiego, poważnie podważył optymistyczne założenia ,,melting pot". Stąd jako reakcja niemal powstał pogląd ,,kulturalnego pluralizmu", który odrzuca założenie jedności kultury amerykańskiej. Warto zaznaczyć, że szereg zwolenników tegoż poglądu bynajmniej nie popiera wpuszczania emigrantów masowo do Stanów. (C.V. Kiser, *Cultural Pluralism*, The Annals of the American Academy of Political and Social Science, Marzec 1949). Co ciekawsze, stwierdzono, że gdy emigrant stara się usilnie szybko przekuć dzieci na amerykańskie kopyto, i gdy mu się uda — to traci w oczach dzieci z powodu swoich nie-amerykańskich cech. (G. Gorer, *The American People — A Study in National Charakter*, str. 26, New York, 1948).

(12) Paul Yuzyk, *The Ukrainians in Manitoba, A Social History*, 232 str., University of Toronto Press, 1953.

Rozmieszczenie ludności polskiego pochodzenia

W tablicy 1 (*) uwidocznione jest rozmieszczenie ludności pochodzenia polskiego w 10 prowincjach i dwu okręgach administracyjnych (powyżej 60 równoleżnika), uszeregowanych według ilości mieszkańców pochodzenia polskiego, zaczynając od prowincji Ontario, która skupia ponad 13% ogółu tych mieszkańców. Jak widać z tej tablicy mężczyźni ilościowo przeważają, zwłaszcza na wsi, lecz w miastach w Manitobie, Saskatchewan i British Columbia stosunek jest odwrotny.

Ludność o polskim języku macierzystym

Tablica 2 podaje odsetek ludności polskiego pochodzenia, która używa względnie używała polskiego jako języka macierzystego i dotąd go rozumie. Spośród 129.238 osób podających polski jako język macierzysty, 120.603 zaznaczyło, że są polskiego pochodzenia. Ponieważ przyjąłem jako kryterium wynarodowienia zapomnienie języka macierzystego, dlatego wszystkie odsetki obliczono w stosunku do 129.238. Chcąc odnieść odsetki do pochodzenia, należałoby wszystkie dane odpowiednio zmniejszyć.

Ograniczyłem się do zamieszczenia w tej tablicy tylko sześciu pierwszych prowincji, jako że obejmują one 98% ludności pochodzenia polskiego. Wahania w znajomości języka polskiego między prowincjami są dosyć znaczne, bo od 75% w Quebec, do 40% w British Columbia (wśród kobiet w tej prowincji tylko 36%). Można zauważyć, że w prowincji Quebec 65% ludności pochodzenia polskiego skupia się w Montrealu, gdzie ponad połowa pochodzi z emigracji po 1920 roku, a tym samym w Montrealu, jeśli chodzi o urodzonych już na terenie Kanady, musi być znaczny odsetek dzieci tych emigrantów.

Przeciętna dla całego kraju (58,8%) mówi, że według przyjętej definicji wynarodowienia należy uważać, że jest już w tej kategorii 41,2% ogółu ludności pochodzenia polskiego.

Ludność pochodzenia polskiego urodzona na terenie Kanady

Ponad połowa (55,6%) ludności pochodzenia polskiego urodzona jest na terenie Kanady. Jak można było przypuszczać, wśród urodzonych w Kanadzie odsetek mężczyzn musi już być mniejszy niż wśród emigrantów, gdzie odsetek ten zawsze występuje silniej (13).

(*) Pięć tablic na końcu artykułu, strony 90-94.

(13) Dane odnośnie urodzonych na terenie Kanady nie występują w źródłach oficjalnych w bezpośredniej formie. Otrzymałem je odejmując od ogółu ludności dane liczbowe emigrantów, ograniczając się zawsze do pochodzenia narodowego.

Odsetek rozumiejących język polski waha się wśród tej ludności w szerokich granicach; od 19,2% na terenie British Columbia do 52,9 w Quebec, dając 40,0% jako przeciętną dla całego kraju (14).

Emigracje

Liczbowy obraz znajomości języka wśród emigracji polskiej w Kanadzie podaje tablica 3.

Nie da się bez głębszej analizy wyjaśnić znacznej różnicy między odsetkami rozumiejącymi język polski wśród emigrantów z tego samego okresu, ale zamieszkałych w różnych prowincjach. Nie można wykluczyć, że wśród emigrantów przybyłych do British Columbia w latach 1949-1951 mógł być pewien odsetek emigrantów ze Stanów, podczas gdy emigracja do Quebecu pochodziła w tym okresie prawie wyłącznie z Polski. Oczywiście mogły być w British Columbia i inne powody, na przykład te o których wspomina prof. Kirkonell w wyżej przytoczonym urywku.

Ludność polska w miastach

Mogliśmy zauważyć w tablicy 1, że prawie dwie trzecie ludności polskiego pochodzenia mieszka w mieście. Podając sześć miast w kolejności ogółu ich mieszkańców, z zaznaczeniem ludności polskiego pochodzenia, a w nawiasie odsetek rozumiejących język polski, otrzymamy na podstawie spisu 1951 następujące dane: Montreal: 11.338 (77,8); Toronto: 20.857 (71,1%); Vancouver: 5.334 (40,7%); Winnipeg: 13.889 (64,6%); Hamilton: 8.217 (67,7%) i Edmonton: 5.593 (47,4%). W sumie miasta grupują wszystkie skupiska polskiego pochodzenia powyżej 4.000 ludności i łącznie około jedną trzecia ludności polskiego pochodzenia w Kanadzie mieszka w tych sześciu miastach. Jeśli chodzi o ogół ludności to waha się ona w granicy powyżej miliona w Montrealu i Toronto do 160.000 w Edmonton, z przewagą w tych miastach kobiet, co tym samym zwiększa możliwość małżeństw mieszanych, jako że wśród ludności polskiego pochodzenia nadmiar kobiet posiada jedynie Winnipeg i Vancouver.

Wysokość odsetka rozumiejących po polsku wydaje się zależna od połączenia trzech czynników: odsetka emigracji po roku 1921, odsetka ogółu ludności danego miasta, której macierzystym językiem nie jest angielski oraz odsetka ludności polskiej wśród ogółu mieszkańców.

Zapewne są i inne czynniki. Jest na przykład prawdopodobne, że wydawanie tygodnika polskiego w Winnipegu wzmacnia

(14) Ciekawe, że spis ludności w Brazylii w 1941, wśród ludności polskiego pochodzenia, ale już urodzonej na terenie Brazylii, wykazał podobny, bo 43% znajomości języka polskiego. (Supplement to Population Studies, str. 41, Cambridge University Press, Marzec 1950).

tamtejszą Polonię w porównaniu z Edmonton czy Vancouver Nie można jednak wykazać tego wpływu cyfrowo.

Ludność polska zamieszkała na wsi

Można przypuszczać, że proces wynaradawiania na wsi bieg nie wolniej niż w mieście, bo możność mieszania ludności jes bardziej ograniczona. Potwierdziły to badania w Stanach prze kilkoma laty (15) wśród ludności wiejskiej norweskiego i walij skiego pochodzenia gdzie narodowości te przez 75 lat zacho wały niemal bez zmian swoje cechy narodowe. Natomiast dan w tablicy 2 pozornie temu przeczą podając mniejszy odsetek znajomości języka polskiego wśród ludności wiejskiej. Gdy jed nak wyeliminować odsetek ludności już urodzonej w Kanadzie który to odsetek jest większy po wsiach, oraz odsetek emigracj po roku 1941, który natomiast jest wyższy po miastach, gdzi ta emigracja głównie szła, to pokaże się wtedy że wieś — pro centowo biorąc — wykazuje lepszą znajomość języka polskiego. Taka poprawka jest konieczna, bo zarówno wysoki odsetek uro dzonych na terenie Kanady musi obniżać przeciętną znajomość języka kraju pochodzenia w danej grupie społecznej, gdyż było dłuższe działanie erozyjne, jak i z drugiej strony niski odsetek emigracji po roku 1941, która była narodowo uświadomiona. wśród tej samej grupy będzie działać w tym samym kierunku — obniżki znajomości języka polskiego. A emigracja o wysokim uświadomieniu narodowym ma wpływ i na najbliższe pokolenie, gdyż jej dzieci, urodzone już w przybranej ojczyźnie, powinna również cechować duża znajomość języka przodków.

Dynamika procesu wynaradawiania

Dotychczasowe tablice podawały tylko obraz z 1951, nie pozwalały więc na wyciąganie żadnych wniosków dotyczących dynamiki procesu wynaradawiania. Dlatego w tablicy 4 podano dane z lat 1931-1951 i porównanie z innymi grupami narodowymi. Danych odnośnie języka macierzystego nie ma dla lat sprzed 1921 (16).

---

(15) Marshall, po przeprowadzeniu badań na terenie stanu Wiscosin za znaczył, że podziela poprzednio wypowiedziany pogląd G.S. Wehrwein'a że związanie z ziemią wymaga trzech pokoleń, a na zatarcie głównych cech narodowych u tak zasiedziałych co najmniej muszą minąć cztery generacje (D.G. Marshall: *Nationality and the Emerging Culture*, Rural Sociology Vol. 31, Marzec 1948.

(16) Pominięto dane z 1921, gdyż dla języka macierzystego są one ujęte dla ludności powyżej 10-go roku życia, podczas gdy w latach 1931-1951 są one dla całej ludności. Jest wprawdzie możliwe przeliczenie ich na wskaźniki 1931, bo są cyfry bezwzględne z 1931, które podają język macierzysty

Ekstrapolując odsetki dla ludności polskiej można przypuszczać, że w następnym spisie w roku 1961, o ile przebieg procesu nie ulegnie zmianie, odsetek ludności polskiego pochodzenia używającej wciąż jeszcze języka polskiego spadnie poniżej 45%, a w roku 1971 poniżej 1/3. W rzeczywistości przebieg może być jeszcze bardziej gwałtowny, bo trudno przypuszczać by w następnych latach powtórzył się poważny dopływ ludności polskiej o dużym poczuciu narodowym, jak to miało miejsce w okresie drugiej wojny światowej i bezpośrednio po niej. Możemy zauważyć w tablicy 4, że starsze emigracje, jak holenderska czy skandynawska mają taki odsetek już dzisiaj. Co jest jednak groźne w naszym wypadku, to to, że tempo wynaradawiania przebiega za szybko i że wkład w życie Kanady w znacznej mierze pochodzi od grupy niewynarodowionej.

Proces bowiem wynaradawiania biegnie u nas szybciej niż wśród grupy niemieckiej i ukraińskiej, a co gorsze grupy od nas ilościowo mniejsze, jak rosyjska, czechosłowacka i węgierska, mają wolniejszy przebieg wynaradawiania.

Prawda, że wśród grupy żydowskiej, skandynawskiej i włoskiej proces ten ma tempo silniejsze niż u nas, ale tam, wśród wynaradawianych (oprócz może Włochów) widoczny jest poważny wkład.

Przesuwanie się ze wsi do miasta przyspiesza proces wynaradawiania. W grupie polskiej tempo na tym odcinku jest znacznie szybsze niż przeciętna dla całego kraju, a jedynie grupa żydowska, włoska i rosyjska przesuwa się do miast raźniej od nas.

Podobnież bardzo niski odsetek języka polskiego jako języka macierzystego wśród najmłodszego pokolenia, wskazuje na szybkie tempo wynaradawiania.

Stwierdziłem, że w grupie wieku od 0 do 10 lat w czasie spisu 1951 roku, rodzice podali język polski jako macierzysty tylko w 30,8%, podczas gdy u osób starszych, powyżej 45 roku życia ten odsetek jest powyżej 77%.

W miarę więc podrastania tej najmłodszej generacji i naturalnego ubytku roczników starszych o tak wysokim odsetku znajomości języka, jako że na masowy napływ emigrantów polskich trudno liczyć — średnia dla całej ludności polskiego pochodzenia musi spadać do odsetka 30,8%.

---

i dla ludności powyżej 10-go roku życia. Byłoby to jednak przeliczanie z przybliżeniem, bo zakładałoby się milcząco, że dla każdej grupy narodowościowej stosunek ludności powyżej 10-ciu lat do ogółu ludności nie uległ zmianie w latach 1921-1931. Pod takim założeniem odsetek rozumiejących język polski w 1921 dla całej ludności polskiego pochodzenia wynosił 90,2%. Jak poprzednio zaznaczono, określenie języka macierzystego w 1931 było węższe, tym samym tempo wynaradawiania się w latach 1931-1941 było szybsze niż to wynika z tablicy 4.

Zmiana wyznania

W czasie spisu 1951 ludność pochodzenia polskiego podała przynależność do różnych wyznań w następującej kolejności :

Ogółem : 219.845.

Rzymsko-katolików	153.059
Church of Canada	13.077
Unici (Ukrainian-Greek Catholic)	11.361
Luterani	8.248
Greko-katolicy	7.741
Żydzi	7.608
Church of England	6.451
Baptyści	3.151
Prezbiterianie	2.275
Menonici	391
Nieokreślono	6.495

W tablicy 5 podano jak w latach 1931-1951 zmieniał się od setek dla pierwszych dwu najliczniejszych grup wyznaniowych Spadek odsetka rzymsko-katolików, zwłaszcza po miastach, jes całkiem wyraźny, z równoczesnym wzrostem członków Church of Canada. Zapewne ważnym czynnikiem były tu dzieci z mał żeństw mieszanych. Porównując dane tej tablicy z tablicą 4 zauważymy, że w latach 1941-1951 spadek odsetka jest daleko silniej zaznaczony wśród używających języka polskiego jako macierzystego niż to ma miejsce wśród należących do Kościoła katolickiego. Tym samym jest możliwe, że porzucenie języka macierzystego wśród ludności pochodzenia polskiego pociąga za sobą zmianę wyznania.

Małżeństwa mieszane

W każdej emigracji małżeństwa mieszane stanowią jeden z głównych czynników, decydujących o wynarodowieniu następnego pokolenia. Dlatego wielu socjologów uważa dane liczbowe o tych małżeństwach za niezawodne wskaźniki procesu asymilacji.

Jest jasne, że ludność całego kraju musi stopniowo ulegać wymieszaniu, stąd więc gdy w jednym roku, na przykład 1931 określimy odsetek dzieci z małżeństw, gdzie oboje rodzice są te samej narodowości na 100, to możemy się spodziewać, że ten wskaźnik będzie maleć w następnych latach. I rzeczywiście w 1941 spadł on do 90 a w roku 1951 do 83.

W grupach słowiańskich, stanowiących stosunkowo nieduży odsetek ludności Kanady, ten wskaźnik małżeństw jednakowego pochodzenia będzie spadać znacznie szybciej, jako że jednostka w tej grupie ludności musi się stykać z dużą liczbą jednostek innej narodowości, które są w sumie reprezentowane kilkadziesiąt razy liczniej w społeczeństwie.

Przechodząc do cyfr, wskaźnik ten u Ukraińców w latach 1931-1951 spadł z 100 na 68, u Polaków na 58, u Rosjan na 55 a u Czechów na 48.

Dane za rok 1951 mówią nam, że ponad połowa dzieci mających ojca Polaka urodziła się w tym roku z matek nie polskiego pochodzenia, a co gorsza matki polskiego pochodzenia urodziły w sumie mniej dzieci niż było ojców polskiego pochodzenia, mimo iż ilość zamężnych Polek w rocznikach od piętnastego do czterdziestego czwartego roku życia przekracza ilość żonatych Polaków w tychże rocznikach o 19%. Sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu w przyszłości, bo ilość nieżonatych mężczyzn w tych rocznikach przekracza niemal dwukrotnie ilość niezamężnych kobiet polskiego pochodzenia (17).

Na to jak nas widzą obcy, jako wartościowych kandydatów do małżeństwa, rzuca pewne światło ankieta przeprowadzona w roku 1950 wśród studentów uniwersytetu w Ottawie, w grupie pochodzenia anglo-saskiego i francuskiego, odnośnie oceny innych narodowości łącznie z możliwością małżeństwa mieszanego.

Dla wyjaśnienia trzeba dodać, że uniwersytet prowadzony jest przez księży katolickich, lecz wśród grona profesorskiego jest szereg profesorów świeckich (w 1950 było pięciu profesorów Polaków i dwu Ukraińców), a młodzież przyjmowana jest bez różnicy wyznania.

Ottawa ma 200.000 mieszkańców, z czego 60% pochodzenia anglo-saskiego, a 28% francuskiego, po dwa procent wypada na Niemców i Żydów, jeden procent na Włochów oraz niespełna jeden na Polaków i tyleż na Ukraińców, Holendrów i Skandynawów, a wreszcie około 4% na inne narodowości.

Otóż, wracając do ankiety, grupa anglo-saska podała następujące wskaźniki, poczynając od najwyższego : 92% dla Anglosasów, 88 dla Irlandczyków, 87 dla Szkotów, 80 dla Francuzów, 74 dla Włochów, 68 dla Niemców, 57 dla Ukraińców, 50 dla Rumunów, 45 dla Żydów, 23 dla Murzynów.

Grupa francuska podała kolejność jak następuje : 96% Francuzi, 84% Hiszpanie, 82% Włosi, 79% Irlandczycy, 74% Niemcy, 62% Polacy, 61% Żydzi, 48% Rumuni i 43% Murzyni.

Innymi słowy, na liście anglo-saskiej Polaków nie było wcale, a na liście francuskiej znajdowali się bliżej końca niż początku.

Mr Le May, przedstawiając wynik ankiety na zebraniu Stowarzyszenia psychologów prowincji Ontario słusznie podkreślił, że było to tylko wstępne badanie opinii oparte na małej grupie osób (po 30 w każdej grupie) i że nie należy z niego wysuwać daleko idących wniosków. Uważam jednak rzecz za godną

(17) W cyfrach bezwzględnych dane z 1951 dla ludności polskiego pochodzenia w rocznikach od 15 do 44 roku życia są następujące : a) w związkach małżeńskich 30.335 mężczyzn i 36.151 kobiet; b) stanu wolnego 28.044 mężczyzn i 15.473 kobiet.

uwagi, chociaby dlatego, że była przedmiotem referatu w fachowym gronie i dostała się na łamy prasy codziennej (18).

Statystyka kryminalna

Statystyka ta nasuwa wątliwość czy można uważać za zupełnie zasymilowanego osobnika, który wprawdzie się wynarodowił, ale w nowym społeczeństwie stał się przestępcą.

Dotychczas unikałem określenia „asymilacja", gdyż pojęcie to jest różnie definiowane, a ja osobiście podzielam pogląd Dieulefaita, że można wprawdzie mówić o czynnikach wpływających na przebieg asymilacji, samego jednak pojęcia nie da się określić. Jest to bowiem wypadkowa dynamicznego procesu, w którym bierze udział szereg czynników, których skład i natężenie są różne dla różnych społeczeństw, jak i zmienne w czasie. Stąd prosty wniosek, że pojęcia nie można określać a priori.

Należy również pamiętać, że pewne społeczeństwa na przykład hołdujące teoriom rasowym, wobec każdego przybysza lub nawet jego potomka, mimo że nastąpiło zupełne wynarodowienie i nabycie wszystkich cech nowego środowiska, zachowają zawsze pewne szczątkowe „ale" (19). I to szczątkowe „ale" może pchnąć słabą jednostkę, która w naszym przykładzie zerwała wszelkie więzy z danym społeczeństwem, w macki przestępców nowego świata, wśród których nie natrafią na żadne „ale" odnośnie swego pochodzenia.

Jak na razie nie istnieje jeszcze żadne duże państwo, w którym narodowość stanowiąca jego trzon pozbawiona byłaby poważnej reprezentacji w świecie przestępczym. I tym samym państwo nie może się domagać, by emigracja omijała rodzimy świat przestępczy, którego cechy w takich wypadkach — jak to wykazywały badania Kleinburga w Stanach — stają się przedmiotem naśladowania. Natomiast musi się uznać za słuszne żądanie państw przyjmujących emigrantów, by nie stanowili oni nadmiernego odsetka czy to wśród skazanych wyrokiem sądu, czy to wśród więźniów.

Niejednokrotnie statystyka kryminalna jest cennym sygnałem ostrzegawczym, że asymilacja emigrantów jest źle prowadzona. W takich wypadkach statystyka nie może wskazać na źródło zła, wymaga to bowiem osobnego badania. I często poprawa sytuacji, podsumowanie błędów z wielu lat, wymaga wieloletnich wysiłków.

---

(18) Między innymi reportaż prasowy ukazał się w *The Gazette*, 28. I. 1950.

(19) Uważam więc zupełne wynarodowienie za konieczny lecz niedostateczny warunek zupełnej asymilacji. Zupełna asymilacja oznacza, że proces został zakończony i że nie ma żadnych różnic między wchodzącą jednostką a społeczeństwem przyjmującym, zarówno z punktu widzenia jednostki jak i społeczeństwa. U pewnych społeczeństw, jak zaznaczono powyżej nie jest możliwe usunięcie różnic bez reszty.

Są jednak wypadki wśród polskich emigrantów, gdzie poprawa była niemal natychmiastowa. Tak na przykład w latach 1927-1928 we Francji stwierdzono, że przestępczość i choroby umysłowe wśród polskiej emigracji rolniczej są dwukrotnie wyższe niż wśród Francuzów w tej samej grupie lat. Dalsze badania wykazały, że wypadki te zachodzą głównie wśród emigrantów nie znających francuskiego i wysyłanych pojedyńczo. Wydano więc zarządzenie, by emigrantów nie znających języka nie wysyłać pojedyńczo do gospodarstw rolnych. Rezultat przeszedł oczekiwania: w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy wskaźnik przestępczości i chorób umysłowych spadł o 68% (20).

W urzędowym roczniku kanadyjskiej statystyki kryminalnej na rok 1951, w komentarzu do tablicy podającej ilość skazanych sądownie według pochodzenia narodowego i po stwierdzeniu, że odsetek pochodzenia anglo-saskiego i francuskiego jest niższy niż to wynika ze składu ludności, czytamy co następuje (str. 18): „Z narodów europejskich najczęstsze pochodzenie przestępców to ukraińskie, polskie i niemieckie, w proporcji 2,4%, 2,1% i 2,0% wszystkich przestępców. Proporcja tych narodowości do ogółu mieszkańców w roku 1951 wynosiła 2,8%, 1,6% oraz 4,4%".

Podobnej treści komentarz można znaleźć i w roczniku podającym dane za rok 1952. Dlatego obliczyłem poniżej na podstawie raportów z lat 1945-1955 odsetki ogółu skazanych dla tych trzech grup (raport za rok 1956 ukaże się dopiero w 1958).

Pochodzenie narodowościowe	*Odsetek ogółu ludn. w 1951*	*Odsetki ogółu skazanych*					
		1949	1950	1951	1952	1953	1954
Niemieckie . .	4,43	1,28	2,04	2,04	2,27	2,55	2,60
Ukraińskie .	2,82	1,52	2,30	2,43	2,55	2,47	2,41
Polskie	1,57	1,33	2,03	2,06	2,04	2,05	1,76

Cyfry rejestrujące powyższy stan mówią same za siebie. Zwłaszcza niepokojące są odsetki po roku 1951, kiedy to nastąpił spadek dopływu emigracji, a wzrost dopływu emigracji niemieckiej, tym samym jako odsetek ogółu ludności pierwsza narodowość musi wykazywać spadek na korzyść drugiej.

Skazania w związku z wypadkami samochodowymi stano-

(20) G. Mauco, *The Assimilation of Foreigners in France*, str. 19, Supplement to Population Studies, 1950, Cambridge University Press. Również szczegółowa analiza ponad 400 zabójstw w Londynie, wykazała ważki wpływ izolacji społecznej i przerzucanie z miejsca na miejsce, prócz chorób umysłowych. Nie stwierdzono jednak wpływu takich czynników jak bieda, bezrobocie i ciasnota mieszkań. (Dr P. Sainsbury, *Suicide in London*, Institut of Psychiatry, 1956).

wią poważny odsetek w ogólnej ilości wyroków (13% w 1951) wyroki z tego tytułu mają przeważnie formę grzywny pieniężne (63% w 1951). Ponieważ można przypuszczać, że ludność polsk ma mniejszą ilość pojazdów na głowę niż średnia całego kraj stąd wniosek, że albo ludność polskiego pochodzenia stanow niewspółmiernie wysoki odsetek wśród wyroków samochodo wych, albo — co wydaje się bardziej prawdopodobne — że m wyższy odsetek w innych wyrokach niż to podaje średnia z 1951.

Gdy odsetek wyroków będzie dla ludności polskiego poch dzenia przez szereg lat przewyższać jej odsetek wśród ogółu lud ności i gdy wśród wyroków samochodowych, Polonia będzie pro centowo mniej reprezentowana, stąd wniosek, że gdy jedneg dnia, jak tego należy się spodziewać (21), sporządzona zostan statystyka więźniów według pochodzenia, to odsetki przypada jące na Polaków, będą jeszcze większe niż ma to miejsce wśró wyroków skazujących.

W 1951 na 28.980 osób skazanych sądownie było 265 osó urodzonych w Polsce, ale 598 osób polskiego pochodzenia. Od nośnie ogółu starych emigrantów badanie wykazało, że w 73 okres pobytu w Kanadzie był dłuższy niż 15 lat. Dlatego d 265 osób urodzonych w Polsce możemy zastosować wynik spis z roku 1941, który wykazał, że tylko 39,8% osób urodzonyc w Polsce podaje polskie pochodzenie. Wprowadzając ten odse tek do obliczeń, ocenić można wśród tych 265 osób ilość nie Polaków na 159. Osoby te były zapewne pochodzenia ukraiń skiego i żydowskiego. Obie te narodowości wśród ogółu skaza nych miały odsetki mniejsze niż to wynikało ze składu ludnoś ciowego, natomiast jak to zaznaczyliśmy, ludność polskiego po chodzenia miała odsetek wyższy. Po wprowadzeniu odnośnej po prawki zmniejsza to wycenę osób nie-polskiego pochodzenia d 90,a tym samym pozostaje 175 na osoby pochodzenia polskiego co daje 1,79 skazanych na 100 emigrantów Polaków. Odejmu jąc liczbę 90 od 598 osób polskiego pochodzenia i odnosząc róż nicę do ludności polskiego pochodzenia urodzonej w Kanadzi otrzymamy 3,46 skazanych na 1.000 Polaków urodzonych w Ka nadzie. To są dalsze granice oceny, górna granica daje 1,82 ska zanych na 1.000 emigrantów i 4,29 na 1.000 Polaków urodzonyc w Kanadzie (22). Dla porównania, średnia całego kraju wynosił 2,07 skazanych na 1.000 mieszkańców.

(21) Zwłaszcza, że prasa już zwróciła uwagę na fakt, iż Kanada wysy do więzień corocznie sześciokrotnie większą ilość osób niż Anglia (*Th Gazette*, 1. X. 1955).

(22) Górna granica szacunku oparta jest na następujących przesłankach w 1951 podział 28.980 osób skazanych według krajów pochodzenia wykaz brak danych odnośnie 437 wypadków, natomiast podział według pochodzen narodowego miał brak danych w 4.730 wypadkach, tym samym rozprowadz jąc braki równomiernie wśród wypadków znanych odnośnie kraju pochodz nia, należy liczby bezwzględne powiększyć o 1,5%, a w podziale wedłu pochodzenia narodowego o 18%.

Odsetek ludności do 15-go roku życia jest zawsze mniejszy u emigrantów niż u ludności miejscowej i nie występuje on wśród powyższych danych, gdyż takie wypadki należą do sądów dla młodocianych i są objęte osobną statystyką. Mając to na uwadze można sądzić, że wśród dorosłych Polaków urodzonych w Kanadzie odsetek skazanych może być nawet trzykrotnie większy niż wśród emigrantów. Brak jest statystyki skazanych z podziałem według języka macierzystego. Większy odsetek skazań u tych, co zmienili język macierzysty byłby ostrzeżeniem, że asymilacja natrafia na trudności.

Różnica pojęć na tle cyfr

Jak mówiliśmy uprzednio, statystyki ludności używają różnych pojęć jak na przykład kraj urodzenia, język macierzysty, narodowość, obywatelstwo, religia itd. Dlatego warto podać, jakie są różnice liczbowe między tymi pojęciami na terenie Kanady.

Otóż w czasie spisu z 1941, spośród osób urodzonych w Polsce, polskie pochodzenie podało tylko 39,8%, a język polski jako macierzysty tylko 37,0%. Z danych spisowych 1951 można podać tylko górną granicę : 164.474 osób było urodzonych w Polsce, a wśród osób urodzonych w Europie (dane dla Europy podano łącznie, z wyjątkiem Anglii) pochodzenie polskie podało tylko 94.066 osób. Stąd wniosek, że co najwyżej 57,2% osób urodzonych w Polsce przyznaje się w Kanadzie do narodowości polskiej.

Z obywatelstwem sprawa ma się niedużo lepiej. W 1951 obywatelstwo polskie zgłosiło 55,771 osób, ale spośród 219.845, które podały pochodzenie polskie, obywatelstwo kanadyjskie miało już 179.960 osób, a 36.890 podało (23) obywatelstwo krajów europejskich (dane dla Europy podano łącznie, oprócz Anglii). Innymi słowy, co najmniej 32,3% osób posiadających obywatelstwo polskie w Kanadzie uważa się narodowościowo za nie Polaków.

Teoretyczne środki dla zmniejszenia szybkości wynaradawiania

Można przyjąć jako pewnik, że wynaradawianie każdej emigracji z biegiem lat jest zjawiskiem naturalnym, a tym samym szkoda mówić o zatrzymaniu tego procesu. Analiza nasza wykazała, że w Kanadzie proces ten u ludności polskiego pochodzenia jest tak szybki, że zachodzi obawa, że właśnie ta wynarodowiona zupełnie część ludności wnosi zbyt mało dla dobra

(23) W czasie spisu 1951, emigrantów polskiej narodowości przybyłych do Kanady w latach 1947-1951 było 33.006. Prawie nikt w tej grupie w czasie spisu nie mógł mieć obywatelstwa kanadyjskiego, gdyż jak powiedzieliśmy, ustawa wymaga pięcioletniego pobytu w Kanadzie.

Kanady jako całości. Dlatego warto choć pokrótce omówić teoretyczne środki dla zwolnienia tempa procesu.

Używam określenia ,,teoretyczne'' celowo i może będę pesymistą, gdy powiem, że wydaje mi się mało prawdopodobne, by udało się wprowadzić w czyn jakikolwiek z proponowanych środków. Niemniej hołduję zasadzie : *contra spem spero*.

Mimo pozorów kryminalnej sensacji wydaje się, że należałoby rozpocząć w jak najkrótszym czasie studia nad więźniami pochodzenia polskiego, choć zachodzi obawa, iż odsetek ich może być zbyt wysoki. Nie jest wykluczone, że właśnie studium tego rodzaju wskaże środki zaradcze, które podobnie jak w przytoczonym przykładzie z Francji dadzą dodatnie wyniki w krótkim czasie. Nie jest na przykład rzeczą wykluczoną, że może się okazać, iż przestępczość jest nadmiernie wysoka u tych, co porzucili język polski. Byłby to niezbity dowód, że asymilacja biegnie po niepożądanych torach.

Równocześnie badaniem należałoby objąć i zakłady dla umysłowo chorych, bo nieraz nieprzezwyciężone trudności życiowe zmuszają jednostkę do szukania ucieczki w świecie urojonym. Badanie więc mogłoby rzucić światło na trudności o tak groźnych następstwach, a co z kolei pozwoliłoby na podejmowanie skutecznych środków zapobiegawczych.

Niezależnie od tych badań, należałoby zwrócić uwagę władz Kościoła katolickiego na zależność zmniejszania się odsetka należących do tego Kościoła u ludności polskiej w miarę porzucania przez nią języka macierzystego. Akcja oświatowa Kościoła grecko-katolickiego może tu być wzięta jako przykładowy środek zaradczy.

Zdrowy rozsądek nakazuje gruntowne zaznajomienie się z doświadczeniem innych grup narodowościowych na terenie Kanady, a zwłaszcza Ukraińców (24) i Żydów, za którymi jesteśmy znacznie w tyle, tak gospodarczo jak politycznie nie mając żadnego przedstawiciela ani w parlamencie federalnym ani w senacie (a sądzę, że ,,awans polityczny'' w Kanadzie w takiej przebiega kolejności).

Badania statystyczne nieodzowne są dla poważnych poczynań długoplanowych organizacji polonijnych, a to poczynając od wieku ludności, jej przekroju zawodowego i zarobków, stanu światy, czytelnictwa prasy polonijnej i kanadyjskiej, należenia do organizacji polskich i kanadyjskich a kończąc na bardziej trudnych badaniach nad dynamiką poszczególnych procesów łącznie z asymilacją. Prawdopodobnie w wielu wypadkach odnośne dane będzie można uzyskać tylko drogą ankiety. Jeżeli ktoś po-

(24) Wiele cennego materiału co do Ukraińców zawiera poprzednio wspomniana książka prof. P. Yuzyka na przykład prowadzenie burs dla młodzieży, klubów sportowych, które przyjmują do zarządu i na członków czynnych także przedstawicieli innych narodowości, kursy oświatowe organizacji religijnych, współpraca z organizacjami kanadyjskimi itd. Niestety, stosunkowo mało jest danych o organizacji kooperatyw.

wie, że prace należałoby właściwie rozpocząć od poważnego studium socjologicznego na poziomie dzieł Floriana Znanieckiego, to chętnie mu przytaknę, lecz z miejsca zaznaczę, że nie widzę żadnych możliwości, by kiedykolwiek mógł powstać kanadyjski odpowiednik klasycznego dzieła ,,The Polish Peasant in Europe and America'', bo nie ma ani uczonych tej miary ani środków materialnych (25).

Idąc dalej po drodze dezyderatów musi się podkreślić znaczenie ścisłej łączności z organizacjami Polonii amerykańskiej, gdyż jedynie wspólnym działaniem dadzą się urzeczywistnić plany, których wykonanie przekraczałoby możliwości samej Polonii kanadyjskiej (26). I odległość z Toronto czy Montrealu do ośrodków Polonii w Chicago, Detroit, Buffalo, Pittsburghu czy Nowym Jorku jest o wiele krótsza niż do wielu ośrodków kanadyjskich jak na przykład Winnipeg, Edmonton lub Vancouver.

Wśród tego rodzaju planów na pierwszym miejscu winno się znaleźć wydawanie, najlepiej w formie kolorowego dodatku do prasy polonijnej, polskich kreskówek. Na tutejszym kontynencie jest to tak skuteczny środek popularyzacyjny, że nawet Kościół katolicki zdecydował się wydawać w tej formie opowiadania z Pisma Świętego i z dziejów Kościoła. Uważam ten sposób za najlepszy do zaznajamiania młodzieży z polskim słowem drukowanym (swego czasu Walentynowicz wydawał przygody Walerego Pompki, gdzie kolorowe obrazki miały wyjaśnienia dwujęzyczne, polsko-angielskie).

O ile by w przyszłości stosunki polityczne poprawiły się na tyle, że można by nawiązać bezpośrednio łączność z władzami kościelnymi w kraju, to należałoby przy ich pomocy i za pełnym zwrotem kosztów (aspekt dolarowy może przekonać Warszawę) zapoczątkować: a) uzyskiwanie w ozdobnej formie — tak by nadawało się do oprawy — wyciągu, nawet po łacinie, z ksiąg metrykalnych parafii, z zaznaczeniem w pieczęci daty

(25) Pięciotomowe dzieło *The Polish Peasant in Europe and America*, owoc mrówczej pracy profesorów W.I. Thomasa i F. Znanieckiego, wymagało zgromadzenia tysiąca oryginalnych dokumentów (listy prywatne, życiorysy, zakupy roczników prasy za okres 20 lat itp.). Cennych wskazówek udzielało szereg naszych znawców w Kraju i był swobodny dostęp do źródeł krajowych nieodzownych dla takiej pracy. Wszystko to jest nie do pomyślenia w najbliższej przyszłości. A nie wolno zapominać, że prof. Thomas rozpoczynając gromadzenie materiałów w 1908 uzyskał kredyt w wysokości 50.000 dolarów, które dziś warte byłyby co najmniej trzy razy tyle.

(26) Jak niedostateczna jest ta łączność świadczy najlepiej zdarzenie jakie miało miejsce z końcem lipca 1953 w Montrealu, jednym z największych ośrodków Polonii kanadyjskiej. Otóż przybyła do tego miasta wycieczka 77 Amerykanek z Pittsburga, należących do Polish Women Alliance of America, która to organizacja liczy około 100.000 członkiń. Przedstawicielka wycieczkowiczów oświadczyła reporterowi miejscowego dziennika kanadyjskiego: *In Montreal we seldom run into Polish people. We have met a few Polish DP's in restaurants, but we are usually too busy to look up Polish families here* (*The Gazette*, 23. VII. 1953).

założenia danego kościoła (27); b) sprowadzenia dobrych kopii wykonanych przez młodych artystów, znanych obrazów i rzeźb religijnych.

Na terenie samej Kanady mogłoby być wskazane podjęcie bardzo ostrożnego sondowania opinii u innych grup narodowych, czy byłaby wskazana wspólna akcja:

a) propagowania wśród miejscowego społeczeństwa tezy, że poważną różnicę ilościową między Kanadą a Stanami (16 milionów do 165 milionów) należałoby zmniejszać na drodze jakościowego przygotowania obywateli;

b) że z punktu widzenia ogólno-państwowego jest błędem gdy podkreślanie pochodzenia ogranicza się do dwóch narodowości, z wyraźnym pominięciem innych grup.

Punkt pierwszy osiągnąć by można ciągłym zaznajamianiem z całą mozaiką (28) kultur na terenie Kanady, których znajomość należałoby wprowadzić do szkół, łącznie z nadobowiązkowymi kursami języków poszczególnych grup. I na tej drodze, gdyby każdy obywatel, prócz dwu języków urzędowych, znał również język swych przodków, to Kanada kulturalnie powiększyłaby ilość swoich obywateli z 16 milionów na 35, dając równocześnie doskonałą podbudowę do mostu, jaki tworzy między Europą a kontynentem obu Ameryk.

Tutaj byłaby cała gama środków pomocniczych: festiwale narodowościowe, prowadzenie obozów dla młodzieży w odnośnych grupach łącznie z nauką tańców ludowych, wprowadzenie do muzeów sztuki ludowej poszczególnych narodów w formie eksponatów wykonywanych w Kanadzie itd.

Teza druga jest tylko podsumowaniem znanego faktu, że nawet w rodzinie, która ma wiele dzieci, ciągłe podkreślanie pochodzenie dwojga najstarszych musi u reszty rodziny wywołać kompleks niższości. A w danym wypadku nawet zupełna asymilacja, bez możności powołania się na przodka z ,,arystokratycznej rasy'' daje poczucie nieślubnego dziecka.

Życiowo biorąc, nie wydaje się prawdopodobne, by w ciągu najbliższych dziesięciu lat a może i znacznie dłuższego czasu,

(27) W czasie wojny wielu żołnierzy amerykańskich przeprowadzało podczas urlopu poszukiwania genealogiczne w Anglii i w Irlandii. W Kanadzie pisownia nazwisk polskich nawet w polskich kościołach i po polskich cmentarzach pozostawia wiele do życzenia.

(28) Nie jest to obce określenie na tym gruncie (patrz wyżej). Na marginesie warto przytoczyć uwagę z Międzynarodowego Zjazdu Studiów Naukowych nad Ludnością (Genewa 1949): *Given the many instances of happy relations between racial groups within the same country, without cultural assimilation in the strict sense, the following question was asked: Is the crucial matter assimilation or the development of peaceful relations between groups of different race or nationality within a single community?* Na zjeździe były też głosy przeczące możliwości wspólnej wymiany wartości kulturalnych w czasie asymilacji, twierdzące że z definicji tego pojęcia wynika, że jest to proces jednokierunkowy. Niestety, prof. Yuzyk nie daje odpowiedzi na te zasadnicze pytania.

znikło w Kanadzie zaznaczanie pochodzenia anglo-saskiego względnie francuskiego. Dlatego właśnie inne narodowości nie powinny unikać zaznaczania swoich przodków, bo dzięki temu pozbywa się poczucia niższości a także stępia się ostrze rywalizacji, która może stać się niebezpieczna, gdy ogranicza się tylko do dwu silnych przeciwników.

Podkreśliliśmy wyraźnie, że sondowanie opinii u innych narodowości musi być bardzo ostrożne i z miejsca należy stanowczo zaznaczyć, że w żadnych warunkach przedstawiciele grupy polskiej nie mogliby się podjąć kierownictwa takiej akcji, bo z ,,tytułu i urzędu'' należy to do narodowości, które są reprezentowane na terenie Kanady i o wiele liczniej niż my, i historycznie są bardziej zasiedziałe. Tak na przykład wielu przodków Kanadyjczyków holenderskiego pochodzenia przyszło do Kanady ze Stanów łącznie z grupami lojalistów sprzeciwiających się oderwaniu Stanów od imperium brytyjskiego.

Gdyby nawet cała akcja miała spalić na panewce z powodu braku kierownictwa, to lepiej nie podejmować nic, niż narażać się u innych grup na zarzut uzurpacji lub co gorsza mącicieli w oczach całego społeczeństwa.

Może ten artykuł, choć jest on tylko przysłowiową kroplą w morzu potrzeb, przyczyni się przynajmniej do zwrócenia uwagi na omówione problemy.

Adam JAWORSKI

ŹRÓDŁA

Uwaga: Liczby bezwzględne podane w tablicach wzięto ze źródeł niżej bezpośrednio wymienionych, natomiast odsetki obliczono na podstawie danych bezwzględnych tamże ogłoszonych.

Dominion Bureau of Statistics, Ottawa:
— Ninth Census of Canada, 1951, Vol. I & II.
— Eight Census of Canada, 1941, Vol. I & II.
— Seventh Census of Canada, 1931, Vol. I & II.
— Sixth Census of Canada, 1921, Vol. I & II.
— Vital Statistics, Rocznik 1931, 1941 i 1951.
— Statistics of Criminal and Other Offences, Rocznik od 1949 do 1955.

TABLICA I.

DZIEWIĄTY POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W KANADZIE — CZERWIEC 1951.
ROZMIESZCZENIE LUDNOŚCI POLSKIEGO POCHODZENIA

Uwagi : Pochodzenie ludności określono w czasie spisu na podstawie narodowości pierwszego męskiego przodka który przybył do Kanady.

Miejsce zamieszkania ludności :	KANADA	Ontario	Manitoba	Alberta	Saskatchewan	Quebec	British Columbia	Nova Scotia	New Brunswick	Yukon	Northwest Territories	Newfoundland	Prince Edward Island
Ogółem - kraj	219.845	89.825	37.933	29.611	26.034	16.998	16.301	2.364	340	136	120	79	54
Wieś - ogółem	81.303	19.525	16.404	18.135	19.901	1.113	5.404	449	160	98	55	14	45
Farmy - ogółem ..	54.543	10.325	12.666	13.942	14.944	584	1.865	125	71	1	—	—	20
Og. poza farmami ..	26.760	9.200	3.738	4.193	4.957	529	3.539	324	89	97	55	14	25
Miasta - ogółem ..	138.542	70.300	21.529	11.526	6.133	15.885	10.897	1.915	180	38	65	65	9
Og. miasta powyżej 100.000 *mieszk.* ...	75.108	36.756	13.889	7.744	—	11.385	5.334	—	—	—	—	—	—
30.000 - 99.999 ..	22.201	16.370	—	—	2.682	939	1.291	820	69	—	—	—	—
10.000 - 29.999 ..	16.508	6.374	3.986	901	996	1.544	1.952	675	73	—	—	30	7
Poniżej 10.000	24.725	10.800	3.654	2.881	2.455	2.017	2.320	420	38	38	65	35	2

TABLICA 2

DZIEWIĄTY POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W KANADZIE — CZERWIEC 1951.
ODSETEK LUDNOŚCI POLSKIEGO POCHODZENIA KTÓRY ROZUMIE MACIERZYSTY JĘZYK POLSKI

Uwagi: 1. Jak w Tablicy 1.

2. Podkreślono odsetki odnoszące się do liczb większych niż 5.000 z Tablicy 1.

Miejsce zamieszkania ludności:	KANADA	Ontario	Manitoba	Alberta	Saskatchewan	Quebec	British Columbia	Nova Scotia	New Brunswick	Yukon	Northwest Territories	Newfoundland	Prince Edward Island
Ogółem - kraj	*58.8*	*64.6*	*59.4*	*51.4*	*48.8*	*75.5*	*40.3*	40.8	46.8	50.0	61.7	36.7	68.5
Wieś - ogółem	*56.7*	*68.5*	*58.1*	*54.1*	*50.4*	66.7	42.2	27.8	58.8	56.1	74.5	50.0	75.6
Farmy - ogółem ..	*58.2*	*73.6*	*60.7*	*54.4*	*51.0*	70.7	38.8	39.2	77.5	100.0	—	—	80.0
Og. poza farmami ..	*53.6*	62.6	49.3	53.0	48.6	62.2	44.1	23.5	43.8	55.7	74.5	50.0	72.0
Miasta - ogółem ..	*60.0*	*63.6*	*60.4*	*47.1*	43.4	*76.1*	*39.3*	43.8	36.1	34.2	50.8	33.8	33.3
Og. miasta powyżej 100.000 *mieszk.* ...	*64.2*	*67.0*	*64.6*	47.0	—	*77.6*	40.7	—	—	—	—	—	—
30.000 - 99.999 ..	*58.0*	*61.8*	—	—	40.0	69.1	40.5	59.1	33.3	—	—	—	—
10.000 - 29.999 ..	*54.8*	60.5	54.4	54.2	48.1	70.9	35.7	34.2	34.2	—	—	—	42.9
Poniżej 10.000	*52.4*	*56.3*	50.8	45.3	45.2	75.2	38.5	29.3	44.7	34.2	50.8	45.7	—

TABLICA 3

DZIEWIĄTY POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W KANADZIE CZERWIEC 1951.

ODSETEK EMIGRANTÓW POLSKIEGO POCHODZENIA KTÓRY ROZUMIE JĘZYK POLSKI

Uwagi i oznaczenia jak w Tablicy 1.
Sześć wymienionych poniżej prowincji skupia ponad 98% ogółu ludności polskiego pochodzenia.

Czasokres przybycia do Kanady	KANADA	Ontario	Manitoba	Alberta	Saskatchewan	Quebec	British Columbia
Ogółem	82.3	86.4	82.3	72.9	72.1	89.3	72.6
Przed 1911	74.6	77.2	80.5	66.9	68.3	75.9	70.0
1911 - 1920	77.4	80.6	81.4	71.0	70.8	76.9	70.5
1921 - 1930	78.8	82.8	80.0	72.2	73.4	83.3	68.4
1931 - 1940	77.8	81.4	78.3	68.3	75.9	80.9	68.5
1941 - 1945	80.6	78.7	70.2	69.4	55.6	90.8	76.5
1946	88.4	88.0	86.0	93.2	78.2	94.2	85.0
1947 - 1948	91.0	92.7	94.5	79.6	76.6	95.6	84.1
1949 - 1951	90.5	92.4	88.5	76.9	77.6	97.5	79.3

TABLICA 4

JĘZYK MACIERZYSTY I MIEJSCE ZAMIESZKANIA GRUP LUDNOŚCI W CZASIE POWSZECHNEGO SPISU LUDNOŚCI W KANADZIE W LATACH 1951, 1941 I 1931.

ODSETKI W STOSUNKU DO POCHODZENIA

Uwagi: 1. Tzn. że w 1951 w odniesieniu do ludności pochodzenia anglosaskiego, odsetek używający języka angielskiego jako macierzystego wynosił 123.4% czyli 23.4% używających ten język jako macierzysty nie było pochodzenia angielskiego.

2. Tzn. że w 1951 co najwyżej 94,2% ludności pochodzenia francuskiego używało języka francuskiego jako macierzystego, jako że inne grupy ludności nie-francuskiego pochodzenia mogły podać język francuski jako macierzysty.

3. Tzn. że w 1951 na wsi mieszkało 38.4% całej ludności.

4. Tzn. że w 1951 spośród ludności anglosaskiego pochodzenia na wsi mieszkało 34.3%.

		1951		1941		1931	
Pochodzenie względnie język macierzysty	Pochodzenie	Język macierzysty	Zamieszkała na wsi	Język macierzysty	Zamieszkała na wsi	Język macierzysty	Zamieszkała na wsi
		Odsetki					
Ogółem - kraj	14.009.429	—	38.4[3]	113.5	41.7	109.9	42.5
Angielskie	6.709.685	123.4[1]	34,3[4]	—	45.7	—	46.3
Francuskie	4.319.167	94.2[2]	40.1	96.3	45.1	96.7	46.0
Niemieckie	619.995	53.1	55.8	69.3	63.6	76.4	63.1
Ukraińskie	395.043	89.2	49.7	102.4	66.0	112.3	70.5
Holenderskie	264.267	33.3	59.1	25.0	67.0	17.8	66.0
Polskie	219.845	58.8	37.0	76.8	50.7	81.5	53.4
Żydowskie	181.670	57.0	1.3	76.2	4.0	95.4	3.5
Włoskie	152.245	60.6	11.9	71.3	19.1	87.1	18.4
Norweskie	119.266	36.8	53.3	59.7	68.8	68.8	72.8
Szwedzkie	97.780	36.9	53.3	58.0	64.6	71.6	67.2
Rosyjskie	91.279	43.0	47.8	62.6	66.8	57.6	72.7
Czechosłowackie ...	63.959	71.2	39.5	87.6	52.8	82.6	48.4
Węgierskie	60.460	70.1	45.1	84.8	53.2	93.5	50.5
Inne	544.367						
	170.401						

TABLICA 5

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W KANADZIE

W LATACH 1931, 1941 I 1951. ODSETEK LUDNOŚCI POLSKIEGO POCHODZENIA NALEŻĄCY DO KOŚCIOŁA RZYMSKO-KATOLICKIEGO I DO CHURCH OF CANADA

Oznaczenia i uwagi jak w Tablicy 1.

Rok	1931		1941		1951	
Wyznanie: / Grupa ludności polskiego pochodzenia	Kościół Rz.-Kat.	Church of Canada	Kościół Rz.-Kat.	Church of Canada	Kościół Rz.-Kat.	Church of Canada
	Odsetki:		Odsetki:		Odsetki:	
Ogół ludności	85.4	1.4	72.8	3.8	69.6	5.9
Zamieszkali na wsi	84.2	1.1	—	—	71.4	4.9
Zamieszkali w mieście	86.7	1.8	—	—	68.5	6.5

Wspomnienia z okresu majowego

Rok 1923, obok dwudziestego i dwudziestego szóstego, należy do najbardziej brzemiennych w państwowotwórcze decyzje Józefa Piłsudskiego i w następujące po nich wydarzenia o dziejowym znaczeniu dla Polski.

Oto te wydarzenia roku 1923:

Zamordowanie Prezydenta Narutowicza w końcu 1922 roku i wybór przyjaciela Komendanta z walk o niepodległość, Stanisława Wojciechowskiego na drugiego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Otrzymanie przez Piłsudskiego najwyższej klasy orderu Virtuti Militari i dekorowanie przezeń tym orderem Marszałka Francji i Polski, zwycięskiego wodza koalicji — Focha.

Artykuł Komendanta w prasie o moralności narodowej i dojście do władzy premiera Witosa.

Te fakty skłoniły Komendanta do opuszczenia w dniu 30 maja stanowiska szefa sztabu generalnego, z wyraźnym stwierdzeniem, że rezygnacja nie ma nic wspólnego ze służbą w sztabie.

Po przyjęciu królewskiej pary rumuńskiej w Warszawie przez Marszałka Piłsudskiego, jako przewodniczącego Rady Wojennej;

po wysłaniu do zwycięskiego wodza wojny o niepodległość sekundantów, przez obrażonego w godności oficera byłego sztabu austriackiego — generała Szeptyckiego, wreszcie

po uznaniu przez Sejm zasług Piłsudskiego dla Polski śmiesznie drobną większością głosów — Komendant, w dniu 2 lipca, opuszcza stworzone przez siebie wojsko i przenosi się na dobrowolny pobyt w małym, zbudowanym przez oddanych mu przyjaciół, domku w podwarszawskim Sulejówku.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Ja, jako stojący wtedy z dala od osoby Józefa Piłsudskiego, jedynie wierny i ślepy wykonawca rozkazów Tego, który był dla mnie wcielonym geniuszem pracy dla wzrostu, istnienia i potęgi Polski, wstrzymuję się tutaj od niekompetentnej oceny ważności i przyczynowości tych faktów historycznych, będących punktem wyjściowym dla mających nastąpić w trzy lata później Wypadków Majowych.

Na razie, my legioniści, byliśmy całkowicie zaskoczeni, a mówiąc prawdę ciężko przygnębieni tą nagłą decyzją Komendanta — odejścia ze służby państwowej, której poświęcił tyle lat niepomiernych wysiłków. Rozstawaliśmy się z nim po raz trzeci. Pierwsze odejście jego od nas wywołał legionowy kryzys przysięgowy. Drugim rozstaniem było uwięzienie go przez Niemców w twierdzy Magdeburga. Teraz odbierają go nam nie obcy, lecz swoi, rodacy. Jedyną ostatnią pociechą było, że Komendant zgodził się na pożegnalny wieczór, który wyprawiliśmy przy jego odejściu z wojska. Wszyscy, liczący wtedy powyżej dwustu, a dzisiaj nieliczni już uczestnicy pożegnania pamiętają to przejmujące rozstanie.

Pięknie błyszczą rzęsiste światła, odbite w posadzce, lustrach i szkłach zastawy stołowej w Malinowej Sali hotelu Bristol. Zbieramy się licznie na długo przed zapowiedzianą godziną ósmą. Fotele i krzesła stoją tylko wzdłuż stołu przeznaczonego dla Komendanta i starszyzny. Poza tym, każdy batalion ma swój obficie zastawiony stół, wokoło którego grupuje się wiara na stojąco. Znawcy i miłośnicy robią zawczasu przegląd baterii wódek i win ustawionych na stołach. Niektórzy mędrcy, wieczni zaprzysiężeni besserwisserzy usiłują wytłumaczyć ciężką decyzję Komendanta jako niezwykle szczęśliwą i przewidzianą przez nich, ale wkrótce milkną pod szyderczymi spojrzeniami i nieprzytulnymi uwagami wściekłych kolegów. Jedyna pociecha to, że znów jesteśmy razem. Pierwszy to raz po włóczędze legionowej, więzieniach i zawierusze wojennej mamy zobaczyć Komendanta w zacisznej sali, przy blasku świateł, białości obrusa i błysku zastawy stołowej. Koleżeński gwar zamiera naraz jak uciął, gdy do sali wchodzi Komendant w towarzystwie szefa Sosnkowskiego i starszyzny generalskiej. Komendant jest w kurtce strzeleckiej, blady, ale pogodny i trzyma się prosto. W ciszy, powoli zajął miejsce w fotelu stojącym po środku, przy stole prezydialnym. Było to nagłym, potężnym hasłem dla najbardziej ochoczych i najwaleczniejszych do przypuszczenia ataku na nęcące batalionowe stoły. Oczywista, nikt tu nie rzuca się, uchowaj Boże egoistycznie i w pojedynkę. Już odżyły dawne sitwy kompanijne, już w barwnych opowiadaniach każdy batalion staje się najwaleczniejszy, gdy oczywista rozstrzygał wszystkie decydujące krwawe zwycięstwa, a poza tym, gdy inni się cofali, krył ofiarnie najcięższe beznadziejne odwroty. Postawa stojących wokoło stołów nie denerwuje bynajmniej przedsiębiorczych biesiadników, raczej skłania ich do tym żwawszego korzystania z obficie zastawionych płynnych i stałych możliwości, nęcących oko i pod

iiebienie. Wreszcie kieliszki zostają napełnione winem i obywa-
el Szef Sosnkowski przy wielkiej, ciężkiej nagle zaległej ciszy
wraca się z pożegnaniem do Komendanta, rzucając w nas groź-
ie, twarde słowa: ,,Rozstanie, służba, wytrwanie'', okraszone
gorącą wiarą naszą w konieczność powrotu Komendanta i po-
prowadzenia nas na nowo do pracy dla Polski. Czarny smutek,
iagła zmora, która chwyciła nas za gardła, ustąpiły znowu
przed promykiem nadziei, gdy wstał Komendant. Postawiliśmy
iieruszone kieliszki i czekaliśmy jak urzeczeni na słowa Tego,
który tyle już razy w najcięższych przejściach dawał nam naka-
y męstwa, otuchy i nadziei. Teraz w chwili pożegnania, nie
wiadomo na jak długo, Komendant był najspokojniejszy, można
powiedzieć najweselszy z nas wszystkich. Stał chwilę jasny
mocny jak dawniej, patrząc pogodnie po naszych rozgorzałych
oczach i zaostrzonych smutkiem twarzach. Głosem spokojnym
powiedział nam, że po pięciu latach znoszenia kalumnii postano-
wił przemówić w obronie swej pracy i swych zamierzeń państwo-
wych. Dlatego występuje z wojska, które powinno być ,,wielką
iiemową''. Stolica i Polska zawierzyła mu w dniach listopado-
wych po jego powrocie z Magdeburga, w dużym stopniu dla-
ego, iż dowodził on w czasie wojny zwartą grupą żołnierzy,
znaną jako Pierwsza Brygada. Od pierwszych chwil istnienia
Polski niepodległej odrzucił możność dyktatury i ofiarował
v 1919 roku władzę zwołanemu przez siebie sejmowi. W tej
historycznej chwili był przy szabli, ofiarowanej mu przez chłop-
ców z Pierwszej Brygady i zamierzał pracować dla Polski tylko
v wojsku. Otrzymawszy zlecenie zostania Naczelnikiem Państwa
Wodzem Naczelnym, pobił wrogów, którzy chcieli zagłady no-
wej Polski i przed którymi drżeli inni.

To jednak, w chwilach najwyższego powodzenia czarny cień,
jak karzeł złośliwy — straszna kalumnia poczęła prześladować
go wszędzie. Jako głowa państwa oskarżony był o złodziejstwo,
a jako wódz naczelny o zdradę. Teraz nie chce być obowiązany
bronić swą szablą ludzi stojących u władzy, którzy pośrednio
przyczynili się do zamordowania pierwszego Prezydenta Polski.
Dlatego odchodzi, by mieć swobodę mówić o tych sprawach.
Poza tym pragnie odpoczynku, by odetchnąć i być tak wesołym
beztroskim, jak koledzy z Pierwszej Brygady. W czasie tego
przemówienia oczy Komendanta błyszczały energią i nie było
w nich śladu zmęczenia ni potrzeby odpoczynku. Gdy skończył
ktoś zaintonował Pierwszą Brygadę, a potem wybuchł krzyk
gwałtowny: ,,Niech żyje Komendant!'' i wiara rzuciła się
w kierunku Marszałka. ,,Komendancie! Nie odchodźcie. My
z Wami!'' krzyczeli najmłodsi, najbardziej zapalczywi, najmniej
chcący zrozumieć decyzję Piłsudskiego. Usiadłem na krzesełku
w kącie sali, gdyż nie dwie wypite wódki, ale słowa Komendanta
ogłuszyły mnie zupełnie. Jak to, więc nie zapowiedział nawet
powrotu i nie wzywa nas do pomagania mu. Odchodzi jakby
na zawsze. Dlatego siedziałem samotny i do stołu prezydialnego
nie podszedłem. Jeżeli można tak powiedzieć, miałem pretensję

do Komendanta. Już koło północy poszedł po nas cichy rozkaz, by zejść na dół, gdyż Marszałek już odjeżdża i nie życzy sobie żadnych manifestacji ani okrzyków. Ma więc być zupełnie cicho. Noc była jasna, ciepła, lipcowa. Ostatnie tramwaje schodziły już z ulic. Ruch kołowy i pieszy powoli zanikał. W pobliskiej komendzie miasta świeciły się wszystkie okna. — Pilnują porządku! — zauważył zjadliwie kolega z piątego batalionu stając na brzegu trotuaru przed Bristolem. Tuż obok na jezdni stoi samochód Komendanta z idącym już motorem. Pochylony lekko w przód wychodzi Józef Piłsudski i siada z adiutantem do samochodu. Krótki ukłon w odpowiedzi na nasze długie natężone salutowanie. Samochód rusza i za chwilę czerwone jego światło ginie gdzieś koło pomnika Kopernika w głębi Nowego Świata. Tak spokojnie Komendant odjechał od nas w swą długą noc sulejowską, trwającą trzy lata aż do maja 1926. Staliśmy chwilę jak odurzeni, dobrze jeszcze nie rozumiejąc, że to już koniec. Wielki wódz wojny o niepodległość Polski, twórca jej siły zbrojnej, zmuszony jest odejść od wojska, które stworzył i natchnął zwycięstwem. Co za krzywda dla nas, którzy go kochamy, ale jednocześnie co za szkoda dla Polski. I my wszyscy nic na to nie umiemy poradzić. Patrząc na siebie z bezsilną niechęcią, rozchodzimy się w milczeniu i wsiąkamy w puste ulice Warszawy, złorzecząc w myśli tej nędznej rzeczywistości. Nie rozumieliśmy jakie złowróżbne siły stwarzały tę właśnie rzeczywistość, w której siły Polski marnowały się na walki wewnętrzne, zamiast pomagać Komendantowi w ugruntowaniu tak nowej jeszcze i niepewnej niepodległości. Myślę, że grały tu momenty uczuciowe i to nie osobiste, ale natury ogólnej, idealnej, wynikające właśnie ze zbyt indywidualnej, zbyt zazdrosnej miłości Polaków do wymarzonej ojczyzny. Każdy chciał ją zbawiać i urządzać po swojemu. Gdy bowiem Pan Bóg obdarzył Polaków tak dawno upragnioną, wycierpianą, wyproszoną, wybłaganą niepodległością, przyjęli ją gorąco i z wdzięcznością, ale w swych sercach i umysłach obwarowali przyjęcie tego daru pewnymi zastrzeżeniami. Polska ma być silna, wielka, potężna, a co najważniejsze radosna i szczęśliwa. Po prostu Polacy wzięli od Pana Boga nie tę realną ojczyznę, którą im wreszcie dawał, tak jak innym narodom, ale chwycili w ramiona i zamknęli w sercach Polskę idealną, Polskę wyimaginowaną, wyśnioną w długą burzliwą ciemną noc niewoli. Stąd ojczyzna Polaków ma zwyciężać swych wrogów, ma karmić swe dzieci, ma kwitnąć i rosnąć w chwałę i dobrobyt. Inaczej, to nie „nasza" Polska, to Polska tej grupy ludzi, którzy sprawują władzę. Owszem, co dobrego to sprawiamy i my, a może my przede wszystkim, ale co złego, to „oni i tylko oni". Tym ci gorzej, jeżeli „oni" prowadzeni są przez potężną indywidualność Józefa Piłsudskiego, który wziął na swą odpowiedzialność, wywalczył i utrwalił niepodległość Polski. Na przykład, wygrana wojna, to naturalne, ale warto być w atmosferze triumfu i ulgi istnienia wolnego narodu, przypomnieć i roztrząsać krytyczne ujemne aspekty wyprawy Kijowskiej.

W tych rozdźwiękach nie odgrywały roli czyste personalia, ale walka odmiennych światopoglądów. Wszak Józef Piłsudski ścigał się z Romanem Dmowskim w osiągnięciu Tokio w czasie wojny rosyjsko-japońskiej nie z emulacji osobistej, lecz chęci narzucenia każdy swej koncepcji dla ratowania Polski. To samo powtórzyło się, gdy Roman Dmowski w Paryżu zawarowuje pozostanie Niemców w Polsce jako osłonę od komunizmu, a Józef Piłsudski wyrzuca tych Niemców na własną rękę i również na własną rękę rozbija doszczętnie zapędy pchających się na Polskę bolszewików. Już z tych paru zestawień wychodzi jasno zasadnicza różnica taktyki, mimo wspólnych końcowych celów. Szła za tym różnica metod działania oraz używania, wykorzystywania ludzi przez Józefa Piłsudskiego a jego przeciwników politycznych. Szkoła państwowej pracy Komendanta, według jego własnych słów, rzuca w imię potrzeb wyższych, podwładnego pracownika od razu na głęboką wodę. Jeżeli wypłynie i upora się z falą, to czeka go jeszcze w razie konieczności, i znów według słów Komendanta, noszenie kubłów nieczystości, gdy tego wymagać będzie interes Polski. Te wielkie bezwzględne wymagania od ludzi, to szalone napięcie w pracy, które stwarzała indywidualność Józefa Piłsudskiego, sprawiły iż z chwilą odejścia Komendanta do samotni Sulejówka, w służbie państwowej, a szczególnie w wojsku jakby zelżało. Doszła do głosu państwowa szkoła jego przeciwników, którą nazwałbym: ,,papką i solą''. Szkoła ta wymagała mniej nadmiernego wysiłku, a dawała więcej możliwości życiowych dla pracownika państwowego. Bądź lojalny, pracuj, a otrzymasz awans i pochwałę i order. Wielkich wyników od pracownika nie wymagano i nie oczekiwano. Dzięki tym metodom służbowym zrobiłem w czasie nieobecności Komendanta dużą karierę wojskową. Początkowo jako pułkownik lekarz byłem inspektorem batalionów sanitarnych, mając za zadanie stworzenie wytycznych i nadzorowanie szkolenia łapiduchów na potrzebę wojenną. Wyszkolenie wojska, umundurowanie i zaopatrzenie znajdowało się w miarę usuwania się Komendanta coraz bardziej pod przemożnym wpływem zwycięskich, butnych, pewnych siebie instruktorów francuskich. Legioniści uważani przez nich byli za skończonych germanofilów. Nie tylko tradycja legionowa, ale w ogóle formacyj polskich poza hallerczykami, była u Francuzów nie w najwyższym poszanowaniu. Maciejówki Pierwszej Brygady i Dowborczyków zastąpione zostały przez dziarskie rogatywki. Za to błękit mundurów legionistów i hallerczyków wyparty został przez buro-zielone mundury niemieckie. Tylko Komendant pozostał w jasno szarej kurtce legionowej i maciejówce. Poza tym, w chwilach uroczystych używał zakazanych w wojsku białych rękawiczek. Poza departamentem sanitarnym ministerstwa spraw wojskowych zetknąłem się bliżej z instruktorami francuskimi w Doświadczalnym Centrum Wyszkolenia w Rembertowie. Zostałem tam przydzielony na czwarty turnus trzymiesięcznego kursu dla dowódców pułku. Wykłady Francuzów, choć bardzo różne w poziomie, zależnie

od wartości instruktora, tchnęły śmiałością decyzji i konieczością zachowania inicjatywy w działaniach bojowych pułku i brygady. Dały więc nie tylko mnie, ale i prawdziwym pułkownikom dużo dodatnich wskazówek i materiału myślowego, idących zresztą po myśli ogólnych zasad szkoły Komendanta. Wkrótce po ukończeniu przeze mnie kursu wydany został bardzo starannie opracowany i dobrze napisany, wzorowany na francuskim regulamin służby polowej. Wyszedł rozkaz zdawania obowiązkowych egzaminów ze znajomości tego regulaminu dla wszystkich oficerów broni i służb. Pod wpływem wiadomości z mych studiów rembertowskich egzamin zdałem tak dobrze, że wyznaczony zostałem jako jeden z egzaminatorów przy komisji garnizonu warszawskiego. Zdający egzamin liniowi oficerowie patrzyli nieżyczliwie na moje wiśniowo-granatowe wyłogi lekarskie. Na postawione przeze mnie pytanie, by sobie ulżyć, odpowiedź zwykle zaczynali : ,,W tym wypadku, panie doktorze...''

Zwrot ,,panie doktorze'' nie miał tu cienia uprzejmości jak w życiu cywilnym, lecz gorzko podkreślał moje nie liniowe stanowisko, a więc naturalny, uświęcony tradycją brak kompetencji. Może to był i słuszny protest z punktu widzenia wojaków bojujących. Przy pełnieniu mych obowiązków inspektora batalionów sanitarnych miałem parokrotne zatargi z szefem sanitarnym wojskowej misji francuskiej dr. Gauthier, mającym wojskowy stopień lekarza pryncypała, odpowiadający naszemu pułkownikowi. Powstawały one głównie w sprawie wyszkolenia sanitariuszy. Lekarze wojskowi francuscy nie mieli stopni i tytułów oficerskich, stąd szkolili sanitariuszy przeważnie tylko fachowo bez przygotowania wojennego do funkcjonowania patroli sanitarnych na polu walki. My w Polsce staliśmy na stanowisku, że szeregowego sanitarnego ma całkowicie szkolić ten, który odpowiada za jego pracę w czasie walki, a więc lekarz. Stąd różnica zdań z potężnymi instruktorami francuskimi. Mimo to w porozumieniu z misją wojskową francuską wyznaczony zostałem jako lekarz do dwóch podróży taktycznych Szkoły Sztabu Głównego, co uważane było jako wyróżnienie. Jeździliśmy wygodnym amerykańskim pociągiem sanitarnym raz na Polesie aż po granicę bolszewicką, to znowu w Poznańskie do Nowego Tomyśla i na Śląsk. Poza jakże pożytecznym zwiedzaniem kraju, korzystałem wiele w czasie ćwiczeń taktycznych prowadzonych przez pułkownika Faury, funkcjonując jako szef sanitarny. Punktem szczytowym tych wyróżnień było oświadczenie szefa departamentu sanitarnego, generała Zwierzchowskiego, iż w porozumieniu z misją wojskową francuską wysyła mię w styczniu 1924 na roczny kurs do Paryża, celem nabycia wiadomości z taktyki sanitarnej w tamtejszej Ecole Supérieure de Guerre. Ten zaszczytny wyjątkowo wybór, dokonany nie wiem z czyjej inicjatywy, nastąpił bez mych starań i mimo mego afiszowania się jako piłsudczyka. A sposobności ku temu na szczęście nie brakło. Dynamizm Józefa Piłsudskiego nie pozwolił mu na długi odpoczynek przy rodzinie w małym dworku podwarszaw-

skiego Sulejówka. Już w parę tygodni po wyjściu z wojska, w lipcu 1923 roku, wydaje książkę o przyjacielu swym zamordowanym prezydencie Narutowiczu, gdzie daje upust oburzeniu z powodu tego politycznego morderstwa. Dwunastego sierpnia tegoż roku Komendant wyjeżdżał z dworca Wileńskiego w Warszawie na kilka dni do Wilna. Zebrała się nas wielka chmara oficerów przed dworcem w godzinach rannych. Stawiliśmy się na szeptaną wiadomość o wyjeździe Komendanta. Ubrany jak zwykle w siwą kurtkę strzelecką, bez odznak ale przy szabli, Komendant dobrze wyglądający i wesoły przeszedł do wagonu drugiej klasy i odjechał do swego ,,miłego miasta'', odprowadzany naszymi wiernymi, oddanymi spojrzeniami. Chodziłem odtąd na dworzec przy każdym wyjeździe Komendanta z Warszawy. Zawsze na peronie zbierało się kilkudziesięciu kolegów. Chłonęliśmy go wzrokiem, patrzyliśmy nań jako zapowiedź lepszych czasów dla Polski i dla nas, choć osobiste krzywdy nasze poza kilku kolegami na razie wielkie nie były. W początkach września witaliśmy radośnie powrót Komendanta z Wilna, po wypowiedzeniu przez niego tam szeregu odczytów. Opisywał w nich pierwsze swe poczynania w budowie Państwa Polskiego. Piętnował przy tym kalumnie i plotki, którymi go obrzucano poczynając od stosunków z nieistniejącą Perlówną, a kończąc na zdradzie i telefonowaniu z Belwederu do kwatery bolszewickiej w roku dwudziestym. Zdawało się, że ta możność obrony ideologii i pracy dla Polski Komendanta robi go młodszym i silniejszym. Walka i na tym polu była jego żywiołem. Jeszcze 9 stycznia 1924 roku, świeżo po upadku gabinetu Witosa, czytałem w Warszawie wywiad Komendanta, w którym protestuje przeciw usuwania z wojska szeregu jego oficerów i stwierdza, że wojsko nie jest piłką footbalową partyj politycznych, ani też wyznaczonych przez te partie dowódców. Okres czasu od połowy stycznia do początku listopada 1924 roku spędziłem na studiach wojskowo lekarskich we Francji. Było nas w Paryskiej Wyższej Szkole Wojennej pięciu lekarzy wojskowych w tym czterech Francuzów desygnowanych na szefów sanitarnych wyższych jednostek wojennych i ja jeden Polak. Ćwiczenia i zadania taktyczno-sanitarne odbywaliśmy z wykładowcą-lekarzem — pułkownikiem Spire tylko dwa razy w tygodniu. Resztę tygodnia poświęcaliśmy na słuchanie wykładów w wielkich stylowych, ale zimnych salach, zeszpeconych żelaznymi piecykami od których nieszczelne rury biegły do otworu w wielkim sięgającym podłogi słonecznym oknie. Najbardziej zaciekawiały mnie wykłady z budżetu i ekonomii państwowej. Olbrzymie sumy pożyczek, długów i reparacyj niemieckich z ostatniej wojny oszałamiały mnie, nawykłego do skromnych cyfr w budżecie premiera Grabskiego. Poza tym chodziłem zwykle po południu do szpitala wojskowego Val-de-Grâce, przy którym urządzone było bogate muzeum wojskowej szkoły sanitarnej, służącej dla przygotowania lekarzy wojskowych. W szpitalu uderzało ubóstwo sprzętu, połatanych prześcieradeł i wystrzępionych koców wobec bogactwa i luksusu pa-

nującego w domach i hotelach Paryża. Było to wynikiem brak ofiarności publicznej obok wygody i zbytku życia codzienneg Francji. W muzeum Val-de-Grâce utwierdzony zostałem w prze konaniu o konieczności tworzenia i kontynuowania tradycji sa nitariatu. Były tam marmurowe tablice odznaczonych za męstw i ofiarne pełnienie służby lekarzy i sanitariuszy z krótkim opisem ich czynów. Wisiały tam portrety szefów wojennej służby zdro wia w przedwiecznych mundurach, noszące na sobie piętno daw nych szkół malarskich. Mówiły one o starej dobrej tradycj służby zdrowia Francji. Na miejscu honorowym, w ciężkich ra mach z brązu rzucają się w oczy portrety dwóch najwybitniej szych lekarzy z czasów Napoleona I. Są to: Corvisart, lekar przyboczny cesarza i baron Dominik Larrey, chirurg naczeln wielkiej armii, który amputował nogę generałowi Zajączkow w śniegach nad brzegami Berezyny, a którego Napoleo w dniach porażki mianował jednym z opiekunów swego syna. Z punktu widzenia fachowego zajmujący jest przegląd technicz nego sprzętu sanitarnego, jak noszy i wojennych przyborów opatrunkowych od najdawniejszych czasów do ostatniej wojn światowej włącznie. Zwiedzanie co tydzień ze Szkołą Sztab fabryk i zakładów pracujących dla przemysłu wojennego, cho ciaż nie zawsze imponujące organizacyjnie i technicznie, dawał obraz odbijający od możliwości przemysłu zbrojeniowego Polski niestety na naszą niekorzyść. W czasie podróży taktycznej Szko ły Sztabu w Szampanii podziwiałem zasobność i zamożnoś obejść wiejskich, choć na ogół nie odznaczających się pedantycz ną czystością. Uderzała mnie również dominująca w krajobrazi Francji, barwa zieleni. Drzew i krzewów było pełno wszędzie nie tylko po wsiach, ale również i w miastach i miasteczkach wzdłuż szos i ulic, w licznych pięknych parkach i ogrodach Prosiło się to o smutne porównanie z brakiem zadrzewieni miast i osiedli w Polsce. Po miastach i gminach wiejskich stał małe, nieraz brzydkie swą pospolitą prostotą pomniki z tablicam poległych za Francję mieszkańców danej gminy. Powszechnoś tego uczczenia ofiary życia za ojczyznę robiła wielkie wrażenie Było na co patrzyć i czemu się dziwić. W lecie 1924 roku, po wpływem powstania Abdel Krima w Maroku hiszpańskim roz gorzały walki bitnych plemion górskich Wysokiego Atlasu z od działami francuskiej legii cudzoziemskiej. Decydującą rol w transporcie rannych w okolicach górskich odgrywały samo loty, zrazu bojowe. Gdy dało to dobre wyniki, firma Hanrio zbudowała specjalne lekkie samoloty dla dwóch rannych leżą cych i sanitariusza. Korzystając z uprzejmości naczelnych wład wojskowych Francji odbyłem w Maroku kilkotygodniową prak tykę transportu rannych samolotami z placu boju w górach Atla su do szpitala wojskowego w Fezie. Chodziło mi o praktyczn zaznajomienie się z tym rodzajem transportu rannych i chorych tak pożytecznego nie tylko w czasie wojny, ale również w na głych wypadkach i w czasie pokoju. Narzucała się tu celowoś transportu samolotami sanitarnymi w Polsce. Szczególnie prz

naszych bezdrożach na przykład na bagnistych obszarach Polesia lub w czasie zasp śnieżnych na całej wschodniej połaci naszego kraju. Bo w dalekich skalistych górach Wysokiego Atlasu i w surowych wojennych warunkach bytowania tym silniej narzucała się myśl o dalekiej Polsce i jej symbolu — Komendancie. W czasie wolnym od służby kupiłem na hałaśliwym targu w Meknes ręcznie wykonany kindżał marokański ze starym napisem na klindze i w miedzianej rzeźbionej ręcznie pochwie. Brodaty kupiec wręczył mi broń ze słowami : ,,Niech nie wpadnie w ręce twoich wrogów''. Kindżał ten zamyśliłem ofiarować po powrocie do Polski Komendantowi. Poza tym, już przy powrocie do Francji, na słonecznym skalistym wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego, w chłodnym cieniu ruin zamku korsarzy Rabat, ośmieliłem się napisać widokową kartkę do Sulejówka na imię Komendanta, meldując że wysyłam ją z najdalszego miejsca od Polski i Jego osoby. Wkrótce po powrocie z Afryki do Paryża i rozpoczęciu na nowo pracy w Ecole Supérieure de Guerre wezwany zostałem do attaché wojskowego naszej ambasady, który wręczył mi dwie nominacje z ministerstwa spraw wojskowych, opóźnione w doręczeniu na skutek mej służby transportowej w górach Atlasu. Jedna, datowana 14 kwietnia głosiła, że zostałem pełniącym obowiązki szefa departamentu sanitarnego z pozostawieniem czasowym na studiach we Francji. Drugi papier, datowany dwanaście dni później — 26 kwietnia, skreślał wyrazy ,,pełniący obowiązki'', mianując mnie definitywnie szefem służby zdrowia wojska polskiego. Byłem zupełnie zaskoczony tym niespodziewanym wybitnym awansem. I było czemu się dziwić, rozmyślać, kto mógł mi to zrobić. Komendant w Sulejówku, w niewoli, a tu na mnie dosłownie sypią się awanse i to pod moją nieobecność w kraju. Niczego nie odgadłem prócz ryzykownego twierdzenia, że widocznie z dala od kraju przedstawiam się lepiej niż z pobliża warszawskiego. Do nominacyj dołączony był służbowy list pułkownika lekarza Gorczyckiego w którym donosił iż mój poprzednik generał Zwierzchowski awansował na stanowisko zastępcy szefa administracji armii. Pułkownik Gorczycki ma aż do mego powrotu do Polski pełnić w zastępstwie obowiązki szefa departamentu. Prosi mnie o ewentualne wskazówki lub życzenia. Odpisałem uprzejmie, prosząc pułkownika o dalsze kierownictwo departamentu w myśl jego doświadczenia, które jest większe od mojego. W Paryżu nie wiele mogłem się dowiedzieć co robi Komendant w Polsce. Za to uderzyła mię po powrocie do stolicy Francji rzecz dla mnie nowa, mianowicie, jak Francuzi postąpili ze swoim ,,Komendantem'' — organizatorem zwycięstwa w wojnie światowej ,,Tygrysem'' Clemenceau. Wielki ten człowiek, chcąc po zwycięstwie leczyć wojenne rany Francji z tą samą nieugiętą wolą, którą stworzył zwycięstwo, zgodził się postawić swą kandydaturę na prezydenta republiki jeszcze w chwilach powojennego triumfu i... nie został wybrany. Podobno minister Briand zręcznie utrącił głosy gotowego głosować na Clemenceau konserwatywnego duchowieństwa

a to przez przedstawienie przykrej możliwości pierwszego laickiego pogrzebu prezydenta republiki, gdyby stary radykał Clemenceau umarł w ciągu szej prezydenckiej kadencji. Tyle mówią w tej smutnej, wstydliwej sprawie opowiadania kolegów Francuzów. Jeżeli jest tak naprawdę, to Francuzi jeszcze ,,lepsi'' od Polaków i odwdzięczyć się również umieją !! I widać z tego, jak słusznie Komendant nie zgadzał się kandydować na pierwszego prezydenta rzeczypospolitej u nas w Warszawie. W początkach listopada 1924 roku, na dwa miesiące przed ukończeniem mego stażu w Szkole Wojennej otrzymałem za podpisem ministra generała Sikorskiego telegraficzne wezwanie do Warszawy, celem niezwłocznego objęcia obowiązków szefa służby zdrowia. Rozpoczęcie pełnienia służby meldowałem już 15 listopada. Przyjęcie mię przez generała Sikorskiego i jego szefa administracji armii było bardzo życzliwe i napełniło mię otuchą przy obejmowaniu ciężkiej odpowiedzialnej funkcji szefa departamentu. Po naradzie z mym poprzednikiem generałem Zwierzchowskim i mym zastępcą pułkownikiem lekarzem Gorczyckim postanowiłem kontynuować pracę rozpoczętą przede mną : przez wysoki poziom szkolenia wojennego i fachowego lekarzy wojskowych zapewnić poszanowanie w korpusie oficerskim dla ich stanowiska i pracy. Wtedy łatwiejsze będzie uzyskanie niezbędnych kredytów na szpitale i leczenie żołnierzy wszystkich stopni, oraz utrzymanie higienicznych warunków wojska w czasie pokoju i celowej szybkiej pomocy rannym na wojnie. Chodziło mi właśnie o odwrócenie złośliwego powiedzonka Francuzów, że ,,lekarz wojskowy to taki pan, który nie jest ani lekarzem ani wojskowym''. W Polsce musi być zarówno dzielnym wojskowym jak zdolnym lekarzem, by pełnić swą służbę ku zadowoleniu wielorakich wymagań i potrzeb wojska. Poza tym, postanowiłem wykorzystać swe doświadczenie z Maroka i jak najszybciej zaprowadzić w Polsce tak potrzebne przy jej bezdrożach, będących torturą dla wiezionych chorych i rannych — lotnictwo sanitarne. Ani przypuszczałem, że będę mógł te wszystkie dalekie swoje plany i niecierpiące zwłoki zamiary zameldować osobiście Komendantowi. Jakże widzenie go było mi potrzebne wobec odczuwanej przeze mnie pustki ideowej w wojsku. Zaraz po powrocie z Francji zorientowałem się, że wśród oficerów istnieją, poza pomniejszymi, trzy główne mafie. Najlepiej mi znana — piłsudczyków, o ile wiem nie miała żadnej organizacyjnej struktury. Zaufanie i koleżeństwo opierało się przeważnie na tym, czym kto był w Brygadzie. Zadziwiająco mocne i silne były na przykład więzy byłych sierżantów, którzy znali się i wspierali wszędzie. Dawni oficerowie brygady bynajmniej nie odznaczali się tymi cnotami organizacyjnymi. Modne było wśród nich uważać każdego kolegę, który wybił się wyżej za karierowicza, lub skończonego idiotę. Była jednak w tej niesfornej masie jedna miara, wspólna więź, najwyższa świętość : wola Komendanta, jak smuga błyskawicy przeszywała tę gromadę ludzi i decydowała bezapelacyjnie. Ta wola zdwajała siły mocnych, podnosiła i krzepiła

wyczerpanych i słabych i wydobywała ze wszystkich najwyższe, najlepsze wartości. Samo powołanie się na słowa Komendanta, jak starogreckie : ,,autos efa !'' rozstrzygało każde zagadnienie. Bo te słowa były natchnieniem, mądrością i rozkazem.

Mafia ,,Honor i Ojczyzna'', zwana popularnie H_2O, o ile się orientowałem, patronowana przez generała Sikorskiego była lepiej zoragnizowana, posiadała bardziej wzniosły historyczno-ideowy aspekt zaszczepiany w szarzyźnie życia oficera i była bardziej płynna w doborze swych adeptów.

Wreszcie, tu i ówdzie przenikały do wojska luźne grupki masońskie. Należałem oczywiście siłą faktu do piłsudczyków, bez odgrywania jednak wśród nich jakiejś wybitnej roli. O dwóch innych mafiach wiedziałem tylko ze słyszenia. Nikt do mnie się nie zwracał, ani, uchowaj Boże, proponował wejścia do nich. Widocznie uważany byłem za człowieka krewkiego, lecz mało poważnego i o niewielkim bagażu inteligencji. Tymczasem niektórzy koledzy dublowali należenie do mafij, traktując to jako nieszkodliwe, a przezorne i pożyteczne zabezpieczenie na wszelki wypadek. Nieraz wynikało to zresztą z ich różnorodnej przeszłości organizacyjnej i ideowej.

— Czy chcesz zawieść lekarstwa Komendantowi do Sulejówka ? — spytał mię słotnego, listopadowego poranka pułkownik lekarz Hubicki, który jako były peowiak i hallerczyk miał duże, rozległe koneksje w wojsku. Ucieszyłem się bardzo. Komendanta nie widziałem cały rok i brakło mi jego krzepiącego widoku. Niezwykły, niespotykany wpływ Józefa Piłsudskiego na tysiące idących za nim ludzi nie wynikał jedynie z młodości legionistów. Gdym rzucał jako dojrzały, zamożny człowiek swą lecznicę w Sosnowcu, by iść do Legionów, myślałem, że idę służyć Polsce, a obecnie po dziesięciu latach nie przedstawiałem sobie służby ojczyźnie bez służenia Komendantowi. Troskliwie ująłem paczkę z lekarstwami podaną przez pułkownika, który dorzucił wesoło : — Myślę, że działanie tych lekarstw będzie wzmożone gdy odwiezie je szef służby zdrowia. Pilno mi było jechać. Toteż wybrałem się do Sulejówka tegoż popołudnia. Chciałem zabrać kupiony w Maroku kindżał, ale zauważyłem na klindze plamki rdzy, które trzeba było koniecznie wywabić. Odłożyłem więc ofiarowanie go na później. W Sulejówku, przy zacinającym deszczu ze śniegiem, poszedłem za radą życzliwych kolejarzy od szlabanu kolejowego piaszczystą drogą wśród opłotków aż do małego dworku, świecącego nikłymi światłami pod nachylonymi przez wicher niedużymi sosnami. Dyżurny żandarm zameldował mnie i z sieni wszedłem do jasnego pokoju, gdzie przy biurku stał Komendant w szarej kurtce i uśmiechnięty patrzył na mnie wesołymi jasnymi oczami. Nagle wyrosły mi skrzydła, zapomniałem o pustce w wojsku i wróciła dawno nieodczuwana wiara w szczęśliwą przyszłość Polski.

Zameldowałem przywiezienie lekarstw bardzo służbowo, co wprawiło Komendanta w doskonały humor. Powiedział śmiejąc się : — Składkowski, zawsze jesteście ten sam ! — Nie śmiałem

wyrazić jak się cieszę, więc na pytanie Komendanta : — Co powiecie ? — poprosiłem o pozwolenie zameldowania, co robiłem w wojsku od chwili odejścia Komendanta. Po zezwalającym skinieniu głową opowiedziałem krótko o swoich sukcesach w wojsku, podróży do Francji, objęciu departamentu sanitarnego, wreszcie o zamiarze stworzenia lotnictwa sanitarnego w Polsce. Komendant na ogół słuchał uważnie, nie przerywając mego meldunku. Gdy jednak zacząłem porównanie z traktowaniem przez Francuzów ich ,,Ojca Zwycięstwa'' — Clemenceau, Komendant dotąd łaskawie pochylony ku mnie nad biurkiem, rzucił się w fotelu do tyłu wołając : — Te sejmowe porównania z Francją ,,Siostrzyca'' Francja ! Dawaj im wszystko jak we Francji : konstytucję i parlament i wojsko... Niepodległość Francji zagwarantowana jest jej tradycją, położeniem i bogactwem. Dlatego miliony ludzi na całym świecie chcą i pomagają niepodległości Francji. A kto chciał niepodległości Polski dziesięć lat temu ?! Nawet Polaków — niewielu. A komu dzisiaj na świecie ta niepodległość Polski jest tak bardzo potrzebna ? Francuzi to zupełnie co innego...

Jakby na potwierdzenie tego wybuchu i powierzchowności mych porównań, Komendant następnie zadał mi parę pytań z życia politycznego Francji, na które niestety odpowiedziałem bardzo niepewnie. Weszła na szczęście pani Marszałkowa prosząc na kolację. Komendant powiedział do mnie : — No, dobrze! — i po sprawdzeniu lekarstw przez panią Marszałkową, które okazały się ściśle takie, jak potrzeba, siedliśmy do stołu. Poważna, ciemnowłosa wysmukła Wandzia i roześmiana krągła blondyneczka Jagódka, córeczki państwa Piłsudskich, zarzucały Komentanta szeregiem ważnych w ich oczach pytań, jednocześnie przyglądając mi się bacznie. Kolacja była bardzo skromna, gdyż Komendant oddawał swą emeryturę na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, a żył z rodziną ze swej nieregularnie opłacanej pracy publicystycznej. Toteż trzeba było wielkiej zaradności pani Marszałkowej, by związać koniec z końcem. Wkrótce po kolacji pożegnałem się i wśród zawieruchy jesiennej, radosny z wypiekami na twarzy szedłem w ciemnościach podwarszawskiego osiedla do pociągu. Nazajutrz musiałem opowiadać kolegom szczegółowo jak wygląda Komendant i co mówił. Wdzięczny byłem bardzo Stefanowi Hubickiemu za to umożliwienie mi odwiezienia lekarstw. Był to też niezwykły mój sukces życiowy — widzieć Komendanta !

W parę tygodni później nadszedł nowy uśmiech losu : w połowie grudnia mianowany zostałem generałem brygady ze starszeństwem z dnia 1 lipca 1923 roku. Materialnie to dawało na razie niewiele ze względu na koszta nowych dystynkcyj, ale ułatwiało bardzo pełnienie służby. Wszyscy obecnie liczyli się więcej z moim zdaniem i urzeczywistnianiem mych zamiarów w zakresie sanitariatu wojskowego. Oprócz codziennych potrzeb służby zdrowia położyłem nacisk na podniesienie znaczenia jej tradycji. Jeszcze trzy lata przedtem, jako inspektor batalionów

sanitarnych, zwróciłem się do poważnego zawsze, życzliwego profesora Tokarza z prośbą o wskazówki przy studiowaniu dawnej służby zdrowia w wojsku polskim. Polecił mi zapoznać się z historią sanitariatu powstania listopadowego dodając: — Oczywista, szczególnie polecam uwadze pańskiej wybitną postać Karola Kaczkowskiego. — Wdzięczny za łaskawe wskazówki rzuciłem się na poszukiwania tego Kaczkowskiego, które uwieńczone zostały niezwykle pomyślnymi wynikami. Wystarczy powiedzieć, że sztabslekarz wojska polskiego chirurg Karol Kaczkowski przeprowadził pomyślnie całkowitą ewakuację rannych w krwawej bitwie pod Grochowem. Stworzył uprzednio specjalne oddziały sanitarne do wynoszenia rannych z ognia walki, które na wzór dawnych napoleońskich nazwał oddziałami brankardierów. Podczas gdy ranni rosyjscy leżeli przez parę dni w mróz na Grochowskim pobojowisku, wszyscy ranni polscy najpóźniej wieczorem po bitwie przewiezieni zostali do Warszawy i umieszczeni w szpitalach oddanych lub zarekwirowanych przez miasto. Lekarz naczelny, Kaczkowski, zajeździł tego dnia trzy konie, galopując na polu bitwy i wydając rozkazy swym oddziałom sanitarnym. Za bitwę tę otrzymał złoty krzyż Virtuti Militari. Pracę jego opisałem w ,,Lekarzu wojskowym'' w artykule: ,,Służba zdrowia w bitwie pod Grochowem''. Teraz już jako szef departamentu i mając szersze możliwości zwróciłem się do znajomego malarza Kotowskiego, specjalisty od chmyzowatych koników wiejskich, z propozycją namalowania obrazu, przedstawiającego działalność służby zdrowia w bitwie pod Grochowem. Mimo iż nie było to dzieło wspaniałego, ale piekielnie drogiego Wojciecha Kossaka, wyszło całkiem przyjemnie. Sztabs lekarz Kaczkowski, na stającym dęba przed pękającym granatem gniadym koniu wydaje rozkazy brankardierom, niosącym rannych polskich żołnierzy. W oddali widać szeregi walczących i wieże Warszawy. Było w tym trochę wpływu ,,Olszynki'' Kossaka, ale zarówno technicznie jak ideowo starczyło to na zapoczątkowanie tradycji sanitariatu. Obraz zawieszony został w muzeum Centrum Wyszkolenia Sanitarnego, kształcącego młodych lekarzy wojskowych. Odbitki obrazu wisiały w izbach żołnierskich dowództw batalionów sanitarnych oraz w salach departamentu sanitarnego. Celem podtrzymania dawnej tradycji wojennej zarządziłem dalsze szkolenie w zaspakajaniu potrzeb wojska. Objęło ono szefów sanitarnych okręgów korpuśnych, komendantów szpitali okręgowych i dowódców batalionów. Studiowali oni wspólnie w szpitalu Ujazdowskim na tak zwanych frywolnie kursach dla marszałków sanitarnych.

Moje starania o stworzenie w Polsce lotnictwa sanitarnego na razie nie osiągnęły oczekiwanych wyników. Mimo generalskiej szarży nie udało mi się wyjednać na to w administracji armii odpowiednich kredytów. Nie potrafiłem też przekonać kolegi, szefa departamentu lotnictwa, o pożytku zbudowania przez niego paru samolotów sanitarnych. Musiałem więc działać o własnych siłach. Na konferencji w składzie: zastępca mój, puł-

kownik Gorczycki, szef wydziału organizacyjnego pułkownik lekarz Sokołowski i szef zaopatrzenia sanitarnego naczelny aptekarz major Krupiński — poleciłem użyć wszelkich środków propagandowych, by umożliwić nabycie we Francji samolotu sanitarnego ze składek publicznych lekarzy i aptekarzy zarówno wojskowych jak i cywilnych. Umieściliśmy odpowiednią odezwę w ,,Lekarzu Wojskowym'' celem uzyskania w ciągu paru miesięcy potrzebnej sumy. Major aptekarz Krupiński obiecał przydusić swych kolegów farmaceutów w związku aptekarzy. Wobec zamożności cywilnych kolegów dawał nadzieję na zebranie potrzebnej sumy. Pułkownik Sokołowski jako przedstawiciel lekarzy był mniej optymistycznie nastrojony, ale również przyrzekł zrobić wszystko możliwe. Te prace wstępne ukończyłem już w styczniu 1925 roku. W początkach tego roku miałem szczęście widzieć znowu Komendanta i to dwa razy. Byłem obecny w szczelnie zapełnionej sali kasyna oficerskiego przy alei Szucha w czasie dwóch wykładów Komendanta o Dowodzeniu. Porównując zwycięstwo Hindenburga w Kampanii Pruskiej z porażką von Klucka nad Marną, Komendant stwierdzał, że decydującym czynnikiem na wojnie jest czynnik ludzki, a nie materialny. Najważniejszym zaś moralnym czynnikiem jest indywidualność wodza. Tak, Hindenburg zwycięża w Prusach Wschodnich dowodząc rezerwowymi formacjami wojska niemieckiego, a von Kluck na czele 400 tysięcy wyborowych wojsk przegrywa bitwę nad Marną, zwlekając jeden dzień z przekroczeniem rzeki. Ten czas, ta zwłoka mści się na nim. Upajaliśmy się bogatą oryginalną treścią odczytu, ale bodaj głównie słowami i obecnością, możnością widzenia Komendanta. Po zakończeniu pierwszego odczytu Komendant, śmiejąc się beztrosko, długo rozmawiał w sali z rozłożystym pułkownikiem artylerii o potężnej blond brodzie w stylu Aleksandra III. Był to, pochodzący ze służby rosyjskiej pułkownik Pożerski, wybitna indywidualność żołnierska. Pomagał on Komendantowi w studiowaniu kampanii w Prusach Wschodnich, gdzie brał udział jako dowódca pułku artylerii w armii Samsonowa. Szczególnie podobała się Komendantowi lapidarna zwięzłość i prostota wyrażania się Pożerskiego w jego dzienniku dowódcy pułku. Kilka razy po szczegółowym opisie miasteczek i wsi Prus Wschodnich z wyliczeniem ilości mieszkańców, zwierząt domowych i omówieniu możliwości kwaterunkowych — wszystko według przepisu, u dołu była maleńka notatka : ,,Uchodia sożgli'' — wychodząc z miejscowości spaliliśmy ją. Stąd łaskawe rozmowy Komendanta z pułkownikiem Pożerskim i sondowanie jego opinii po każdym odczycie o kampanii w Prusach Wschodnich. W parę miesięcy później widziałem znów Komendanta na ,,tajnej'' odprawie dla piłsudczyków w mieszkaniu majora Świtalskiego, dawnego szefa kancelarii w Dowództwie Brygady, a który obecnie był wydalony z wojska. Koło siódmej godziny wieczorem zebrało się przeszło trzydziestu najstarszych piłsudczyków w dużym salonie służącym zwykle jako poczekalnia chorych doktora Świtalskiej. Nastrój jak zwykle

podniecony, kiedy mamy zobaczyć Komendanta. Major Świtalski wychodzi co chwila na balkon sprawdzić, czy nie nadjeżdża samochód. Dopiero koło wpół do dziewiątej gospodarz wybiegł na schody i wkrótce do salonu wszedł Komendant. Wyglądał nieco zmęczony, ale nie mąciło to naszej radości, gdyż byliśmy pochłonięci egoistyczną myślą, że jest znów wśród nas. Komendant skłonił się z lekka, wszystkim ogólnie, i zasiadł w fotelu, a my również siedliśmy, gdzie kto mógł. Po wypaleniu papierosa Komendant wygłosił dłuższe przemówienie, którego treść ogólna była następująca: Niepodległość Polski jest bardzo świeżej daty. Powstała ona drogą ciężkich ofiar i wyjątkowo sprzyjających okoliczności międzynarodowych. Nie jest ona jeszcze tak ustalona jak wydaje się ogółowi Polaków. Dlatego Komendant wita radośnie każdy nowy rok niepodległości. Ażeby ją ugruntować trzeba przede wszystkim stworzyć silną armię, niezależną od fluktuacyj i rozgrywek partyjno-politycznych. O to właśnie Komendant walczy od początku wbrew opinii i zamiarom przywódców partyjnych, którzy koniecznie chcieliby mieć wpływ na wojsko. Szczególnie wolny musi być od przejściowych wpływów partyjnych — wódz naczelny. Polska, dzięki swemu niewygodnemu położeniu między dwoma silnymi wrogimi sąsiadami, skazana jest na prowadzenie jedynie wojen defensywnych. Przy takiej wojnie, inicjatywa gdzie uderzyć, będzie zawsze po stronie jednego lub dwóch napastników. Stąd, wódz naczelny nie będzie mógł działać wedle z góry ułożonego planu, ale będzie musiał pobierać nagłe niecierpiące zwłoki decyzje, w sytuacji wytworzonej przez napastnika. Do tego musi on posiadać wielkie zdolności osobiste i całkowitą swobodę działania, oczywista przy zaufania prezydenta Rzeczypospolitej, jako zwierzchnika sił zbrojnych. Wodzowi naczelnemu w ciężkiej wojnie nic nie pomoże zaufanie choćby najsilniejszych partyj politycznych. Dlatego Komendant uporczywie walczy o konieczne prawa dla naczelnego wodza, bo pierwsza rzecz to utrzymanie niepodległości, która może być zagrożona w każdej chwili. Ta walka będzie ciężka, ale poprowadzi ją Komendant sam. My mamy, o ile nie zostaniemy wyrzuceni, pozostać w wojsku i pracować jak najlepiej, bo chodzi tu o służbę Polsce. Żadnych agitacyj w wojsku nie prowadzić! Komendant sam nada tempo walce w miarę rozwijającej się potrzeby. Mamy mu w tym nie przeszkadzać!

Przemówienie słuchane w milczącym napięciu trwało około godziny, po czym Komendant opuścił salon. Pobiegłem za Świtalskim, prosząc go, by umożliwił mi wręczenie Komendantowi kindżała marokańskiego, który przyniosłem pod mundurem. Zgodził się niechętnie, gdyż Komendant śpieszył na jakieś inne nocne posiedzenie i wkładał już płaszcz w pokoju stołowym. Prosiłem go o przyjęciu kindżała, który został sprzedany z życzeniem, by nigdy nie wpadł w ręce wrogów jego właściciela. Komendant już ubrany spojrzał na stary napis wyryty na klindze, roześmiał się i oddał kindżał na przechowanie Świtalskiemu, gdyż jak stwierdził nie może jechać z kindżałem na zebra-

nie polityczne. Ośmielony uśmiechem Komendanta spytałem, czy otrzymał mą kartkę z Rabat z wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. — Tego nie pamiętam — szybko odparł Komendant, wychodząc już na schody. My rozeszliśmy się powoli i stopniowo, gdyż odprawa była rzekomo ,,tajna'', choć naturalnie władze o niej doskonale wiedziały. Podobne odprawy odbywały się również w mieszkaniu generała Kuby Krzemieńskiego. Opowiadał on, że raz, gdy Komendant nocował u niego, zabrał rano obuwie Komendanta by je razem ze starą, pochodzącą z Poznańskiego służącą, wyczyścić. Ta, ujrzawszy znoszone trzewiki, które ostrożnie i starannie czyścił generał, powiedziała : — Ten starszy pan musi być bardzo znaczny, ale musi mieć dużo dzieci, bo takie obcasy zniszczone. Widać wszystko wydaje na dzieci.

To ubóstwo Komendanta, jego skromne życie w Sulejówku i wyjazdy drugą klasą zamiast dawnej salonki, jednały mu serca prostych ludzi, jako cierpiącego razem z nimi z powodu spadku wartości pieniędzy i szalejącej w ślad za tym drożyzny. W kilka dni po odprawie u Świtalskiego, w jasne południe majowe, dekorowany byłem przez ministra spraw wojskowych, generała Sikorskiego — złotym krzyżem zasługi. Dyplom podpisany przez prezesa rady ministrów, Władysława Grabskiego, głosił, iż krzyż został nadany ,,za zasługi położone dla armii na polu służby zdrowia''. Generał Sikorski, przypinając krzyż powiedział : — Jestem bardzo zadowolony, że mogę podkreślić pańską pracę przez nadanie tego rzeczywiście wysokiego odznaczenia państwowego. Rozumiałem, oczywista, że to tak mówił z pobudek państwowo-służbowych, ale zawsze przyjemnie jest to usłyszeć. W końcu maja 1925 roku wyjechałem do Paryża na Międzynarodowy Zjazd Medycyny i Farmacji Wojskowej. Jechałem nie z pustymi rękami. Major aptekarz Krupiński dotrzymał słowa. Stosunkami swymi wśród aptekarzy i firm dostarczających dla wojska materiały sanitarne, ten dzielny dowborczyk, zdołał w krótkim czasie zebrać 3/4 sumy potrzebnej na zakup samolotu sanitarnego. Resztę zebrali wśród siebie cywilni i wojskowi lekarze. Jadąc ze mną do Paryża doświadczony major Krupiński postanowił kupić samolot według wszelkich przepisów dostaw wojskowych. Skarżył się bowiem na zapas : — Samolot mogą wziąć diabli przy pierwszym locie, a ,,pigularze'' wystąpią wtedy z pretensją że to był zwyczajny tekturowy latawiec dla dzieci.

W Paryżu na wystawie sprzętu sanitarnego, urządzonej dla międzynarodowego zjazdu, stał samolot sanitarny z rewelacyjnym napisem : ,,Zakupiony przez wojskowy sanitariat polski''. Uczestnicy zjazdu, należący do kilkunastu narodowości, żywo interesowali się szczegółami wyposażenia samolotu, który był nowością, używaną poza Francją jedynie przez Anglików w Azji. W czasie pokazu lotniczego samolot nasz doskonale zdał egzamin. Po trzech dniach zjazdu wróciłem do Warszawy, składając uprzednio z upoważnienia ministra generała Sikorskiego, w ostatnim dniu obrad serdeczne zaproszenie na odbycie następ-

nego zjazdu 1927 roku, u nas w Warszawie. Zaproszenie to było przyjęte grzmiącymi oklaskami, gdyż wszyscy chcieli poznać Polskę, ich zdaniem, egzotyczny kraj, leżący na wschodzie Europy. Major Krupiński został w Paryżu by ukończyć formalności kupna i w tydzień potem samolot został wyładowany, zmontowany i przygotowany do lotu przy życzliwym poparciu władz na Okęciu. Odtąd samolot przeszedł pod opiekę techniczną warszawskiego pułku lotniczego, za zwrotem kosztów benzyny i smarów, pozostając do dyspozycji szefa departamentu sanitarnego. Ponure obawy majora Krupińskiego nie sprawdziły się. Pilotowany przez doświadczonego oficera, samolot sanitarny latał szczęśliwie, przewożąc chorych w nagłych wypadkach w ciągo paru godzin z oddalonych krańców Polski wprost do szpitali warszawskich. Pewne trudności formalne z Ligą Obrony Powietrznej Państwa zostały szczęśliwie załatwione w sposób polubowny.

W jesieni brałem udział w wielkich manewrach, zarządzonych przez generała ministra Sikorskiego w Małopolsce Wschodniej. Jesień ta była ciężka dla Polski ze względu na krzywdzący Pakt Lokarneński i szybki spadek złotego powodujący ustąpienie gabinetu Władysława Grabskiego. W tej ciężkiej chwili, zaraz następnego dnia 14 listopada, Komendant zjawił się w Belwederze u Prezydenta Rzeczypospolitej Wojciechowskiego. Gdy nazajutrz zjechaliśmy się wielką masą oficerów w Sulejówku, a to w związku z rocznicą listopadową — powrotem z więzienia Magdeburskiego, Komendant z ganku swego dworku powiedział nam iż meldował się u Prezydenta Rzeczypospolitej, by bronić honoru wojska i jego niezależności od fluktuacyj politycznych. Po wielkiej owacji dla Komendanta wróciliśmy do Warszawy. Wkrótce w nowym koalicyjnym gabinecie ministrem spraw wojskowych został generał Żeligowski i zdawało się, że powrót Komendanta do wojska jest na dobrej drodze. Generała Żeligowskiego znałem dobrze jeszcze z Mińska Mazowieckiego, gdy w 1919 roku byłem szefem sanitarnym jego grupy operacyjnej w wojnie bolszewickiej. Lubiany był przez żołnierzy mimo iż był wymagający i wchodził w szczegóły służby. Stale był lekko zatroskany, jak dobry gospodarz, który nigdy się nie chwali. Mimo suworowskich praktyk — mycia się do pasa nago na śniegu w największe nawet mrozy, w Mińsku zachorował na ciężką grypę. Gdy udało mi się już obniżyć gorączkę, generał żartował z mych lekarskich zdolności, wołając: — *Nie smotria na okazannuju wraczebnuju pomoszcz' bolnomu sdiełałoś łutsze.* — Mimo okazanej pomocy lekarskiej choremu zrobiło się lepiej. W Warszawie zamieszkał w białej zgrabnej willi na rogu Alej Ujazdowskich i Alei Róż. Tam w jasny, zimowy poranek zobaczyłem go półnagiego, nacierającego się w ogródku śniegiem. W biurze ministra czuł się jednak niepewnie, skarżył się na trudności polityczne, mówiąc swoje: — Cóż ty zrobisz?! — Poza tym wypowiadał swe słynne groźby: „Wyprowadzenia armii w pole", z podwórek koszarowych, celem przyzwyczajenia żoł-

nierzy do warunków służby wojennej. Nie doceniano praktycznych wartości tych zamiarów starego doświadczonego żołnierza i pokwipano z cicha z tego niewybrednego dwuznacznika wypowiadanego z zapałem przez dzielnego byłego kapitana armii rosyjskiej, skromnego dobrego człowieka i Polaka. Wobec znanej prostolijności i nieustępliwości generała Żeligowskiego zelżały od razu naciski sejmu na urzędy ministerstwa spraw wojskowych. Jeszcze za ministrowania generała Sikorskiego miałem nieprzyjemność związaną z częstymi poselskimi interwencjami w urzędach państwowych. Zaraz na początku kadencji sejmowej zjawił się w mym biurze młody człowiek, podający się za sekretarza pewnego posła, interweniując w dość błahej sprawie. Obiecał, iż w razie załatwienia tej sprawy po myśli jego mocodawcy, zjawi się pan poseł, by osobiście mi podziękować. Byłem oburzony tą interwencją poselską przez człowieka o nieokreślonym stanowisku, ,,sekretarza'', czyli totumfackiego pana posła. Sprawę zbadałem i stwierdziłem, że żądania interwencyjne zgadzają się ze sprawiedliwym jej załatwieniem. Kiedy w parę tygodni później zjawił się ,,sekretarz'' z pytaniem o sposób załatwienia sprawy, odpowiedziałem: — Proszę powiedzieć panu posłowi, że sprawę załatwiłem w myśl jego życzenia, ale nie dlatego, że interweniuje on w tak dziwny sposób, ale dlatego, że to załatwienie zgodza się z dobrem służby. — Widocznie dotknięty tym poseł poskarżył się, gdyż byłem wezwany do szefa gabinetu ministra celem wytłumaczenia się. Uczyniłem to jak najszczerzej, stwierdzając, że tego rodzaju ,,interwencja poselska'' nawet nie u ministra jest niedopuszczalna, gdyż daje pole do nadużyć, przekręcania i naciągania faktów.

Dużo zmartwienia miałem również z powodu afery poborowej, w którą było wmieszanych dwóch chirurgów wojskowych. Obydwaj oskarżeni byli o branie łapówek za zwalnianie poborowych od służby wojskowej. Sprawa sądowa ciągnęła się dosyć długo i rzucała bardzo nieprzyjemny cień na cały sanitariat wojskowy. Wreszcie obydwaj oskarżeni zostali uwolnieni od odpowiedzialności . Ucieszyłem się tak, że nazajutrz po zwalniającym wyroku złożyłem obydwu wizyty gratulacyjne.

Większość czasu mego urzędowania spędzałem w mym biurze w gmachu ministerstwa spraw wojskowych przy ulicy Nowowiejskiej, ale jednak co miesiąc wyjeżdżałem na kilka dni na inspekcje do poszczególnych okręgów korpusu, przy czym badałem pracę szpitali, wyszkolenie batalionów sanitarnych, i warunki higieniczne oddziałów liniowych. Szczególny nacisk kładłem na higienę osobistą żołnierzy i czystość koszar. Często zwiedzałem strychy, które nieraz były składem starych sienników, słomy i brudnych gałganów, a to stwarzało złe powietrze w koszarach i groziło niebezpieczeństwem pożaru. Otóż, przy takiej inspekcji strychu koszar w Radomiu, kapral dzienny najbliższej kompanii, zauważywszy drzwi na strych otwarte, a nie przypuszczając by tam właśnie była komisja inspekcyjna, gorliwie zamknął drzwi na klucz i odszedł do izb kompanijnych. Wskutek tego, wraca-

ąc z obejrzenia obszernego strychu zastaliśmy ciężkie żelazne drzwi zamknięte na amen. Na ochocze nasze okrzyki : — Otworzyć tam, otworzyć ! — odezwał się z drugiej strony uspokajający głos przemyślnego kaprala : — Cichojcie, po coście tam wleźli ? Tera was nie wypuszczę, bo chodzi inspekcja ! — Dopiero po paru chwilach pertraktacyj kapral wypuścił na schody naszą miłą gromadkę, przy gromkich okrzykach ulgi ze strony dowódcy pułku i naszej niekłamanej radości z powodu oglądania znowu światła dziennego. Błagałem dowódcę pułku o wyrozumiałość i łaskę dla służbistego kaprala, co mi solennie przyrzekł.

W drugiej połowie roku 1925 otrzymałem w ministerstwie nowego przełożonego : zastępcą szefa administracji armii został generał Żymierski. Znaliśmy się dobrze jeszcze z Legionów, gdyż był moim dowódcą pułku. Gdy Kozacy zastrzelili na Wołyniu mego Siwutka, kupiłem za dwieście papierosów od węgierskich honwedów rasową, choć zabiedzoną klacz Sonkę. Po odkarmieniu i wypielęgnowaniu konia, miałem nieostrożność w obecności ówczesnego majora Żymierskiego wypuszczać Sonkę w jej wspaniałego, długiego równiutkiego kłusa. Po paru takich przedstawieniach zachwycony major orzekł autorytetem dowódcy pułku, że jestem dla Sonki zbyt ciężki. Wobec czego on weźmie tę klacz jako swego drugiego konia służbowego, a mnie przydzieli innego. Ponieważ oficerowie w Legionach nie posiadali własnych koni, musiałem ustąpić i odtąd patrzyłem bezsilnie, jak major paradował na mojej Sonce, a ja jeździłem za nim na taborowej łamadze, zwanej Histeryczką ! Ale... Opatrzność czuwa. Przed zbliżającą się ofensywą Brusiłowa major Żymierski wyjechał zaleczać swe rzeczywiście ciężkie dawne zranienia do Krynicy, a zastępca jego major Fleszar, nie chcąc mieć dwóch koni służbowych, przydzielił mi znowu Sonkę. Żymierski z Krynicy słał mi uprzejme kartki, bym mu ,,kobyły nie zajeździł'', ale ponieważ do pułku już nie wrócił, ja odzyskałem swego konia na stałe. Wszystko to na pewno myśleliśmy sobie, gdy teraz w ministerstwie meldowałem się u niego. Żymierski miał zmysł gospodarczy (może za duży !) i widocznie przebaczył mi Sonkę, bo traktował mię jak swego zaufanego człowieka. Często, gdy meldowałem mu o jakimś udanym pociągnięciu służbowym, robił tajemniczą minę i mówił : — Pracujmy, pracujmy, generale, bo... złe moce nie śpią !

Nie dochodziłem co rozumiał pod tymi złymi mocami, aż objawiło się to w maju, który był końcem swoistych metod administracyjnych Żymierskiego. W początku 1926 roku poszedłem z generałem Żymierskim na komisję budżetową sejmu. Chciałem tam koniecznie zdobyć pieniądze na drugi samolot sanitarny, którego nie mogło mi dać wojsko, a który był konieczny ze względu na ciągłość pracy transportowej przy wypadkach nagłych. Na komisji budżetowej sejmu siedziałem razem z innymi szefami departamentów, by w razie potrzeby służyć wyjaśnieniami i pomocą broniącemu budżetu wojska szefowi administracji armii. Zabierał on jednak mało głosu, gdyż wszystkim dyrygował

obrotny, sprytny, uprzejmy, mający wszędzie koneksje generał Żymierski. Gdy przy końcu obrad przewodniczący komisji spytał, czy kto jeszcze prosi o głos, wstałem nagle i ku ogólnemu zdziwieniu oświadczyłem, że chciałbym udzielić pewnych wyjaśnień. Poseł przewodniczący zastrzegł się, że nie jest w zwyczaju by zabierali głos szefowie departamentu, ale spytał o co mi chodzi. Pod piorunującym wzrokiem niezadowolonego Żymierskiego, podniosłem w krótkich słowach potrzebę lotnictwa sanitarnego, a poza tym niezbędność środków na przygotowania obronne przeciw zagrażającej w przyszłości wojnie bakteriologicznej. Poseł doktór Załuska przerywał parę razy moje przemówienie, stwierdzając ironicznie, że chcę zaprowadzić „nowe mody" na wojnie, a gdy skończyłem nikt z posłów nie zabrał głosu w poruszonych przeze mnie istotnych zagadnieniach. Okazało się więc, że wyskoczyłem na komisji jak przysłowiowy Filip z konopi. Żymierski po posiedzeniu i rozmowach z posłami powiedział mi z udanym współczuciem, że wystąpienie moje jako zbyt pewne siebie i przeciwne zwyczajom zrobiło w komisji fatalne wrażenie. Dodał, że w rozmowach z posłami usiłował mię bronić, ale nic z tego nie wyszło. Byłem więc tym wszystkim zdziwiony i przygnębiony, nie rozumiejąc, że posłom nie w głowie było lotnictwo sanitarne i bakterie, gdy uważali i oczekiwali już tylko na to, co zrobi Samotnik z Sulejówka. Ten jeden, ale bynajmniej nie samotny człowiek walczył dalej z wzrastającą energią i uporem o celowość organizacji i funkcjonowania młodego Państwa Polskiego. Nie zwracał przy tym uwagi na gromadzące się trudności polityczne, a tym bardziej na śmieszne dąsy obrażonych w swej sławnej wojennej przeszłości jedenastu dawnych oficerów austriackich skonfederowanych wokół krakowskiego dowódcy korpusu. Walka ta jednak związana z ciągłymi odczytami, konferencjami politycznymi i wyjazdami odbywanymi w niewygodnych warunkach, powoli wyczerpywała mocny, ale wrażliwy organizm Komendanta. W jesieni 1925 roku w mieszkaniu państwa Sujkowskich, położonym niedaleko gmachu warszawskiej politechniki, Komendant wyczerpany kilkudniową podróżą, zapadł na swą zwykłą uporczywą jesienną grypę. Nagle podskoczyła gorączka i wystąpiło niepokojące osłabienie serca. Na próżno staraliśmy się z Wieniawą, który zatelefonował po mnie, nakłonić Komendanta, by zgodził się na leczenie w pobliskim szpitalu okręgowym. Gdy Wieniawa wyszedł, by sprowadzić jakiś samochód, ja po bezskutecznych perswazjach, chcąc wybłagać pójście Komendanta do szpitala, pocałowałem go w rękę. Zerwał się z łóżka krzycząc : — Właśnie nie pójdę, co to zmuszać już mnie chcecie? Co, za świństwo!

Wszedł Wieniawa mówiąc: — Komendancie, mam już auto, szpital uprzedzony, jedziemy! — Spotkała go jednak również gwałtowna odmowa. Mimo deszczu i wiatru jesiennego Komendant chciał koniecznie dojechać sprowadzonym samochodem do Sulejówka, do rodziny i z trudem uprosiliśmy, by przespał

przynajmniej tę słotną zimną noc w Warszawie, a odjechał do domu nazajutrz rano. Rozebraliśmy go i ułożyliśmy osłabionego gorączką do ogrzanego butelkami łóżka. Nazajutrz przed południem odjechał do Sulejówka. Było to ostatnie moje dłuższe widzenie Komendanta przed Majem. Jeszcze raz w czasie wyjazdu Komendanta do Wilna przyprowadziłem na dworzec swego dwunastoletniego synka i Komendant przechodząc do wagonu położył rękę na głowie mego dziecka. Widywałem Komendanta również w czasie jego odczytów, na których podnosił naruszenie zasady równowagi państwa przez przecenianie w Polsce roli parlamentu. Wynika stąd stałe szukanie przez rząd poparcia u posłów, bez możności spokojnego, mocnego istotnego rządzenia. Obawa przed dyktaturą. zdaniem Komendanta, była płonna, gdyż silny rząd może w Polsce pracować owocnie i pomyślnie w ramach konstytucyjnych. Tak samo zasługi zwycięskiego wodza nie doprowadzą w Polsce do cezaryzmu. Natomiast wódz naczelny musi mieć nieskrępowaną możność swobodnego dowodzenia, jeżeli chce osiągnąć zwycięstwo, tak konieczne dla zachowania naszej świeżej niepodległości. Po paru odczytach rozentuzjazmowana publiczność wyległa za wychodzącym na ulicę Komendantem i zgotowała mu burzliwą długotrwałą owację. Nastroje Warszawy i poparcie społeczeństwa dla Komendanta w całej Polsce rosły z dnia na dzień. Wreszcie, 4 maja 1926 roku, minister spraw wojskowych generał Żeligowski wycofuje z sejmu krytykowany przez Marszałka Piłsudskiego projekt organizacji najwyższych władz wojskowych i zastępuje go nowym, zbliżonym do wymogów Komendanta. Jednak, już następnego dnia rząd zmuszony jest podać się do dymisji, co na nowo zaostrza sytuację polityczną i stwarza przewlekłe przesilenie rządowe.

Po szeregu nagłych wizyt w Belwederze i bezowocnych konferencji Komendanta z Prezydentem Wojciechowskim i z próbującym sklecić nowy gabinet Władysławem Grabskim, do władzy przychodzi gabinet Witosa. Dowiedzieliśmy się o tym rano 10 maja w czasie urzędowania w ministerstwie i byliśmy bardzo zaskoczeni, gdyż jeszcze poprzedniego dnia w niedzielę była konferencja w Belwederze i Komendant wreszcie zgodził się być ministrem spraw wojskowych w mającym powstać gabinecie Skrzyńskiego. To właśnie niebezpieczeństwo połączyło na nowo wszystkich przeciwnikóww Komendanta. Teraz naszym ministrem spraw wojskowych został jakby na urągowisko wrogi Komendantowi generał Malczewski z Krakowa. Wobec tego zaskoczenia nikt właściwie nie urzędował. Siedzieliśmy w biurach roztrząsając sytuację i podając sobie wieści nadchodzące z miasta. Premier Witos dał wywiad do prasy, w którym zapowiada rządy silnej ręki i ukrócenie wszelkich zaburzeń. W odpowiedzi, wieczorem tego samego dnia Komendant daje swój wywiad o nieuwzględnionych potrzebach budżetowych wojska i stwierdza, że w tych warunkach oraz wobec nie brania pod uwagę przez ludzi nowego gabinetu państwowych imponderabiliów, on

do wojska nie wróci. Wywiad ten ukazał się następnego dnia we wtorek 11 maja w „Kurierze Porannym", ale został niezwłocznie skonfiskowany. Ta konfiskata wywiadu Komendanta przez rząd chieno-piasta wywołuje wielkie oburzenie i poruszenie umysłów w szerokich masach ludności Warszawy, no i nie trzeba mówić i w naszych legionowych. P.P.S. uznaje tę konfiskatę jako nawrót do najgorszych tradycyj reakcji. Rozchodzą się wieści, że w Sulejówku była nocna strzelanina i że siódmy ułanów pod pułkownikiem Kazikiem Stamirowskim przemaszerował do Sulejówka, by strzec bezpieczeństwa Komendanta. Na ulicach Warszawy tworzą się grupki młodych ludzi, krzyczących „Precz z Witosem!", „Precz z reakcyjnym chienopiastem!", „Precz z rządami reakcji!", „Niech żyje Piłsudski!" „Niech żyje Komendant!", „Niech żyje Dziadek!".

Tłumy ludzi zatrzymując się, by dołączyć do tych manifestacji, hamują ruch uliczny głównie na Krakowskim Przedmieściu i na Marszałkowskiej. W godzinach popołudniowych grupy naszych oficerów obchodzą pod dowództwem pułkownika Wieniawy kawiarnie, śpiewając Pierwszą Brygadę i pieśni legionowe. Publiczność jest zaskoczona, ale w wielu wypadkach przyłącza się do śpiewu. Wszędzie obsługa kawiarń jest z nami. Policja nie interweniuje ani w zakładach ani na ulicy. Zupełnie biernie również zachowuje się żandarmeria wojskowa, mimo, że przechodziliśmy parokrotnie obok Komendy miasta. Buńczuczny Wieniawa, stały bywalec kawiarń i mający wszędzie znajomych, jest w swoim żywiole w czasie tej parogodzinnej demonstracji. Ja osobiście, nie znając życia kawiarnianego, czuję się nieswojo przy braniu udziału w tych studenckich wystąpieniach. Po siódmej wieczorem, niemolestowani przez nikogo, przeciwnie witani radośnie przez demonstrujących robotników, rozchodzimy się do domów.

Sławoj SKŁADKOWSKI

(Dokończenie nastąpi)

Interpretacja nie tworzy faktów

NA MARGINESIE „MAKIETY" HISTORII POLSKI

W lecie lub na jesieni bieżącego roku ma się ukazać I tom „Historii Polski", wydawnictwa Instytutu Historycznego Polskiej Akademii Nauk. Bezpośrednio po nim miałby się ukazać tom II. O stanie prac nad dalszymi tomami, trzecim i czwartym, nic w tej chwili nie wiemy. Terminy wydawnicze zostały zapowiedziane oficjalnie przez Tadeusza Manteuffla, redaktora głównego całości wydawnictwa. Trudno przesądzać czy będą dotrzymane. Na przeszkodzie bowiem stanąć mogą względy koniunkturalne, które nakażą (lub pozwolą) kolektywowi autorskiemu dokonać ponownej rewizji tekstu w oparciu o coraz to nowe fluktuacje oficjalnej doktryny.

Warto przypomnieć, że dyskusja nad tomem pierwszym odbyła się w dniach 5-9 lutego 1956. Jego „makieta" wyszła spod prasy w grudniu 1955. Manuskrypty oddano na linotypy w czerwcu 1955. Dyskusja toczyła się zatem w klimacie politycznym bardzo już różnym od sytuacji z roku 1953, gdy zaczęto opracowywać teksty. Od lutego 1956 nastąpiły dalsze zmiany, zwłaszcza w Polsce. Odbiciem tych zmian może być ostateczna redakcja tomu drugiego, którego tekst surowy, powielany, omawiano na konferencji historyków w dniach 13 i 14 stycznia, także roku 1956. „Makieta" tomu drugiego ujrzała światło dzienne w grudniu 1956. Dyskusja nad nią odbyła się przed kilkoma tygodniami. Jej przebiegu jeszcze nie znamy. Zostanie zapewne zreferowany w jednym z numerów warszawskiego „Kwartalnika Historycznego", podobnie jak w wypadku dyskusji nad tomem pierwszym. Być może, że wyniki dyskusji nad tomem drugim stworzą konieczność dalszej rewizji tekstu i układu tomu pierwszego. Oba tomy bowiem stanowią całość z uwa-

gi na periodyzację przyjętą przez metodologię marksistowską, gdyż obejmują całość ,,epoki feudalizmu" w historii Polski. Cezura między obu tomami, jest nią rok 1764, budziła poważne wątpliwości nawet wśród redaktorów, nie mówiąc już o dyskutantach.

Uwagi poniższe w ich części szczegółowej ograniczą się do tomu drugiego. Prace poprawcze nad tomem pierwszym są już zapewne posunięte bardzo daleko i omawianie jego treści na podstawie makiety jest zapewne spóźnione. Należeć mu się będzie omówienie recenzyjne po wydrukowaniu pierwszego wydania. Uwagi szczegółowe warto jednak poprzedzić kilkoma spostrzeżeniami ogólniejszej natury, choćby po to aby się zorientować w charakterze całego wydawnictwa i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jego analiza jest w ogóle potrzebna i celowa.



Jak czytamy we wstępie do Tomu Pierwszego i jak czytaliśmy w wcześniej ogłaszanych prospektach, ,,Historia Polski" jest próbą marksistowskiej syntezy dziejów Polski w oparciu ,,o nowe założenia metodologiczne". ,,Nowe założenia metodologiczne" znajdują odbicie przede wszystkim w periodyzacji, której podstawą jest charakterystyka środków produkcji dóbr materialnych. Według założeń marksistowskich epoka ,,feudalizmu" poprzedza ,,epokę kapitalizmu". Podział ten nie zna poważniejszych odchyleń i jest właściwy w odniesieniu do historii każdego społeczeństwa. Wydarzenia kulturalne i polityczne nie wpływają na periodyzację gdyż są tylko ,,nadbudową" w stosunku do zmieniającej się ,,bazy" gospodarczej. Zmiany w ,,bazie" i stosunek ,,bazy" do ,,nadbudowy" kształtuje się po liniach ,,walki klas", która jest zjawiskiem stałym i podstawowym, jedynie istotnym, motywem działania ludzkiego.

Opierając się na tych zdeterminowanych przesłankach podzielono dzieje Polski ,,feudalnej" na ,,okres wczesnofeudalny" (do połowy wieku XII), ,,okres gospodarki czynszowej" (do połowy wieku XV) i ,,okres gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej" (do połowy wieku XVIII). Powyższe trzy okresy składają się na treść tomu pierwszego. Następne sto lat, to jest czas między rokiem 1764 i 1864 jest okresem upadku ,,feudalizmu" i wykształcania się form gospodarki kapitalistycznej. Towarzyszy jej powstawanie ,,narodu burżuazyjnego" zajmującego miejsce poprzedniego społeczeństwa stanowego. Określenie ,,feudalny" i słowa pochodne rozumieć należy według słownika marksistowskiego. Nie mają one wiele wspólnego z terminem ,,feudalny" stosowanym przez naukę zachodnią, która wyprowadza go ze zjawisk ustrojowych.

Opis dziejów oparty o tego rodzaju schemat podziału może się wiązać w logiczny wątek tylko w wypadku wyrażenia zgody na założenie podstawowe, którym jest materialistyczna interpretacja historii w oparciu o dogmat walki klas.

Odrzucenie dogmatu przekreśla sens wywodu i z podziału na okresy czyni schemat sztuczny.

Historia jest w istocie zespołem faktów i funkcjonalnym powiązaniem faktów. Wykazywanie współzależności poszczególnych faktów jest zadaniem historiografii. Należałoby tu dodać: głównym zadaniem, bo przecież nie jedynym. Nanoszenie na fakty wniosków spekulatywnych jest techniką tworzenia syntezy historycznej. Nie łatwo określić w którym miejscu przy tworzeniu syntezy kończy się praca naukowa czyli badawcza i zaczyna się twórczość literacka lub propagandowa. Tak jednak jak dla poznania samych faktów można z pożytkiem stosować wiele metod badawczych (chociażby po to by sprawdzić trafność opisu), tak też dla ich pełniejszego zrozumienia przydać się mogą różne, zwłaszcza zaś odmienne, sposoby spekulatywnego komentowania.

Innymi słowy przydać się mogą różne sposoby interpretacji faktów.

Z tego też przede wszystkim względu opracowanie dziejów Polski pod kątem założeń dogmatyki marksistowskiej (w jej obecnym komunistycznym wydaniu) nie jest wydarzeniem nad którym można by przejść do porządku, bez względu na to czy się uważa „dialektykę materialistyczną" za jedną z metod naukowych, czy też gdy się sprowadza jej charakterystykę do miana środka propagandowego. Apodyktyczne rzutowanie wstecz hipotez do wierzenia podanych jako dogmat nie jest zresztą wynalazkiem komunistycznym. Nie jest też komunistycznym monopolem. Widziano nieraz tego rodzaju próby. Pozostawał zwykle po nich jakiś ślad, przynajmniej jako materiał dla studiów nad „historią doktryn historycznych".

Interpretacja jednak nie tworzy faktów. Fakty są niezmienne. Nie można tworzyć faktów z ważnością wstecz tak jak nie można w drodze interpretacji unicestwić faktu, który *jest*. Pokusie takiej ulegają jednak metody historiograficzne oparte o dogmatykę. Doktryna bowiem każe historię postulować. Stara się znaleźć podbudowę dla swych założeń i hipotez w tych faktach, które się wydają celowi temu przydatne. Inne fakty, dla doktryny niewygodne, pomija się milczeniem lub się je przeinacza. Podstawową cechą metody komunistycznej jest dążenie do ustalania pozorów prawidłowości zjawisk historycznych. Prawidłowość ta ma wykazać istnienie zdeterminowanych reguł, które rzekomo kierują postępowaniem ludzi w czasie. Determinizm, jawny lub zamaskowany, ilekroć przybiera kształty ideologiczne, może stać się źródłem natchnienia dla tworzących hasła i slogany. Może też, co pozornie zakrawa na paradoks, być motywem działania i wpływać na powstawanie nowych faktów historycznych. W odniesieniu jednak do przeszłości nie dostarcza żadnej obiektywnej odpowiedzi dlaczego coś się stało tak a nie inaczej. Historia postulowana nie jest bowiem historią.

W opracowaniach popularnych i podręcznikowych, do nich zaś zalicza się większość syntez historycznych, owo przejaskrawienie jednych i przemilczanie lub podmalowywanie innych fak-

tów często i łatwo przekracza granice między prawdą i zwykłym fałszem. Trudności tego rzędu mnożą się na niewygodnej ścieżce prowadzącej między uczciwością badacza i wymogami ,,zamówienia społecznego'' po której kroczyć musi historyk ,,marksistowski''. Obiektywizm sądu nie jest cnotą w komunistycznej szkole myślenia. Nie jest też ideałem żadnej dialektyki, czy będzie nią dialektyka scholastyczna czy materialistyczna. Zadaniem dialektyki nie jest bowiem *dociekanie* lecz *udowadnianie*. Obie funkcje należą do zupełnie różnych kategorii. Historyk, który godzić musi dociekliwość naukową z prawomyślnością wyznawcy doktryny znajdzie się prędzej lub później w konflikcie z samym sobą.

Gdybyż przynajmniej doktryna i wypływające z niej dogmaty posiadały znamiona stałości ! Gdybyż ich oficjalna wykładnia, od poglądów historyka niezależna, nie podlegała kapryśnym zmianom w zależności od koniunktury politycznej, od temperatury rozmaitych odwilży, od stanu ,,destalinizacji'' lub od tendencji odwrotnych. Zmiany tego rodzaju wystąpiły zupełnie wyraźnie w czasie użytym na opracowanie poszczególnych części i rozdziałów ,,makiety Historii Polski''. Historykom pracującym nad nimi podano do wierzenia podstawowy pion ortodoksji w postaci dialektyki materialistycznej i marksistowskiej interpretacji historii. Spisano przykazania myślowe ujęte w słowa ,,baza'', ,,nadbudowa'', ,,demokracja-burżuazyjna'', ,,rozwarstwienie'', ,,reakcyjność'', ,,postępowość'', ,,naukowy socjalizm'' itd., itd. Nie zapomniano też o artykule wiary, który mówi o mechanicznie po sobie następujących okresach historii : ,,feudalnej'', ,,kapitalistycznej'' i tej następnej, w której nie będzie już historii, gdyż powstanie społeczeństwo bezklasowe. Nie będzie ono znało walki klas a zatem zniknie przyczyna wszelkich w ogóle zjawisk historycznych ... Są to jednak ramy bardzo ogólne w które z najwyższym trudem przychodzi wtłaczać konkretne fakty z historii, w tym wypadku fakty z historii Polski.

Niepewność co i jak należy w danej chwili rozumieć pod uświęconym określeniem i jak należy klasyfikować fakty wzbudziła sporo zamieszania i niepokoju w czasie wspomnianych już dyskusji nad makietą tomu pierwszego.

Wypływa na przykład stwierdzenie, że opracowanie ,,Historii Polski'' nie daje odpowiedzi na pytanie : dlaczego w XVI wieku Polska nie przeszła przez wojny chłopskie. *Powinna* była przejść. Na stronie 12 sprawozdania z dyskusji (Nr 3, Rocznika LXIII ,,Kwartalnika Historycznego'') dyskutant A. Podraza stwierdza : ,,Nadal nie rozstrzygnięto w makiecie budzącego tyle wątpliwości zagadnienia dlaczego nie doszło w Polsce do absolutyzmu''. Historia obiektywna nie zna tego rodzaju wątpliwości. Stwierdza po prostu, że coś się albo stało albo się nie stało. Nie byłoby podobnych wątpliwości na temat wojen chłopskich i absolutyzmu w Polsce, gdyby praca historyka ograniczała się do zadania, które jest mu właściwe, to znaczy do badania faktów. Co jednak ma zrobić historyk, któremu doktry-

na nakazuje znalezienie faktu na potwierdzenie słuszności doktryny? Jest w położeniu człowieka, który błądzi po lesie zapatrzony w urzędową mapę. Staje nad rzeką i czyta na mapie, że jest most. ,,Tu powinien być most'' — powtarza z uporem — ,,bo most jest na mapie''.

Nie ma mostu. Nigdy go nie było.

Niekiedy z trudności wybawia powołanie się na autorytet, zwykle na Marksa lub Engelsa. Engels był błyskotliwym i utalentowanym pisarzem i miał doskonale wykształcony zmysł historyczny, który nadał ciekawe i wartościowe piętno całej jego publicystyce. Umiejętnie wtrącony cytat z jego pism zabezpiecza w wielu wypadkach autora jakiegoś rozdziału ,,Historii'', gdy wymowa przedstawianych przez niego faktów odciąga wywód od doktrynalnego założenia. Niekiedy zaś po prostu zastępuje konkluzję, do której niesposób dojść inaczej i wypełnia lukę w logicznym przewodzie wykładu. Nie każdy jednak autorytet wystarcza. Co robić na przykład z doskonałym (w swoim czasie) pomysłem na który wpadli współautorzy rozdziału pt. ,,Polityka gospodarcza i centralizacja monarchii do roku 1370''? Z. Kaczmarczyk (lub E. Maleczyńska) pisze pod nagłówkiem ,,Rola dziejowa Kazimierza Wielkiego'':

,,Niezaprzeczając znaczenia działalności samego króla można odnieść do niego — uwzględniając różnicę rozwoju feudalizmu — słowa Stalina o Piotrze I: Piotr Wielki wiele zdziałał dla wywyższenia klasy obszarniczej i dla rozwoju rodzącej się klasy kupieckiej. Piotr zdziałał bardzo dużo dla stworzenia i utrwalenia narodowego państwa obszarników i kupców''.

Trafność tego pomysłu ,,metodologicznego'' podał w wątpliwość w dyskusji nad ,,makietą'' tomu pierwszego nie kto inny tylko I.S. Miller, przedstawiciel historiografii sowieckiej. Dyskusja toczyła się bowiem w przede dniu mowy Chruszczowa na XX Plenum Partii.

Przykłady powyższe brzmią anegdotycznie — co nie było zresztą niczyim zamiarem. Nie są one anegdotą, lecz ilustracją trudności z którymi boryka się historyk piszący pod ,,zamówienie społeczne'', podyktowane przez doktrynę polityczną. Innym przykładem tych trudności jest zjawisko tak zwanej ,,modernizacji'',skrytykowane zresztą w czasie dyskusji. Polega ono na stosowaniu pojęć i określeń z późniejszych okresów lub zgoła z frazeologii doktrynalnej dla określania zjawisk powstających w zupełnie innych okolicznościach. ,,Ludzi włóczących się po kraju bez paszportu, policja doprowadzała siłą do manufaktur''... pisze beztrosko Władysław Rusiński na str. 146, Tomu II, w rozdziale o ,,Rozwoju Manufaktur'' (po roku 1775). ,,Obszarnik'', ,,myśl postępowa'', ,,reakcyjność'', ,,demokratyczność'' przyczepiona do spraw, XII powiedzmy wieku, nie ma w ogóle żadnego sensu. Nawiasem dodać warto, że wszystkie pochodne od słowa ,,demokracja'' są stosunkowym *novum* w historiografii komunistycznej i nawet sowiecki prawzór naukowy nie bardzo sobie jeszcze z tymi terminami daje rady. Zbyt długo bowiem

słów tych używano wyłącznie w pejoratywnym znaczeniu, zanim nie weszły do arsenału dialektycznego jako oręż w rozprawie z ,,światopoglądem faszystowsko-feudalno-burżuazyjnym''. Z lepszym wynikiem przymiotnik ,,demokratyczny'' daje się zastosować przy opisie zjawisk z historii Polski w wieku XIX, o których niżej.

Wreszcie najsłabsza i ostatnia deska ratunku to sposób formułowania zdań. Gdy opis działalności jednostki luk klasy posiadającej wypada zbyt przychylnie, wstawia się konkluzję, zaczynającą się od słowa ,,oczywiście'' i stwierdzającą, że choć czyn był ,,postępowy'' to jednak pobudka działania ,,reakcyjna''. Pod tym względem im mniej u autora rozdziału widać wiedzy i przygotowania naukowego, tym częstsze ucieczki pod skrzydła autorytetów i owych ,,oczywiście'', które z góry wzbraniają poddawania czegokolwiek w wątpliwość. Wszystko to razem służy do ,,zamazywania'' tekstu w miejscach niebezpiecznych, gdzie mogłoby powstać podejrzenie, że autor ulega tradycjom burżuazyjnym lub nacjonalistycznym. Użyłem tu określenia jednego z dyskutantów pierwszego tomu makiety.



Mówiąc kolektyw autorski — jest to zresztą nazwa świadomie używana przez jego członków — określamy od razu charakter pracy. Wydawnictwo nie jest dziełem zbiorowym w tym sensie jak na przykład opracowania wydawane wspólnym wysiłkiem przez różne uniwersytety na zachodzie, na przykład Cambridge. Poglądów się nie uzgadnia by dojść do reasumpcji; poglądy są uzgodnione z samego założenia. Praca redakcyjna jest tylko mechanicznym uzgodnieniem tekstu — ,,makiety'' wykazują tu dużą staranność choć sama dyspozycja pracy stwarza łatwość, konieczność prawie, powtórzeń — oraz przede wszystkim organem kontrolnym, czuwającym nad tym, by nie uchowały się nawet niezamierzone odchylenia od pionu doktrynalnego. Autorzy otrzymują konkretne zadanie i gotowy słownik określeń i argumentów. ,,Prawidłowość'' wykładu jest też główną bodaj troską redakcji, gdyż wygładzenie tekstów, także pod względem stylistycznym, pozostawia wiele w makietach do życzenia. Teksty nie są jednolite, ich jasność lub chropowatość wyróżnia dodatnio lub ujemnie poszczególnych autorów, w zależności od ich osobistych walorów jako historyków i pisarzy. W tej więc, nie koniecznie najszczęśliwszej dziedzinie, pozostawiono im dużą swobodę i pozwolono na indywidualność.

Jeśli chodzi o technikę pracy w postaci wydawania pełnych, drukowanych ,,makiet'' sposób ten zaliczyć należy do wyjątkowo szczęśliwych. ,,Makieta'' nie jest przeznaczona dla szerokich kół czytelników, lecz jest wydaniem próbnym, przeznaczonym dla specjalistów. Przygotowując swe wnioski i uwagi na podstawie jej lektury specjaliści mają przed oczami rzeczywisty obraz wydawnictwa, z ilustracjami i z rozpracowanym układem graficz-

nym, nie zaś tylko tekst. Mogą dzięki temu posługiwać się nią łatwo, zwłaszcza, że makietom towarzyszą tomiki map, po jednym do każdego tomu. Ich strona kartograficzna pozostawia wiele do życzenia, nie tylko ze względu na dobór i tendencyjność, lecz także z uwagi na zwykłe błędy. Strona typograficzna jest co najmniej poprawna. Makieta pierwszego tomu (w dwuch volumenach) ma 1.410 stron druku, makieta drugiego 1.431, łącznie ze spisami treści i bibliografią. Brak indeksów, chroniczny w polskich wydawnictwach naukowych, jest poważną wadą. Wadą o wiele ważniejszą jest system przytaczania cytat bez podawania źródła. Uniknięto w ten sposób rzekomo „nużących" odnośników, lecz obniżono wartość całej pracy.

Z niezrozumiałych zupełnie przyczyn „unowocześnia" się geografię historyczną, zastępując na przykład nazwę „Prusy Królewskie" — „Pomorzem Gdańskim" co jest niepotrzebnym nikomu fałszem i wprowadza chaos pojęciowy.

Założenia doktrynalne i związana z nimi metoda dialektyczna nie stanowią jedynej ramy nałożonej na swobodę autorów, redaktorów i dyskutantów. Każdy fakt i każdy komentarz przejść musi przez dodatkowy filtr. Jest nim oficjalna sowiecka wykładnia stosunków polsko-rosyjskich. Nie na próżno przecież słyszymy o „nowej metodologii markso-leninowskiej". Nakłada to szczególne piętno na całość pracy, już chociażby z tego względu że aspekt polityczny historii Polski jest co najmniej w połowie pochodną spraw wschodnich. Dyktat doktrynalny rosyjski, w jego sowieckim wydaniu, nie ogranicza się zaś do stosunków z państwem rosyjskim w granicach właściwych dla danego okresu lub dla konkretnej daty. Wszystko co się działo na wschód od etnicznego zasięgu ludności polskiej podpada pod tę kategorię. Już samo przyjęcie, jako bezspornego, założenia, że ekspansja polityczna i kulturalna Polski na ziemie wschodnie dawnej Rzeczypospolitej była zjawiskiem „reakcyjnym", że miała fatalne skutki, bez bliższego określenia zresztą dla kogo, powoduje konieczność przemilczeń i komentarzy apodyktycznych. Nie chodzi mi bynajmniej o obronę jakiejś hipotezy przeciwnej, o apologetykę ekspansji Polski na wschód, lecz po prostu o stwierdzenie, że opis obiektywny nie dopuszcza tego rodzaju sztywnych założeń.

Kurczowe i bojaźliwe trzymanie się oficjalnej nauki rosyjskiej wypacza fakty, które nie są wyłączną własnością dziejów Polski i narodu polskiego. O wiele więcej bodaj krzywdy w tym względzie robi się Litwinom, Białorusinom i przede wszystkim Ukraińcom. Rzucę tylko kilka przykładów dla bardzo ogólnej orientacji. Myślą przewodnią ruchów wolnościowych na Ukrainie w wieku XVII ma być według „Historii Polski" dążenie do naturalnego jakoby połączenia się z Rosją. Znowu przy pomocy różnych formułek i słów w rodzaju „oczywiście" uzasadnia się z ważnością wstecz fakty polityczne obecnie istniejące. Nie potrzeba dodawać, że zupełnie inaczej wypada interpretacja tych faktów w nauce ukraińskiej. Z przykładów dalszych : potrakto-

wanie sprawy Unii kościelnej między obrządkiem zachodnim i wschodnim na obszarach dawnej Rzeczypospolitej. Nie zapomniano o żadnym fakcie, który nie przydawał sławy temu procesowi. Nie wyjaśniono jednak ani istoty Unii, ani też nie wspomniano o fakcie najistotniejszym, że była ona obroną przed wpływami moskiewskimi. Nie wspomniano nawet, że wiązała się przecież także z ,,nadbudową'' religijną! Przemilczenie to jest konsekwentne, przenosi się bowiem także na tekst Drugiego Tomu, w którym nie ma w ogóle słowa o walce unitów w obronie swojej wiary przeciwko prawosławiu i caratowi w pierwszej połowie wieku XIX. Są jedynie napomknienia w rozdziałach traktujących o Galicji Wschodniej, z których możemy wnosić, że kościół unicki we Lwowie lub w Samborze spełniał rolę ,,postępową'' w tym sensie, że przez walkę z Polakami pozwolił Ukraińcom tamtejszym dożyć chwili wejścia w obszar państwa rosyjskiego.

Nawiasowo dodam, że w dyskusji nad Tomem Pierwszym wśród dyskutantów radzieckich występują także Ukraińcy oczywiście podlegli myślowo tym samym rygorom, którym podlegają autorzy ,,Historii Polski''. Nie było natomiast przedstawicieli nauki litewskiej lub białoruskiej, chyba, że reprezentowali ich ,,per procura'' Rosjanie. A przydaliby się może żeby skomentować zdanie spod pióra Stanisława Herbsta na str. 369 Tomu II: ,,W granicach jednego państwa, caratu, dokonało się zjednoczenie całości terytorium narodowego białoruskiego i ogromnej większości ukraińskiego, co miało z czasem ułatwić dalsze kształtowanie się tych narodów...'' Trzeci rozbiór stworzył rzekomo warunki rozwoju gospodarczego Litwy ,,przez ułatwienie jej dostępu do morza'' (Ta sama strona).

Logicznym następstwem tego schematu myślowego jest nomenklatura rozbiorowa: ,,Zabór rosyjski'' to tylko ziemie Królestwa Kongresowego.

Sprzeczności mnożą się na każdym kroku. Są one nieuniknione. Autorzy ,,Historii'' nie mogą się zdecydować i próbują ustrzelić dwa zające jednym strzałem. Raz mamy postulowany aspekt walki klasowej chłopów ukraińskich lub białoruskich, przeciwko polskim obszarnikom, w której sprzymierzeńcem jest, choć o tym najczęściej nie wie, chłop polski. Kiedy indziej znowu mamy objawy walki narodowo-wyzwoleńczej przeciwko Polsce. Raz kładzie się nacisk na moment walki klasowej, raz na walkę narodowościową. Historia ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej znała zjawiska z obu tych kategorii. Występowały one jednak w różnych okresach, z różnym nasileniem, z różnych przyczyn i w rozmaitych wariantach.

Tendencją jest także minimalizowanie ważności wszystkiego co dotyczy tak zwanych kresów. Wiele faktów zostaje całkowicie przemilczanych, o wielu dowiadujemy się z bardzo krótkich i marginesowych komentarzy. Sposób ten wykrzywia całość dziejów Polski, już choćby z tego względu o którym wspomnieliśmy powyżej, że sprawy wschodnie, co najmniej od XVI wieku zajmowały w psychice kolejnych pokoleń Polaków miejsce prawie, że

naczelne. Jest to po prostu obiektywny fakt. Jaki do niego historiografia dodaje komentarz jest w tym wypadku obojętne. Dla ilustracji już tylko zanotować należy nadzwyczajną kurtuazję w opisach konfliktów politycznych i kulturalnych między Polską i Rosją. Jest to klucz, który wyznacza tonację całej melodii.

Przemilczeń tego rodzaju, „zamazywań", jest więcej, także w innych dziedzinach. Dyktują je różne pobudki. Nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelnika wspomnę przykładowo tylko o jednej. Jest nią sposób traktowania roli Kościoła katolickiego i, co ważniejsze może, wpływu czynnika religijnego. Niekiedy przybiera to kształty zgoła absurdalne. Sprawa o tak kapitalnym znaczeniu jak chrzest Polski w roku 966 potraktowana jest marginesowo, jako wypadek jeden z wielu. Poprzedza ją następujący komentarz:

„Chrystianizacja była koniecznością dla klasy feudałów, która odczuwała potrzebę ideologii konsolidującej klasę panującą i wpływającej na masy ludowe w kierunku dalszego ich podporządkowania organizacji państwowej" (Str. 134, Tom I, Część pierwsza).

Polityce Kościoła, zwłaszcza papiestwa, ilekroć jest, zdaniem autorów w sprzeczności z interesem państwowym i później narodowym polskim, poświęca się wiele, dociekliwej uwagi. Tak samo jak przerostom wpływów hierarchii, kleru i Jezuitów. Tendencyjnie natomiast wypada pomniejszanie lub pomijanie milczeniem roli Kościoła i kleru w walce z wynaradawianiem w okresie zaborów. Tam gdzie przemilczanie jest niemożliwe, jak na przykład w Poznańskim i w Królestwie bezpośrednio przed Powstaniem Styczniowym, fakty zawinięte są w zwiększoną dawkę dialektycznych komentarzy.



Narracja tomu II rozpoczyna się w roku 1764, to znaczy w roku reformy celnej w Polsce i elekcji Stanisława Augusta. Rok ten rozpoczyna, zdaniem redakcji, „Okres Oświecenia". Jest to tytuł „działu pierwszego" tomu, uzupełniony określeniem „Walka o naprawę i utrzymanie niepodległego państwa". Dział ten złożony z trzech części kończy się na roku 1795.

„Dział drugi" czyli „Okres walk narodowo-wyzwoleńczych, toczonych z systemem feudalnym i uciskiem zaborczym" zamyka się, według spisu treści, w latach 1795 do 1831. Ponieważ jednak po czwartej części tego działu następuje bezpośrednio piąta, treść zaś doskonale pokrywa się z tytułem, należy wnosić, że chodzi o jakiś błąd korektorski i że dział drugi kończy się na roku 1864, to jest na końcowej dacie Tomu Drugiego. Z tą poprawką, dział drugi składa się z ośmiu części a całość tomu z 96 rozdziałów. Jak widzimy zatem periodyzacja tomu opiera się na chronologii wypadków politycznych aczkolwiek cezury, początkowa i końcowa dobrane są dowolnie. W dyskusji wstępnej nad powie-

laną treścią tomu odzywały się głosy zdziwienia, że fakt utraty niepodległości znalazł się w jednej czwartej tekstu tomu.

Podobnie jak w Tomie Pierwszym rozdziały Tomu Drugiego odbiegają od chronologicznego toku wypadków i omawiają osobno zagadnienia gospodarcze, społeczne, kulturalne i inne. Niekiedy widzimy odstępstwo od tej metody jak na przykład w rozdziale 50, który traktuje o zaborze austriackim po Kongresie Wiedeńskim z uwzględnieniem wszystkich zagadnień. W rozdziale tym obok Galicji zmieszczono także Śląsk Cieszyński. Na ogół jednak sprawy poszczególnych zaborów w różnych krótkich chronologicznie okresach traktuje się oddzielnie, czego nie należy uważać za pomysł szczęśliwy gdyż tego rodzaju przywiązanie do geografii rozrywa obraz historii całości ziem polskich. Ponadto daje asumpt do powtarzania charakterystyk wstępnych, co można byłoby załatwić z większą oszczędnością słów i papieru.

Zagadnieniom politycznym poświęca Tom Drugi więcej procentowo miejsca, niż Tom Pierwszy. Nie zawsze powiązania między sprawami politycznymi z jednej i gospodarczymi lub kulturalnymi z drugiej strony wypadają przejrzyście gdy się je miesza w jednym tekście. Chociaż zatem redakcja Tomu surowo potępia burżuazyjną metodę tworzenia odrębnych syntez historycznych dla różnych zagadnień w wykonaniu pracy nie może sobie poradzić inaczej, niż układając jak gdyby koło siebie syntezy : polityczną, społeczną, gospodarczą itd. Dzięki temu mimo niedociągnięć o których była mowa powyżej, czytelność tomu i jego wartość informacyjna jest lepsza. Tom jest poręczniejszy.

Jest to jedna z różnic na korzyść Tomu Drugiego w porównaniu z Pierwszym. Różnicą drugą, o wiele ważniejszą, jest wyższy poziom wykładu naukowego, co zdaje się jest skutkiem doświadczenia i przygotowania naukowego niektórych autorów. Czterdzieści jeden rozdziałów tego Tomu wyszło spod pióra Stefana Kieniewicza. Występuje też on jako redaktor Tomu obok Witolda Kuli, który w prospekcie figurował jako jego redaktor jedyny. Obok Kieniewicza rozdziały opracowywali C. Bobińska, W. Długoborski, S.T. Herbst, J. Jedlicki, T. Łepkowski, W. Łukaszewicz, G. Missalowa, E. Rostworowski, W. Rusiński i St. Śreniowski. Fragmentarycznie pojawiają się także inni autorzy. Nie zatracono indywidualności poszczególnych autorów. przynajmniej jeśli chodzi o sposób wykładu, styl pisarski i stopień przywiązania do dialektyki i doktryny. Cały tom charakteryzuje większy obiektywizm, swoboda wyrażania, niekiedy nawet przemycanie faktów i terminologii nie ze wszystkim odpowiadającym założeniu pracy. Są rozdziały, głównie dotyczące spraw gospodarczych, uwłaszczenia, twórczości kulturalnej, które informują w sposób przejrzysty, ciekawy i bezstronny. Są także rozdziały, które jako mało kontrowersyjne, nie przynoszą możliwości zbyt oczywistych pośliznięć, jak na przykład sprawy polityczne z okresu pierwszego rozbioru i kultury Oświecenia. Są także rozdziały, które z tylko trudem można by nazwać inaczej

niż artykułami propagandowymi. Zwłaszcza w ich częściach ,,zamazujących''.

Na przykład rozdziały o układzie politycznym w łonie Wielkiej Emigracji, lub poświęcone obradom Sejmu Wielkiego. Nasuwa się tu uwaga, że wszechstronność zainteresowań jednej autorki nie pokrywa się widocznie z jej opanowaniem źródeł i materiału, nie mówiąc już o sztuce przejrzystego pisania, co nie zawsze da się zastąpić otrzaskaniem w metodologii ,,marksoleninowskiej'' ze szczególnym uwzględnieniem drugiej części tego złożonego przymiotnika.

Mówiąc o niedociągnięciach dziwi trochę skrótowość i niejasność wykładu przy omawianiu niektórych spraw gospodarczych. Odnosi się to zwłaszcza, moim zdaniem, do okresu i spraw, które nie cierpią na niedostatek źródeł, mianowicie sprawy zadłużenia szlachty, czy może już ziemiaństwa w wyniku klęski Prus w roku 1807. Jego skutki zaważyły w stopniu znacznie większym niżby wynikało z tekstu na historii Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, zwłaszcza zaś na pogorszeniu się położenia chłopów.

Zagadnienia agrarne są poza tym prawdziwym ,,forte'' tomu. Materiał starannie przemyślany. Dostateczne natężenie faktów. Widać z niego wzbogacenie się monografii tego przedmiotu w ostatnim dziesięcioleciu a także staranność i wielostronność analizy źródeł. Z informacji o tych sprawach powstać może wiele syntez. I różnych. Synteza, którą tworzy Kieniewicz jest wyprowadzona w swej istocie z przekonywującą logiką. Jest ponadto podana w sposób obiektywny, jako zarys hipotezy, jako propozycja do zastanowienia się i do dalszych badań. Założenie doktrynalne nie zaciemnia faktów. Jest podane obok nich, powołuje się na nie, lecz nie przesądza z góry co jest faktów tych istotą. Rozpracowanie działalności księdza Ściegiennego, wykazanie gospodarczych i społecznych przyczyn ,,nędzy galicyjskiej'' z wszystkimi jej konsekwencjami, logiczne i faktualne rozprawienie się z tendencyjną teorią, że uwłaszczenie ostateczne w Królestwie było dziełem caratu, wreszcie rzeczowe przedstawienie związku między polepszeniem doli chłopa na Litwie i Białejrusi i polskim ruchem wolnościowym — oto kilka zagadnień, których potraktowanie jest cennym dorobkiem historiograficznym.

Nawet z trudnej sprawy ,,rabacji'' galicyjskiej wychodzi autor obronną ręką w opisie faktów, przy małym tylko cieniowaniu. Nie zataja też takich, które nie mogą być użyte na potwierdzenie hipotez marksistowskich. Szeła miał w sobie instynkty wodzowskie, niemniej przyjął od cesarskiego rządu gospodarstwo na Bukowinie.

Jedną z dalszych zalet Tomu jest przedstawienie, znowu gdy chodzi o fakty, procesu wykształcania się warstwy, którą Europa środkowo-wschodnia nazywa ,,inteligencką''. Innymi słowy proces odrywania się szlachty polskiej od ziemi, proces rozchodzenia się pojęć ,,szlachcic'' i ,,ziemianin'' przy równoczes-

nym wzbogacaniu nowej klasy o element miejski, polskiego lub napływowego pochodzenia — w Warszawie, Poznaniu i w Krakowie. Także powstawanie warstwy robotniczej zwłaszcza w okręgu dąbrowskim i łódzkim przedstawione jest rzeczowo i przekonywująco.

Do dobrze napisanych zaliczyć też należy rozdziały traktujące o urbanizacji, urządzeniach użyteczności publicznej, architekturze i komunikacji. Gorzej wypadają opisy poświęcone twórczości kulturalnej choć i tu zestawienie faktów tłumaczy przyczyny ubożenia myśli polskiej w dziedzinie technologii i nauk ścisłych. Humanistyka natomiast, cały romantyzm polski napotyka w opisie na przeszkody, z którymi autorzy nie zawsze dają sobie radę. Sprawy te bowiem zahaczają o ideologię, o zagadnienia polityczne a zatem o doktrynę. Tu ,,zamazywanie'' występuje częściej, fakt ustępuje miejsca interpretacji i wykładowi ,,dydaktycznemu'', hipotezy, rzutuje się wstecz, szuka się ,,prawidłowości'', i mnożą się słowa ,,postępowy'', ,,reakcyjny'' ,,burżuazyjno-demokratyczny'' itp., itp. Na tym polu jest także inna trudność. Jest nią kresowe pochodzenie tak olbrzymiej części wielkich postaci literatury polskiej, jest żywotność dominująca nad całym życiem narodu takich ośrodków jak Uniwersytet Wileński, Liceum Krzemienieckie lub po prostu miasto Lwów a nawet rola kulturalna kontraktów kijowskich.

Nie słuszny byłby zarzut, że autorzy pomijają milczeniem ten nurt życia polskiego, który toczył się na wschód od Bugu. Nie ukrywają tu swoich poglądów, które płyną zapewne częściowo ze szczerego przekonania, częściowo zaś są dyktowane przez oficjalną wykładnię rosyjską. Sposób formułowania tych poglądów w niejednym wypadku najłatwiej byłoby określić przy pomocy angielskiego wyrażenia ,,*lip service*''.

Wyjątek stanowi w tym względzie obrona twierdzenia, że walka o niepodległość w jej aspekcie szlacheckim, lub magnackim, cierpiała na skutek przenoszenia jej zasięgu na całość ziem, które zagarnęła Rosja od roku 1772. Tu nie ma niedomówień. Twierdzenie jest wynikową wrogiego stosunku do motywu ekspansji wschodniej w całym przebiegu dziejów Polski. Każde stanowisko w tej sprawie jest dyskusyjne zwłaszcza, że problem narodowościowy w nowoczesnym znaczeniu tego słowa zaczyna w grę wchodzić dopiero w wieku XIX. Ułatwia to w pewnym sensie zadanie autorom Tomu Drugiego, gdyż w toku swej narracji napotykają na nie już w formie konkretnej a nie postulowanej jak w opisie czasów wcześniejszych.

Celowe stępienie ostrza uwagi autorów w stosunku do dawnych ziem Rzeczypospolitej zamieszkałych przez ludność niepolską lub nie tylko polską, pozwala na większą i źródłową uwagę w odniesieniu do zaboru pruskiego, zwłaszcza do Poznańskiego. Na odcinku sprawy agrarnej doktryna nakazuje krytykować tak zwaną ,,pruską drogę'' i jej skutki narodowe i społeczne. Jest to w zgodzie z nakazanym atakiem na głównego wroga doktryny walki klas, którym jest ,,solidaryzm''. Soli-

aryzm odrzuca walkę klas jako regułę, jako ideę i jako obowiązek. Dąży do zwartości grupy społecznej na podstawie przynależności narodowej. W Poznańskim zwartość taka się wytworzyła a jej początki są już zupełnie widoczne w okresie poprzedzającym rok 1850, na którym kończy się narracja tomu w odniesieniu do tej dzielnicy. Tej zwartości zawdzięczamy, że powstanie w roku 1848 w Poznańskim jest jedynym powstaniem polskim w wieku XIX, które zasługuje na nazwę powszechnego, gdyż wzięło w nim udział całe społeczeństwo. Przede wszystkim chłopi. Nie potrzeba wcale ekwilibrystyki dialektycznej by to udowodnić, gdyż jest to fakt historyczny. Ekwilibrystyka jest natomiast potrzebna jeśli się chce wykazać, że chłopi wielkopolscy wzięli udział w powstaniu z innych względów niż właśnie solidarność narodowa. Doktryna marksistowska każe jednak twierdzić, że także w Wielkopolsce walka narodowo-wyzwoleńcza toczyła się równolegle z walką przeciwko klasom posiadającym, innymi słowy, że obok walki przeciw zaborcy gorzał także bój przeciwko „feudalizmowi". Na tym nakazie przeprowadzenia dowodu zyskuje wykład o tyle, że wzbogaca się faktologicznie. Mnogość przytoczonych faktów nie zmieni jednak ich istoty.

W pierwszej połowie XIX wieku wykształca się nowoczesne pojęcie narodu. Autorzy Tomu nazywają go burżuazyjnym. Jest to w zgodzie z metodologią marksistowską, lecz nie odpowiada rzeczywistości polskiej, chociażby w sensie kwantytatywnym. „Burżuazyjność" w Polsce była rośliną chorą na uwiąd i nie zdołała się w ogóle rozwinąć. Trafniejsze byłoby chyba określenie naród inteligencki. Nie w określeniach zresztą i nie w terminach — obojętnie czy się ich użyje jako wyzwisko czy beznamiętnie — leży istota procesu historycznego. Szukać jej należy w wysiłkach coraz większej ilości ludzi, by naród rozszerzył się na masy ludowe, które z wiekowego stanu upośledzenia i wyzysku dochodziły powoli do wykonywania prawa własności i do świadomości narodowej. W różnych dzielnicach Polski proces ten odbywał się inaczej. We wszystkich tamowała go świadoma działalność zaborców i niezaradność, w równym stopniu co egoizm, warstwy ziemiańskiej. Poza jedną Wielkopolską wieś nie włączyła się jeszcze w świadome życie narodowe w ciągu lat, które stanowią przedmiot Drugiego Tomu. Autorzy jego widzą w tym właśnie, tak jak widział Engels, przyczynę niepowodzeń powstańczych. Była ona jedną z przyczyn. Powoływanie się na zdania lub marzenia Hercena i innych jakże nielicznych Rosjan, którzy walczyli z caratem, że nadanie powstaniom charakteru ludowego spowodowałoby rewolucję agrarną w Rosji i w całej Europie, jest tylko powtórzeniem współczesnych artykułów publicystycznych. Tu też znajdujemy między innymi formalny mankament Tomu, który niedostatecznie rozpracowuje międzynarodowe położenie polityczne w omawianym okresie, ograniczając się raczej do ogólnych i niesprecyzowanych formułek zaczerpniętych chyba z antykwariatu przestarzałych opracowań popularnych. Jest to wada poważna. Może niedociągnięcie, a może na-

kaz. Nie wynagradza go opisane w najdrobniejszych szczególi kach współdziałanie kilku dekabrystów lub spiskowców z korpusu młodszych oficerów rosyjskich z którymś z odłamów rewolucjonistów polskich.

Jedną z ,,bêtes noires'' komunizmu jest kosmopolityzm w stylu życia i kulturze, przeciwstawiany internacjonalizmowi. Znajduje to posłuszne odbicie w Tomie Drugim. Wspominam o tym nawiasowo z uwagi na to tylko, że z opisów wynika, iż autorom mylą się marksistowskie definicje obu tych zjawisk.

Osobna uwaga należy się tym rozdziałom Tomu Drugiego, które są poświęcone źródłom i historiografii. Dzieli się ją na historiografię szkoły Lelewela, dalej na szkołę krakowską i na szkołę warszawską, na historiografię ,,doby imperializmu'' (lata 1918-1939) i wreszcie historiografię obcą (bardzo ubogą) i historiografię marksistowską. Słowa w rodzaju ,,endecki'', ,,piłsudczykowski'' zastępują klasyfikację dzieł i autorów. Znajdujemy w tekście określenia w rodzaju ,,strach przed syntezą'', ,,negowanie praw rozwojowych'', ,,strach przed prawidłowościami o charakterze rewolucyjnym'', ,,wsteczne koncepcje podbudowane warsztatowo'', ,,koncepcja epoki jawnie reakcyjna''. Na stronie 403 czytamy, gdy mowa o monografii Grabca o Wielopolskim (,,Ostatni Szlachcic''): ,,Ta ostatnia książka odzwierciadla dalsze uwstecznianie się obozu Piłsudskiego zagrożonego przez rozwój socjalizmu w Kraju Rad''.



Poddając w wątpliwość wartość *wykładu* korzystać można zawsze z opisu i z nowego dorobku monograficznego. W wypadku Historii Polski, mówię tu zwłaszcza o Tomie Drugim, opis wielu faktów i zagadnień wzbogaca wiedzę obiektywną. Jest on rezultatem pracy badawczej, której ostrze skierowano na odcinki szczególnie zaniedbane. Do nich należy przede wszystkim sprawa chłopska, zagadnienie gospodarcze i kulturalne wsi. Fakty wydobyte na światło dzienne wymagają starannego sprawdzenia, przedyskutowania i dodatkowych naświetleń, co byłoby możliwe tylko w oparciu o materiał źródłowy. Niemniej wzbogacają one obraz dziejów Polski o wiele nowych i ciekawych barw i rozszerzając jego kanwę. Dalszym ciekawym rozszerzeniem jest uwzględnienie materiałów odnoszących się do historii Śląska i Pomorza zachodniego.

Powiedzieliśmy wyżej, że można korzystać z opisu, odrzucając wykład, to znaczy odrzucając interpretację, względnie zastrzegając sobie możliwość jej sprawdzenia. Możliwość taka istnieje tylko wtedy, gdy jedną interpretację można przeciwstawić innej, gdy je można ze sobą porównać, wzajemnie uzupełnić, odrzucić wszystko co jest frazesem i dogmatem i pozostawić to tylko, co przybliża nas do obiektywnego poznania. Wymaga to jednak warunków, które nie będą spełnione w wypadku większości młodych czytelników ,,Historii'', studentów i nauczycieli.

Vydawnictwo ma spełniać między innymi także rolę podręcznika la studiów wyższych. Jako podręcznik na pewno będzie używae. Jest to drugi wzgląd dla którego zaryzykowałem na wstępie vierdzenie, że nie można przejść do porządku nad ukazaniem ę wydawnictwa ,,Historia Polski'' tylko dlatego, że powstało oparciu o doktrynę. Będzie ono kształtowało umysły wielu idzi. Jako synteza zawiera błędy i rodzi wątpliwości. Nie rozroszy ich wszystkich i bez reszty inna synteza, napisana przed vielu laty w oparciu o ówcześnie dostępny materiał źródłowy. Jawet gdyby synteza starsza nie była sama zarażona innym ogmatyzmem. Stąd wypływa, moim zdaniem, obowiązek historyków, zwłaszcza niemarksistowskich, dokonania rzetelnej analizy ,,Historii'' i podzielenia się swymi spostrzeżeniami z jak ajszerszym gronem. Ma to znaczenie jak najbardziej praktyczne.

Paweł ZAREMBA

KONKURS IM. WŁADYSŁAWA PAŃCZAKA

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie rozpisuje dla uczczenia śp. Władysława Pańczaka konkurs na nieogłoszony dotąd utwór dla dzieci w wieku od 8 do 12 lat. Temat dowolny. Tekst prozą lub wierszem winien być ilustrowany przez autora lub inną osobę. Rozmiar: 2 do 3 arkuszy druku. Pierwsza nagroda wynosi równowartość dolarów 120, druga dolarów 80; obie zostaną podzielone po połowie między autora tekstu i ilustratora. Jury stanowią: E.L. Hołdanowicz, art.-mal. Adam Kossowski, red. Barbara Mękarska, red. Andrzej Onyszkiewicz i Bronisław Przyłuski.

Prace konkursowe oznaczone godłem należy nadsyłać do dnia 30 sierpnia br. na adres Związku: 312, Finchley Road, London, N.W.3, wraz z zamkniętą kopertą zawierającą nazwiska autorów tekstu i opracowania graficznego. Wyniki konkursu będą ogłoszone 1 października br.

Książki

Zagórski contra Kotarbiński

Pod datą 20 sierpnia kapitan Zagórski zapisuje w swoim dzienniku (*):

,,Do dowództwa przyszła żona Czortka, aby odebrać pamiątki po mężu. Rozmowy z wdowami po poległych żołnierzach, to chyba najprzykrzejszy z moich obowiązków. Gdyby chociaż któraś płakała, rozpaczała, byłoby wiadomo, że ją należy uspakajać i można by mówić jakieś banały. Lecz one przychodzą spokojne, zacięte, nie potrzebujące ani jednego słowa pociechy, czy perswazji. Wiedzą już wszystko, nie potrzebują o nic pytać. Nie ma o czym mówić, nie istnieją właściwie słowa, a milczenie jest czasem ponad siły''.

To wyznanie mogłoby posłużyć za motto całej książki. Bywają wydarzenia, o których wiemy na pewno, że nie uda się nam ich wyrazić słowami, a czujemy jednocześnie, że milczeć nie można. Skala uczuć jest znacznie szersza niż nasza możność wypowiedzenia. Mowa wydaje mi się przy tym narzędziem szczególnie niedoskonałym. Tylko natchnieni poeci umieją czasami wyrazić słowami ładunek dynamitu, jaki rozsadza nam piersi. Słusznie uważamy ich wtedy za proroków, lub wieszczów. Są tematy, których nie powinien tykać zwykły beletrysta. Odtwarzając wrażenia, jakich doznał zwiedzając po raz pierwszy po Powstaniu ruiny Warszawy, Miłosz notuje lapidarnie: ,,Czułem że pisanie o tych rzeczach jest dla mnie niemożliwe''. Do dziś, w kilkanaście lat po okupacji i Powstaniu nie ma jeszcze literackiego pomnika tamtych czasów, choć napisaliśmy sporo opowiadań warszawskich i wielu z nas para się bez ustanku z tym tematem. ,,Przypominam sobie — pisze w tej samej książce Miłosz

(*) Wacław Zagórski, *Wicher wolności*, str. 391. Skład główny u autora, 33 Disbrowe Road, London, W.6. Cena 1.500 fr. lub $4,50.

— że kiedy Alfa czytał nam ... swoje opowiadania, które eksploatowały temat ,,na gorąco'', czuliśmy się dziwnie zażenowani i ich kompozycja była za gładka. Tysiące ludzi umierało tuż obok w torturach, dlatego transponowanie tych cierpień od razu na tragiczną teatralność wydawało nam się nieskromne. Lepiej jest czasem jąkać się ze wzruszenia, niż mówić okrągłymi zdaniami. Głos wewnętrzny, który nas powstrzymuje kiedy trzeba za wiele wyrazić — jest mądry''.

Jechałem kiedyś na wykład profesora Tadeusza Kotarbińskiego, po którym miałem zabrać głos i odczytać fragment powieści o okupacji, nad którą wówczas pracowałem. Zebranie miało się odbyć w pewnym mieszkaniu w okolicy ulicy Kredytowej. Tak się złożyło, że przed terminem spotkania musiałem być w innej stronie miasta, przy ulicy Flory. Wracałem tramwajem przez aleje Ujazdowskie. W pewnym miejscu, nie daleko od skrzyżowania ulic przy placu na Rozdrożu, na skraju jezdni leżał trup młodego mężczyzny. Ta okolica Alei Ujazdowskich była naszpikowana kwaterami rozmaitych niemieckich biur i instytucji. O paręset metrów w pięknym gmachu dawnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, przy alei Szucha, mieściła się główna siedziba Gestapo, dom przy wylocie Koszykowej zajmowała tak zwana Kripo, czyli niemiecka policja kryminalna. Była wczesna godzina popołudniowa w piękny dzień wiosenny. Przepełnione tramwaje mknęły w słońcu po obu stronach szerokiej jezdni, w kierunku miasta i w kierunku Belwederu. Matki z drobiazgiem dziecięcym w wózkach i już stawiającym pierwsze niepewne kroki, korzystając z pogody spacerowały wzdłuż wysokich sztachet ogrodu. Duża ilość zieleni, brak w tym miejscu domów zniszczonych przez wojnę, świeży powiew powietrza z pobliskiego parku, a może te wesoło pobrzękujące tramwaje sprawiały, że jadąc tak w słoneczne popołudnie czysto zamiecionymi Alejami, doznawałem uczucia ulgi. Było coś odprężającego w tym odświętnym krajobrazie, który z malarskiego punktu widzenia mógłby być od biedy uznany za obraz drobnomieszczańskiej niedzieli, nasyconej barwami, zapachami i dźwiękami. Nagle ten trup. Trąciłem siedzącego obok towarzyszącego mi młodzieńca.

— Patrz !

Skinął tylko głową i nic nie odpowiedział.

Motorniczy naszego tramwaju przestał dzwonić i zwolnił bieg. Wszystkie oczy skierowały się na leżącego. W milczeniu minęliśmy zmarłego. Leżał w kałuży zastygającej krwi.

Młody człowiek, który mi towarzyszył, odprowadził mnie na Kredytową. Ale parę kroków przed bramą, do której mieliśmy wejść, pożegnał się ze mną. Jak się wyraził, zmienił decyzję. Na odczyt Kotarbińskiego nie pójdzie.

— Filozofia... — skrzywił się.

Był jakiś zły grymas koło jego warg, gdy wypowiadał to słowo.

— Kotarbiński... Nie, nie! — mówił, jak gdyby się chciał usprawiedliwić. — Ty, co innego, ale ja? Ja?

Powtórzył to pytanie takim tonem, jak gdyby między nim a mną, a także między nim a odczytem Kotarbińskiego, otwarła się nagle jakaś bezgraniczna przepaść, co akcentował, ale czemu się jednocześnie dziwił.

Zły grymas koło jego ust pogłębił się. Podałem mu rękę. Odszedł szybkimi krokami nie wypowiedziawszy już ani jednego słowa. Poczułem ołów w piersiach. Było w tym jakieś, jak gdyby nieokreślone uczucie winy. Może nie winy, ale pogardy. Czy ja wiem zresztą, czy pogardy? Może raczej obrzydzenia.

Odczyt Kotarbińskiego był interesujący. Zdumiało mnie opanowanie prelegenta, jego nawet już nie erudycja, ale — tak bym to nazwał — zrośnięcie się z tematem. To nie był wykład w zwyczajnym znaczeniu. Myśl płynęła nieskrępowana, wyrażona w najprostszych słowach, torując sobie bez trudu drogę do naszych umysłów i zagospodarowując się w nich natychmiast, jak u siebie w domu, jak gdyby była naszą własną myślą i jakby w nas od dawna tkwiła. To nie wymagało nawet uwagi, bo przecież krew krąży w nas niezależnie od naszej woli, a także słońce wschodzi co rano nie czekając naszego przyzwolenia. Rzeczy oczywiste nie wymagają dowodu, a myśl Kotarbińskiego miała przejrzystość powietrza, oddychaliśmy nią nawet o tym nie wiedząc.

Pierwszy raz wtedy doznałem dziwnego wrażenia, że jestem jednocześnie w mieszkaniu przy ulicy Kredytowej na wykładzie profesora Kotarbińskiego i w Alejach Ujazdowskich, obok tamtego zabitego mężczyzny, a może — to także nie wydawało się wcale wykluczone — jestem właśnie nim. Jednocześnie odchodziłem szybkimi krokami mojego młodego przyjaciela z zaciśniętymi wargami.

Nigdy go już więcej nie spotkałem. Znacznie później dowiedziałem się, że w Powstaniu zginął.

Ale to stało się dopiero w rok po tym. Na razie wszedłem do bramy i podążyłem schodami w górę do znanego mi mieszkania. Widocznie spóźniłem się, bo Kotarbiński już mówił.

Nie miał przed sobą żadnego skryptu, żadnych notatek. Wykładał, a raczej rozmyślał głośno o stanie umysłu człowieka dojrzałego i posiadającego poczucie odpowiedzialności, a znajdującego się w trudnej sytuacji życiowej, wśród ciągłych niebezpieczeństw. W takiej sytuacji byliśmy wtedy wszyscy. Dla uporządkowania przeto różnych typów reakcji w warunkach zasadniczo identycznych, wprowadzał Kotarbiński pewną specyfikację. Dzielił mianowicie ludzi na dojrzałych, to jest tych, którzy posiadają poczucie odpowiedzialności i takich, którym działanie doraźne przesłania obraz skutków. Jak zawsze, za główny błąd poczytywał brak logiki, czyli nieumiejętność wyciągania prawidłowych wniosków. Prawidłowość w myśleniu, czyli zdawanie

sobie sprawy ze skutków naszych czynów, bądź też z zaniechania jakiejś czynności — nazywał stylem życia opiekuńczym, albo ojcowskim. Określenie to, jak sądzę, nie wymaga wyjaśnienia. Ojciec, to człowiek dojrzały, odpowiedzialny, mający obowiązki, nie podejmujący nieprzemyślanych działań. Styl ojcowski, opiekuńczy, zdaniem Kotarbińskiego, rozszerza horyzonty, daje powagę naszym myślom, a także sprawia, że wszystko co robimy, chociażby to były rzeczy najmniej nawet ważne, nabiera dostojności i sensu. Można bowiem, jak o tym dobrze wiemy, nawet rzeczy bardzo wielkie robić głupio, ale można także w drobiazgu okazać rzetelność i mądrość. Tylko ojcowski typ umysłu jest kulturotwórczy...

Temu typowi umysłowości przeciwstawił Kotarbiński ludzi łatwej decyzji, którzy gotowi są każdej chwili umierać. Ojciec jest odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale za swoją rodzinę. Człowiek dojrzały nie może więc mieć w sobie ani pychy, ani egoizmu, gdyż jego cel leży poza nim, jest skierowany ku przyszłości. W tym sensie dla ludzi dojrzałych żadne osiągnięcie nie jest ostateczne, ani też nie jest ostateczna żadna klęska. Śmierć, przemijanie, naturalna kolej rzeczy, którą pycha ludzi niedojrzałych wyolbrzymia i nadaje im patetyczne akcenty, jakich przyroda nie zna, gdyż wszystko co jest, jest naturalne, skoro jest... Także cierpienie nasze obecne i to wszystko, co się dzieje koło nas i z nami, jest naturalne, chociaż czasami mamy wrażenie, że tego już „wytrzymać nie można", że tak istnieć nie potrafimy, a przecież jest rzeczą oczywistą, że w takim rozumowaniu jest błąd, gdyż mimo wszystko istniejemy...

Potem mówił o szkodliwości tandety, która jest zaprzeczeniem ścisłości, dokładności i precyzji (są to pojęcia zbliżone, ale nie identyczne) i o konieczności logiki, bez której, jak powiedzieliśmy już, musimy popaść w błąd. Zdania grzeszące przeciwko logice, wywody pozbawione logiki, prowadzą do koncepcji nielogicznych, a te rodzą z kolei nielogiczne sytuacje...

Uniosłem głowę. Bywałem czasami w tym mieszkaniu. Pokój, w którym znajdowaliśmy się, był typowym przedwojennym salonem zamożnego domu warszawskiego. Na honorowym miejscu nad rozłożystą kanapą wisiał duży portret jakiegoś mężczyzny w mundurze austriackiego pułkownika z okresu sprzed pierwszej wojny światowej. Widocznie gospodarze mieli jakieś rodzinne powiązania z Galicją. Uderzał mnie zawsze wyraz twarzy tego rodzaju lokalnych antenatów. Ileż pewności siebie i spokojnej ufności w rzeczywistość miało pokolenie sprzed lat kilkudziesięciu. Jak gdyby nigdy żadne burze nie przechodziły nad tym krajem, i te salony jak gdyby nigdy nie były wstrząsane nagłymi eksplozjami. A przecież jeszcze nasze babki chodziły całe życie w czerni, a słowa „od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas Panie", miały grozę posiniałych warg i w ich ustach nie były na pewno konwencjonalnym zwrotem. Czyżby pamięć pokoleń była tak krótka? Czy po tragedii dziadków pozostał tylko cykl litografii Grottgera?

Pułkownik na portrecie miał zadzierzysty blond wąsik i spojrzenie tak jasne, że mogło się wydawać, iż tych oczu nie zamąciła nigdy żadna troska. Czy i nasze twarze oglądane na portretach przez wnuków będą budziły równie niesmaczne refleksje?

Żytni kolor wąsika harmonizował ze złoconą ramą. Wszystko w tym mieszkaniu mówiło o zamożności, oczywiście przemijającej, czy też, być może, nawet już nie istniejącej, ale w każdym razie niedawnej. Z klasowego punktu widzenia było to mieszkanie burżuazyjne. Ten sam typ społeczny reprezentowali słuchacze wykładu. Zebranie nasze nie było zbyt liczne. Unikaliśmy wtedy zebrań liczniejszych ponad kilkanaście osób. Przeważali inteligentni, młodzi ludzie; kilka panien. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać, że jest to młodzież akowska, zapewne słuchacze jakiegoś kursu tajnej podchorążówki. Ze względów konspiracyjnych maskowało się wówczas te rzeczy nawet w rozmowach prywatnych. Nikt nikogo o żadne szczegóły nie pytał. Mnie zaproszono mówiąc ogólnikowo, że będzie „grupa zaprzyjaźnionej młodzieży". To odpowiadało na pewno prawdzie.

Na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej od niedawna byli znowu bolszewicy. Klęska Niemiec nie mogła już dla nikogo ulegać wątpliwości. Była tylko kwestią czasu. Parę miesięcy, pół roku? Trudno byłoby jeszcze ustalić ścisłe terminy. Może rok. Ale szale wojny już się przechyliły. Wojsko polskie w ramach alianckiego desantu było już w południowych Włoszech. Samoloty brytyjskie i amerykańskie siały spustoszenie w Rzeszy. Zbliżała się agonia. Ale rzut oka na mapę wystarczał, aby zmierzyć odległości. — Tutaj — myślałem — wejdzie Armia Czerwona. Zapewne przyjadą jakieś alianckie misje. Ale logika sytuacji była wyraźna. Alianci zachodni musieliby przejść całe Niemcy, Rosjanie mają znacznie bliżej...

Patrzyłem po młodych twarzach słuchaczy odczytu. Czy rozumieją ten bezbłędny wykład? Czy też, jak zdarza się niemal zawsze, gdy prawdy, nawet oczywiste, nie zgadzają się z naszym marzeniem, logika okaże raz jeszcze swoją zupełną bezsilność? A jeżeli będzie tak, to czy nie myli się profesor Kotarbiński, czy logika cokolwiek znaczy, skoro człowiek kieruje się wedle jakich innych reguł? Nauka jest tylko wtedy twórcza, gdy coś naprawdę zmienia w rzeczywistości, bo jeżeli jedynie opisuje i rejestruje fakty, nie wywierając na nie wpływu...

Twarze naokoło mnie były zacięte. Nie można zaprzeczyć, że były także inteligentne. A przecież, wiedziałem to, czułem, byłem pewny, że chociaż wywód profesora Kotarbińskiego głosił niewątpliwe pewniki i nie mógł być inaczej zrozumiany, niż jako przestroga, żaden z tych młodych ludzi nie zawaha się, w żadnym z nich nie obudzą się najlżejsze wątpliwości. Więc — czysty bezsens. *Contra spem, spero*... Jeszcze jedno szaleństwo... Myślałem tak, bo miałem chwilę dziwnego rozdwojenia — roztrojenia nawet. Słuchałem słów Kotarbińskiego i aprobowałem całą ich dojrzałą mądrość, ale byłem także obok zabitego w Ale-

jach Ujazdowskich (może nawet byłem nim), a jednocześnie odchodziłem szybkimi krokami mojego młodego przyjaciela, który wzgardził wszelką filozofią. — To również — powiedziałby uczony profesor — jest naturalne, gdyż da się wytłumaczyć obiektywnymi warunkami i tak zwaną atmosferą czasu. Ale — w takim razie — gdzież była prawda?

Nad prelegentem, wysoko, wznosiła się złocona rama. Ściana ta, jak wiadomo, była zarezerwowana dla pogodnego antenata. Patrzył na nas niemal wesoło jasnym spojrzeniem swoich przeźroczystych oczu, których, rzec by można, nigdy nie pokalała myśl. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że się do nas łagodnie uśmiecha.

Posłyszałem nagle szurgotanie nogami, odstawianie krzeseł, pochrząkiwanie. Profesor Kotarbiński skończył wykład. Żegnany przez młodzież z oznakami głębokiego szacunku, ściskał silne dłonie, które się ze wszystkich stron wyciągały ku niemu. Także i on uśmiechał się przyjaźnie, ale miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Być może zdawał sobie sprawę z tego, że jego trud jest daremny. Nie można słowami powstrzymać spadającej lawiny. Nie można przy pomocy logicznego wywodu wskrzesić zmarłych, chociażby ich śmierć była najbardziej nielogiczna. Życie nie jest sylogizmem. Każdy więc pozostaje przy swoim: profesor przy tropieniu błędów w myśleniu, młodzi ludzie o zaciętych twarzach przy swoim błędnym myśleniu.

Nie zabrałem oczywiście głosu po profesorze Kotarbińskim. Ponieważ nikt z obecnych mojego nazwiska nie znał i nikt też, prócz gospodarza, nie wiedział, że miałem być drugim, ,,literackim'' prelegentem, nikt braku mojego popisu retorycznego nie zauważył. Ja zaś sam doznałem uczucia ulgi. Byłem przecież równocześnie trupem tamtego mężczyzny, a czy to rzecz słychana, by trup udawał cietrzewia i upajał się własnym głosem. Ach! jak ja wtedy nienawidziłem literatury.

Książka Zagórskiego na szczęście literaturą nie jest. W ogóle Zagórski nie jest typem literackim. Śledzę od lat tak zwane nowości dotyczące przedmiotu, to jest książki i sprawozdania, które traktują o okupacji i o Powstaniu. Napisano na ten temat masę książek złych, pretensjonalnych, prymitywnych, krygujących się. Na szczęście napisano także parę rzeczy literacko poprawnych, ale zarówno jedne, jak drugie cierpią na brak perspektywy, nie ogarniają bowiem całości powikłanej sytuacji, ukazują zdarzenia tylko w ich jednym wymiarze, mianowicie naszym, polskim, pod pewnym, ściśle określonym kątem widzenia i, jak wszystkie niemal książki polskie od paru pokoleń, mają klimat zaścianka, czyli są paseistyczne. Ta surowa ocena — spieszę dodać — dotyczy także moich ,,Opowiadań warszawskich''. Książki Jerzego Andrzejewskiego wydane bezpośrednio po wojnie w kraju, będąc dziełami niewątpliwego talentu, są sugestywne, ale mają całkowicie zwichniętą równowagę: mówią zaled-

wie część prawdy. Miłosz twierdzi (*), że zrodziły się z gniewu przeciwko pokonanym. Dodałbym, że co najmniej jedna z nich, ,,Popiół i diament'', jest także panegirykiem na cześć zwycięzców. ,,Trzeba dużo czasu zanim rozchybotana waga historii się ustoi i pozwoli pochylonym nad nią badaczom odczytać właściwy ciężar wydarzeń. Pierwsza ocena jest na ogół zwodnicza'' — zauważa słusznie Gustaw Herling-Grudziński w przedmowie do pamiętnika Zagórskiego — ,,i niemal z reguły obraca się przeciwko pokonanym, przeciwko tym, którzy przegrali''.

Cała prawda o największej naszej tragedii zbiorowej ubiegłej wojny — o Powstaniu — nie została jeszcze powiedziana. Książka Zagórskiego jest ważnym przyczynkiem do poznania tej prawdy. Będąc dziennikiem dowódcy batalionu, albo raczej — co odpowiada ściślej sytuacji — dowódcy jednej z walczących dzielnic miasta, niczym innym być nie może. Dbając o możliwie największą autentyczność, Zagórski usunął ze swojej relacji ,,wszystkie daty, fakty i okoliczności'' których nie znał i nie mógł znać w czasie Powstania. Ta metoda pracy, i tylko ona, decyduje w ostatecznej konsekwencji, czy jakaś opowieść o konkretnych wydarzeniach, w których braliśmy bezpośredni udział, jest pamiętnikiem *sensu stricto*, czy też stanowi rodzaj zbeletryzowanych wspomnień — przy czym wartość dokumentu będzie miał oczywiście jedynie pamiętnik. ,,Podczas czytania takich książek, jak ,,Dziennik powstańca'' — pisze Grudziński — ,,powstaje zawsze pytanie, gdzie jest ich miejsce w tradycyjnym katalogu gatunków pisarskich. Dokument? Kronika historyczna? Taśma fotograficzna z klateczkami noszącymi daty kalendarza? Rekonstrukcja literacka fragmentu historii?'' Wydaje mi się, że w danym wypadku pytania te są zbyteczne. Zagórski określił sam gatunek swojej książki kładąc w jej podtytule słowa: ,,Dziennik powstańca — Warszawa 1944''. Ten źródłowy charakter relacji został poparty całym szeregiem dokumentów. Są nimi, między innymi: cytaty z notatników innych uczestników tych samych wydarzeń, jakie opisuje Zagórski (na przykład kartki z kalendarzyka siostry Marii-maltanki), urywki z prasy powstańczej, zapiski znalezione przy niemieckich jeńcach, fotografie, szkic sytuacyjny terenu walki, imienny wykaz żołnierzy batalionu, teksty piosenek śpiewanych na kwaterach i wierszy napisanych w czasie bitwy. [Na przykład głośny wiersz Zbigniewa Jasińskiego (pseudonim Rudy) pt. ,,Odpowiedź gazowni'', wydrukowany w ,,Robotniku'' w dniu 17 sierpnia, lub inny, niemniej głośny, ,,Żądamy amunicji'', napisany przez Rudego następnego dnia 18 sierpnia]. Oba wiersze zostały nadane przez powstańczą radiostację ,,Błyskawica'' pod koniec sierpnia. Wiersz ,,Żądamy amunicji'' był potem przepisywany w niezliczonej ilości kopii — jak informuje Zagórski — ,,często na skrawkach papieru i krążył wśród żołnierzy na barykadach sta-

(*) Wszystkie cytaty tego autora pochodzą z jego książki pt. *Zniewolony umysł*.

jąc się bodaj najpopularniejszym wierszem powstańczej Warszawy". Takich drobiazgowych, a zarazem źródłowych informacji książka Zagórskiego zawiera bardzo dużo. Nie zawsze dotyczą one historii literatury. Pod datą 10 sierpnia, a więc zaledwie w dziesiątym dniu walki, która miała trwać dwa miesiące — kapitan Zagórski notuje :

„...na ulicę Ciepłą wtaczają się niemieckie czołgi, pędzące przed sobą liczną grupę cywilów : mężczyzn, kobiet, starców i dzieci. Przynaglani kolbami przez ukrytych tuż za nimi po bokach esmanów, podchodzą do pierwszej barykady i rozbierają ją. Nasza załoga wycofuje się bez strzału. . .

„Gdy otrzymuję o tym meldunek i zabrawszy ze sobą Grzesia dobiegam do drugiej barykady na rogu Ciepłej i Grzybowskiej, niemieckie czołgi wciąż pod osłoną cywilów mijają już koszary policyjne. Nasi chłopcy leżą przy strzelnicach jak sparaliżowani.

— Dlaczego nie strzelacie ? Strzelać !

Nie pada ani jeden strzał.

— Strzelać !

Dwóch chłopców ma karabiny. Do jednego z nich dopada Grześ i sięga po jego broń. Chłopiec strzela. Pierwsza pada młoda kobieta z niemowlęciem na ręku. Żywa osłona rozpryskuje się, jak ugodzona kamieniem tafla szkła. Z czołgów trzaskają karabiny maszynowe".

— Ot — pomyśli czytelnik współczesny, nawykły do opisów scen brutalnych — zwykła rzecz. Jeszcze jedna kobieta, jeszcze jedno niemowlę...

Otóż, właśnie, że rzecz nie jest zwykła. Wydarzenie z 10-go sierpnia ma komentarz w posłowiu.

Czytamy tam : „Z posiadanych materiałów wyeliminowałem wszystkie daty, fakty i okoliczności, których nie znałem i nie mogłem znać w czasie powstania warszawskiego. Nie wspominałem więc o tym, na przykład, że chłopiec, któremu kazałem strzelać do osłony czołgu dnia 10 sierpnia — pierwszym strzałem zabił idącą przed czołgiem własną żonę i dziecko : dowiedziałem się o tym dopiero w roku 1946 we Włoszech, od siostry Zofii-maltanki". (Łucja Laura Chobrzyńska-Kaczorkiewicz). *No comment*. Cóż tutaj dodać ? „Nie ma o czym mówić, nie istnieją właściwie słowa, a milczenie jest ponad siły". Może jakiś opasły drań napisze jednak na ten temat dydaktyczny scenariusz. Ciche życie rodzinne, jako ideał. Potępienie zbrojeń... Oczywiście — w technikolorze. Gdyby się umiejętnie zakrzątnąć, sądzę że jakieś konsorcjum filmowe byłoby skłonne zbożny pomysł sfinansować.

Zagórski swoją książkę wydał nakładem „czytelników-przedpłacicieli" staraniem Koła Nr 11 S.P.K. w Londynie. Materiały do książki gromadził przez dziesięć lat. Aby zarobić na życie pracował pięć lat na nocnej zmianie w fabryce biscuit'ów

potem jako pomocnik murarski przy obsłudze betoniarki; teraz jest malarzem pokojowym. Zastanawiam się, skąd ten człowiek, wcale nie herkulesowy, czerpał energię, aby swoją syzyfową pracę doprowadzić do końca. Wydaje mi się, że znalazłem odpowiedź. Milczenie o Powstaniu było dla niego ponad siły. Cóż znaczą wszystkie nędze, cała gorycz i upokorzenie emigracyjnej egzystencji, jeżeli wystarczy przymknąć oczy, by wywołać wspomnienie tamtych czasów i tamtego wojska. Wiele pamiętników jest, jak sądzę, ucieczką od teraźniejszości. Polskie piekło ma, jak się zdaje, niezliczoną ilość kręgów, schodzących coraz niżej. Emigracja — tak myślę — jest jednym z najniższych. Z perspektywy czasu, który spędziliśmy bezpłodnie na obczyźnie, nawet najcięższe lata w kraju wydają się nam prześwietlone jakąś radością. Chociażby — radością złudzeń. Rozumiem, że po to, aby pokazać nam swój batalion, a także żeby mu się jeszcze raz samemu przyjrzeć, warto było Zagórskiemu ślęczeć dziesięć lat nad szpargałami, zbierać, notować, pisać. Nie pytajcie o nic. Ta książka powstała z miłości.

Zgadzam się z Miłoszem, że Powstanie spełniło zastępczo i oczywiście nieświadomie, rolę rewolucji społecznej, której u nas nie było — chociaż skutki rewolucji — są faktem. Sprzeczność w tym twierdzeniu jest tylko pozorna. Rewolucja w Polsce mogła być — jak się wyrażają komuniści — „łagodna", (a była taką rzeczywiście), tylko dlatego, że w sierpniu i wrześniu 1944 roku zginęło w samej Warszawie około 100 tysięcy ludzi. Ten „dialektyczny skok", jak można by się wyrazić, poczynamy coraz lepiej rozumieć. W chwili, gdy się dokonywał, wymykał się jednakże niemal całkowicie spod kontroli naszych umysłów: ani ci, którzy podjęli decyzję Powstania, ani ci, którzy w Powstaniu ginęli, nie zdawali sobie sprawy z logiki wydarzeń, z prostego następstwa przyczyn i skutków. To czyni z Powstania warszawskiego tragedię w najbardziej klasycznym znaczeniu tego wyrazu: ludzie nie mieli tu już nic do powiedzenia, ich los był tragiczny właśnie dlatego, bo był nieuchronny; został rozstrzygnięty poza ich świadomością. To stanowi też, jak sądzę, o odrębności wydarzenia i sprawia, że nie ma podobieństwa między Powstaniem Warszawskim a innymi bitwami, chociaż — oczywiście — było wiele bitew niemniej krwawych i niemniej zaciętych. „Prawdopodobnie to tylko jest naprawdę coś warte" — zauważa Miłosz — „co zdolne jest istnieć dla człowieka w chwili, kiedy jest on zagrożony natychmiastową śmiercią". Wszyscy wówczas byliśmy w taki sposób zagrożeni; „...dzieło ludzkiej myśli" — twierdzi dalej Miłosz — „powinno wytrzymać próbę brutalnej, nagiej rzeczywistości". Nasze ówczesne myśli były nielogiczne, ale — próbę taką wytrzymały. Czy były „naprawdę coś warte"?

Chciałbym porozmawiać o tym z profesorem Kotarbińskim. Przez lata ubiegłe nie uroniłem nic z odczytu przy ulicy Kredytowej. Czas w Polsce wolno płynie. Widzę profesora wciąż pod portretem tamtego blondasa z nasrożonym wąsikiem. Nadal niepokoi mnie jego zbyt pewny siebie wyraz twarzy i przeźroczyste

spojrzenie oczu nie zmąconych myślą, patrzących ufnie w przyszłość. Twarz profesora, jak zawsze ascetyczna, tylko nieco postarzała, kontrastuje tym bardziej z pogodną niefrasobliwością jego zawsze obecnego, milczącego słuchacza. Miasto spaliło się, on najwidoczniej ocalał. Tylko młodzieńców, którzy z taką atencją szurgali nogami przed uczonym profesorem, nie ma już. Zdaje mi się, że słyszę komendę ,,strzelać!''. Pewnie się pozabijali. Zagórski opowiedział, jak się to stało.

Dowcipy historii są zwykle krwawe. Przysłowie ludowe nazywa takie sytuacje wyciąganiem dla kogoś kasztanów z ognia. Śmieszna jest pretensja potem do tego kogoś. Miłosz, który jak wszyscy dobrzy poeci posiada umiejętność ścisłego myślenia, stawia kropkę nad i: ,,Nie widać żadnych logicznych powodów, dla których Rosjanie mieliby pomagać Warszawie... (W czasie Powstania Warszawskiego — przypisek mój). Za udzieleniem pomocy mogłaby więc przemawiać tylko litość dla ginącej milionowej ludności miasta. Litość jest jednak uczuciem zbędnym tam, gdzie przemawia historia''. Także ta uwaga, niestety, jest słuszna. Niech Czytelnika nie dziwi upór, z jakim gromadzimy tu argumenty przeciw. Trzynaście lat, jakie nas dzielą od Powstania, to okres dosyć już długi, by podjąć trud spojrzenia na wypadki nieco bardziej obiektywnie, w ich — że się tak wyrazimy — dialektycznym rozwoju. ,,Nie lękając się, że ściągniemy na siebie zarzut pedanterii, skłaniamy się raczej ku poglądowi, że prawdziwie zajmujące jest tylko to, co gruntowne''. To zdanie Tomasza Manna z jego wstępu do ,,Czarodziejskiej góry'' pragnęlibyśmy uczynić naszą dewizą. Tamta książka była także obrachunkiem. Mann usiłował w niej poruszyć zastoiny myślowe, nagromadzone ,,przed pewną granicą, przed pewnym punktem zwrotnym''. Dla Manna ,,granicą'' była pierwsza wojna światowa. Dla naszego pokolenia, zwłaszcza w Europie środkowej i wschodniej, granicą taką stała się druga wojna światowa. Wydarzeniem ubiegłej wojny, najbardziej brzemiennym w skutki, było dla nas Powstanie Warszawskie. Czyż nie jest rzeczą słuszną, że ten ,,punkt zwrotny'' pragniemy możliwie dokładnie poznać? Książka pułkownika Rzepeckiego i pojawiające się w ostatnich miesiącach w kraju coraz liczniejsze wspomnienia z Powstania i artykuły na ten temat świadczą, że dramat warszawski żyje w świadomości narodu.

,,Teraz rozumiem lepiej'' — pisze Grudziński — ,,dlaczego komuniści zaczęli wkrótce po wojnie swoje dzieło systematycznego zniesławiania Armii Krajowej i powstania warszawskiego od ataku na conradowską filozofię męstwa i godności ludzkiej. I nie dziwię się im, że dziś tego żałują. Zantagonizowali raz na zawsze młodzież akowską, zranili boleśnie to, co w niej było i jest nadal najlepszego''. Znużony pobytem w najniższym z kręgów piekła, wsłuchuję się tym uważniej w odgłosy dochodzące z kraju. Wiele znaków na ziemi i niebie wskazuje, że sprawa, którą można by nazwać w skrócie ,,*Zagórski contra Kotarbiński*'', trwa. Czy obecni uczniowie profesora są pojętniejsi?

Spotykam często młodych ludzi, przyjeżdżających obecnie z kraju do Londynu. Uważnie patrzę w ich oczy. Nie mają takiego przeźroczystego spojrzenia. Jest w ich wzroku coś, co w pierwszej chwili robi nawet wrażenie przykre. Co? Jakaś skrytość, przesłonięta maską niedomówień, jakiś cień, obecny nawet w uśmiechu. Byłoby uproszczeniem mówić tutaj o cynizmie. Może to jest zalążek myśli? To napawa mnie optymizmem. Chciałbym bardzo, aby książka Zagórskiego dotarła do nich. Dla nich właściwie została napisana.

A inni protagoniści tragedii? Wydaje mi się, że blondas z nasrożonym wąsikiem przebywa obecnie w Londynie. Nie nosi już munduru, ale jest znakomicie ubrany i nadal — uśmiecha się. Bywa na wszystkich akademiach, świętach pułkowych, nabożeństwach żałobnych i balach. Przyjął już, albo przyjmie niebawem brytyjskie obywatelstwo. Z Zagórskim (ani ze mną) stosunków nie podtrzymuje. Co robi — nie wiem. W każdym razie trosk materialnych nie ma. Podobno zatrudniają go w jakimś komitecie. Dla niezmąconego wzroku zapewne. A może dla zadzierzystego wąsika.

Wiesław *WOHNOUT*

Istotne uspołecznienie

Jan Wolski to jedna z najwybitniejszych postaci spółdzielczości polskiej. To szeroka wiedza wsparta umiejętnością rzetelnej obserwacji. To charakter. Ma on poza tym jeszcze niepospolitą zaletę. Umie opierać swe projekty o grunt realny, o istniejącą rzeczywistość. A spółdzielczość — to nie teoria, to organizacja „zaradności" ludzkiej — zaradności, która ma do czynienia z danymi warunkami i w takich a nie innych warunkach rozwija działalność, której celem jest stworzenie podstaw do jak najlepszego wykorzystania owoców swej pracy, lub najdogodniejszego zdobywania środków materialnych potrzebnych do życia w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Specjalność Wolskiego — to najtrudniejszy dział spółdzielczości — spółdzielczość pracy, której losy w Polsce dziwnymi chadzały drogami. Dziwnymi, powiadam, bo liczba zarejestrowanych spółdzielni pracy w Polsce była znikoma, należały one

Jan Wolski, *Spółdzielczy samorząd pracy,* Warszawa, 1957, Biuro wydawnictw Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy, Str. 210.

do różnych związków i walczyły z niesłychanymi trudnościami, podczas gdy niezarejestrowane i przyjętymi zwyczajami rządzone spółdzielnie „holendrów" (*), robotników ziemnych z okolic Brześcia, oraz „maszopstwa", czy maszoperie rybaków nad morzem i nad jeziorami trwały przez pokolenia wśród ludności i zdołały nie tylko się utrzymać, ale i wykształcić pewne formy ubezpieczenia dla swych członków oraz wdów i sierot po nich.

Kraj stanął obecnie wobec nowej rzeczywistości. Spółdzielczość pracy dostała poparcie ze strony sfer oficjalnych — dostała warsztaty, kredyty... Ile jest w Polsce spółdzielczych placówek? Jakie przedsiębiorstwa prowadzą? Jakie są wyniki ich pracy? Jakich zarobków dostarczają swym członkom? Jakim majątkiem rozporządzają?

Czytelnik spostrzega ze zdumieniem, że autor zupełnie pomija tę sprawę. Pomija to, co stanowi najbardziej zasadniczy moment opisu samego zjawiska spółdzielczości. Książka Jana Wolskiego jest pod tym względem po prostu unikatem. Czyżby brakło materiału statystycznego? Być może. Ale gdyby nawet i był...

Wolski tak charakteryzuje spółdzielnie dziś istniejące. Przede wszystkim pisze:

> „Obecnie na cele przedsiębiorstwa składają się cele właściciela uzupełnione i uzgodnione z uzgodnionymi między sobą celami różnorodnych miarodajnych czynników, zainteresowanych w działalności danego przedsiębiorstwa i na tej podstawie ingerujących w jego sprawy. Przy czym — podkreślam to z naciskiem — cele dodatkowe... są nadrzędnymi".
>
> „W ustroju poprzednim troska i dbałość o zapewnienie przedsiębiorstwu niezbędnych środków finansowych... była sprawą prywatną samego właściciela. W ustroju obecnym jest to wspólna sprawa zarówno właściciela jak i (przede wszystkim) państwa oraz innych czynników zainteresowanych. Rola państwa, jako czynnika który planuje, dysponuje a nawet finansuje aktywność przedsiębiorstw spółdzielczych, jest w tych sprawach z natury rzeczy przesądzająca i zwalnia spółdzielnię jako nominalnego właściciela od wielu najcięższych trudności finansowych".
>
> „... w obecnym ustroju inicjatywa zakładania przedsiębiorstw spółdzielczych i sprawa wyposażenia ich w niezbędne środki należy nie do tych, którzy spółdzielnie formalnie zakładają i stają się ich członkami, lecz do czynników odgórnych, a przede wszystkim od państwa... Wprawdzie spółdzielnia pracy przyczynia się także częściowo do finansowania rzekomo własnego przedsiębiorstwa. Ale z wyjątkiem wypadków, kiedy spółdzielnia pracy powstaje na dość sztucznej... bazie likwidujących się przedsiębiorstw prywatnych, kapitałowe wkłady członkowskie są tam zawsze tak drobne, że nie przedstawiają dla przedsiębiorstwa poważniejszego znaczenia i mają w rzeczywistości znaczenie raczej symboliczne".
>
> „Wprawdzie... spółdzielnia sama prowadzi swe przedsiębiorstwo. Lecz działalność jej polega na ścisłym wykonaniu zlecanych, względnie zatwierdzanych przez państwo zadań".

(*) Nazwa tych „holendrów" pochodzi od autentycznych Holendrów sprowadzonych w te okolice jeszcze w wieku XVIII do kopania kanałów.

„Dawniej spółdzielnie powstawały i likwidowały się z woli swych członków. W ustroju obecnym formalnie jest to samo. Ale faktycznie zarówno powstawanie spółdzielni jak i ich likwidacja nie są już wyrazem zbiorowej zaradności ogółu, lecz realizacją odgórnych decyzji... Gdy na przykład czynniki miarodajne uznają za wskazane, by przedsiębiorstwo należące do spółdzielni zmieniło swego właściciela, odbywa się formalnie dobrowolna, lecz faktycznie nakazana likwidacja, w wyniku której... przedsiębiorstwo przechodzi na własność instytucji wskazanej przez czynniki, na życzenie których odbyła się likwidacja".

To chyba zupełnie wystarczy. Spółdzielnie dziś — to tylko nazwa, którą z jakichś powodów podobało się przyjąć w danym wypadku czynnikom miarodajnym. O takich spółdzielniach pisać nie warto.

Toteż, gdy Wolski mówi o doświadczeniach spółdzielczości, o kształconych przez nią metodach, musi opierać się o wzory — obce i do tego wzięte ze społeczeństw o ustroju „kapitalistycznym". Materiał polski jest słaby i nie opracowany. Trzeba opierać się o spostrzeżenia poczynione na przykładach rosyjskich „artieli" (sprzed pierwszej wojny) oraz na bardzo poważnych osiągnięciach włoskich spółdzielni pracy.

I tu trafiamy znów na niespodziankę, ale już innego rodzaju.

Wolski — sam twórca znakomitej biblioteki poświęconej temu zagadnieniu — obecnie, pisząc, posługuje się jedynie — pamięcią. To co zgromadził w ciągu kilku dziesiątków lat — przepadło w czasie powstania. I oto władza jakoby proletariacka nie zdobyła się na drobny stosunkowo wysiłek odrestaurowania tej biblioteki. Po prostu przeszła do porządku dziennego nad doświadczeniami ruchu robotniczego w tej dziedzinie. Podejmując się zadania przebudowy ustroju zadowolniła się skonfiskowaniem warsztatów pracy pozostawiając w nich całość burżuazyjnej struktury, obciążając ją w sposób niesłychany rozbudowanym aparatem kontrolnym, administracyjnym i policyjnym, odbierając przedsiębiorstwom ich elastyczność.

I tak — tę spółdzielczość, tę jedyną znaną dotąd ludzkości formę istotnego uspołecznienia życia gospodarczego w Polsce trzeba nie odbudowywać, ale budować na nowo od podstaw. Okres lat dwunastu został stracony — niszczył on to, czego nie zdołała zniweczyć nawet wojna.

Wolski oddziela zupełnie słusznie pojęcie spółdzielczości od przedsiębiorstwa spółdzielczego. I to stanowisko obowiązuje nie tylko w stosunku do spółdzielczości pracy — ale dla każdej. Spółdzielnie bardzo często, a nawet przeważnie, posługują się kapitalistyczną formą przedsiębiorstwa. Spółdzielnia mieszkaniowa na przykład buduje domy z reguły przy pomocy pracy najemnej. Najemny jest kierownik budowy i cały jego personel, najemnikiem jest robotnik. Spółdzielnia użytkowników więc w tym wypadku posługuje się przedsiębiorstwem kapitalistycznym. Przedsiębiorstwo nabiera charakteru społecznego, gdy cała praca w nim zostaje powierzona spółdzielniom, a więc gdy znik-

nie najem. Gdy po plan budowy będzie się zwracało do spółdzielni architektów, gdy ta ostatnia, pobierając należność za dzieło, wydeleguje swego członka do kierowania robotami. Gdy znów inne spółdzielnie — murarzy, stolarzy, cieślów, ślusarzy, blacharzy, szklarzy itd., znów na podstawie umowy o dzieło, delegują odpowiednie grupy swych członków, którzy przyjmując odpowiedzialność za jakość i termin wykonanej pracy, same poręczą jej dyscyplinę we własnym interesie. Praca przestanie być wtedy sprawą najmu, sprawą umowy z jednostką — stanie się sprawą samorządnych zespołów, które dzielą i wysiłek i wynagrodzenie według własnego samorządnego postanowienia. Wydatki na nadzór znikają, kontrola sprowadza się do odbioru gotowego dzieła.

Postawą organizacji pracy winny być, według Wolskiego, nieliczne zespoły jednofachowe: murarzy, inżynierów, księgowych itd. Zespoły tak nieliczne, by każdy w każdej chwili mógł odbyć naradę. Zespoły owe federacyjnie łączą się albo z równorzędnymi, wykonywującymi tę samą pracę (w fabryce, budowie, robotach ziemnych) albo współpracują w składzie różnofachowym. Federacja wszystkich grup uzupełniona przez podobną federację użytkowników czy spożywców wyłania dopiero zarząd całości przedsiębiorstwa. W ten sposób powstaje samorząd pracy, w którym reprezentowani są wszyscy zatrudnieni — nawet przez kilko-stopniowe federacje. Fachowość kierownictwa zapewnia fakt, że kierowników działów, czy zakładów mogą dostarczać jedynie spółdzielnie odpowiednich fachowców, posiadających obiektywne kwalifikacje naukowe oraz doświadczenie wykazane i sprawdzone przez współczłonków-spółdzielców. Pobudką do wysiłków zawsze będzie to, że wszystkim członkom zależeć będzie na dobrym i szybkim wykonaniu każdej roboty, gdyż każde uchybienie odbija się na wszystkich.

Wolski, rozporządzający bardzo szerokim materiałem obserwacyjnym, zwraca szczególną uwagę na wyrobienie zgodności działania takich zespołów spółdzielczych. Idąc za doświadczeniem, zwłaszcza włoskich spółdzielni, kładzie mocny nacisk na rozbudowę arbitrażu, który by szybko i stanowczo likwidował każde nieporozumienie.

W ten sposób powstaje istotny samorząd, złożony z czynnych komórek społecznych — samorząd zdolny ponosić odpowiedzialność za przedsiębiorstwo. Realizuje się postulat ułożenia warunków w ten sposób, by wspólne dobro — było jednocześnie dobrem jednostki. Strażą wykonywania pracy dla powszechnego dobra staje się własny interes. Praca najemna, wytworzona przez kapitalizm przestaje istnieć — upada też zależność najmity od przedsiębiorcy — podwładnego od patrona.

Wolski domaga się, by wszyscy obywatele zostali zorganizowani w spółdzielnie pracy i — jako spożywcy — w spółdzielnie użytkowników wszelkiego rodzaju. Według jego schematu każdy człowiek należałby do szeregu spółdzielni — zależnie od swoich potrzeb i zainteresowań.

Można by tę myśl doprowadzić do absurdu. Można by wpisać każdego do kilkunastu spółdzielni — mieszkaniowej, spożywczej, księgarskiej, szkolnej, teatralnej, koncertowej, filatelistycznej itd., itd. — bez końca. Nie trzeba jednak rzeczy przyjmować totalistycznie. Wolski daje próbę rozstrzygnięcia zagadnienia uspołecznienia i podaje wzory, które zdały egzamin. Jego projekt jest złożony i to stanowi jego zaletę, bo złożone jest także życie ludzkie. Jego projekt jest plastyczny — może się bowiem przystosować do każdej formy; jest elastyczny — może być w szczegółach różnopostaciowy.

Czy da się go wprowadzić w czyn jednym zamachem? Bodaj że nie. Bo wymaga wyrobienia, które daje samo życie i — poniesione cięgi. Ale dobry przykład — zdrowych komórek spółdzielczych — nastrajają nas raczej optymistycznie.

Bardzo ciekawy jest wstęp, którym książkę Wolskiego zaopatrzył mgr. Tomiczek. Dużo w nim jest kurtuazji i sporo szczerego uznania. Ale... gdzie w tym wszystkim miejsce dla... partii? A no — nie ma. Naprawdę nie ma. Jeśli ktoś twierdzi, że celem owej „partii" jest uspołecznienie — to po wprowadzeniu w życie tego uspołecznienia — cel zostaje osiągnięty. I partia jest niepotrzebna. Ale jeżeli celem jest samo istnienie i władanie — wtedy — staje się ona kulą u nogi społeczeństwa. I nie tylko staje się — ale — jest.

A. UZIEMBŁO

Odkłamanie marksizmu

W Paryżu ukazał się pierwszy numer nowego dwumiesięcznika „historycznego i krytycznego" *Le Contrat social* (1); zawiera on między innymi artykuły Raymond Arona, Aimé Patri, dwa studia o Polsce: „Polska droga do socjalizmu" L. Labedza oraz „Kuracja prawdy w Polsce" Alfreda Zaubermana. Artykuł wstępny poświęcony jest „odkłamaniu marksizmu": podkreśla on „zdumiewającą wulgarność dyskusji, w których z obu stron tylu dyskutantów miesza Marksa z marksizmem, nie potrafi rozróżnić marksizmu od leninizmu, jednego i drugiego od stalinizmu, a słomy słów od ziarna rzeczy".

Zawartość artykułów zdaje się wskazywać, że impuls do powstania miesięcznika dały w dużej mierze dwie ostatnie rewolucje: węgierska i polska. Jeden z artykułów, którego autorem jest historyk komunizmu i titoizmu, Branko Lazić, zastanawia się, w świetle rewolucji węgierskiej, nad terminologią

(1) Wydaje Institut d'Histoire Sociale, 165, rue de l'Université, Paris (7). Pismo proponuje wymianę wszystkim wydawnictwom zagranicznym, które o to poproszą.

kontrrewolucji u Lenina. Już dla Lenina kontrrewolucją było wszystko co zwrócone było przeciw jego władzy, jak na przykład komuna kronsztacka w 1921. Rewolucja węgierska zadała cios jeszcze jednej tezie Lenina, sformułowanej już w 1902, a mianowicie o niemożliwości rewolucji spontanicznej i o konieczności istnienia „rewolucjonistów zawodowych". Gdy masy wyszły na ulicę, pisze Lazić, potentaci budapeszteńscy zachowali się dokładnie tak samo jak car Mikołaj II w dniu 25 lutego 1917: „Rozkazuję, aby jutro rozruchy ustały". A wreszcie autor cytuje nie bez złośliwości jeszcze jedną zbankrutowaną tezę, bardzo rozpowszechnioną na Zachodzie w ciągu ostatnich dziesięciu lat, a wyrażoną w sposób naukowy przez uczonego statystyka francuskiego Alfreda Sauvy: „W danym kraju, w którym komunizm został zaprowadzony gwałtem, cała opinia będzie komunistyczna w przeciągu jednego pokolenia; oznajmienie że jest ona komunistyczna już teraz to tylko antycypacja".

Z artykułów o charakterze bardziej ogólnym Aimé Patri zastanawia się na marginesie książki amerykańskiego autora K.R. Poppera *The Open Society and Its Enemies* nad aktualnością polityczną Platona. Książka Poppera jest oskarżeniem Platona o antydemokratyzm a nawet o rasizm. Nie podobna oprzeć się wrażeniu, że Popper wziął na serio tezę Rosenberga (*Mit XX stulecia*), według której Sokrates był oczywistym semitą a Platon szlachetnym rasistowskim aryjczykiem i że uznał wobec tego Sokratesa za sojusznika a Platona za wroga zachodnich demokracji (pierwsze wydanie książki ukazało się w 1947). Rzeczywistość jest, jak zwykle, bardziej skomplikowana, tym bardziej że myśl Platona ewoluowała. I tak, w *Rzeczypospolitej* twierdzi on, że tylko tyrania jest gorsza od demokracji, ale w *Politykosie* napisanym po przykrych doświadczeniach z oświeconym absolutyzmem w Syrakuzach, przyznaje, że demokracja jest być może „najlepszym z niedoskonałych systemów". Gdyby Platon rozwinął szerzej ten punkt, przyznając że nie może istnieć wśród ludzi system doskonały, to — dodaje Patri — mógłby nam był dać „pesymistyczną" obronę demokracji w rodzaju tej, którą nam proponuje dziś Jeanne Hersch w swej świetnej książce *Idéologies et réalité* (2).

W artykule, pióra Leona Emery, który zapewne jest programowym, jako że nosi tytuł *Umowy społecznej*, znajdujemy studium początków socjologii, której genialnym prekursorem był Rousseau. Emery przeciwstawia zresztą *Umowie społecznej*, którą sam Rousseau nazywał później książką nieudałą, bardziej dojrzałe i mniej dogmatyczne utwory późniejsze, jak na przykład „bardzo ciekawe *Uwagi nad rządem Polski* (w których) widzimy Rousseau realistę, pełnego niuansów, nieraz bliskiego Montesquieu... szanującego praworządność, potępia on tam wojnę domową, doradza Polakom system zdecentralizowany, oparty na tradycji, który mógłby przystąpić do wyzwolenia chłopów pańszczyźnianych stopniowo, bez żadnej decyzji radykalnej czy pospiesznej... Rousseau rozumiał, że Polska nie jest Genewą ani Spartą (3) i że nie można jej ujmować osobno od historii Polski, tak jak odbija się ona w obyczajach i instytucjach". Miejmy nadzieję, że przykład *Uwag* będzie mógł się wkrótce ukazać w Polsce.

---

(2) Autoryzowany przekład ukazał się nakładem „Kultury" pt. *Polityka i rzeczywistość*.

(3) Genewa jako symbol purytańskiej dyktatury Kalwina, który zmuszał obywateli, by byli dobrzy.

„OJCIEC MARKSIZMU ROSYJSKIEGO"

Pod tym tytułem *Le Contrat social* poświęca następujące krótkie wspomnienie J. Plechanowowi: „Urodzony 8 grudnia 1856 w dobrach swej rodziny w Gondałowce (gubernia Tambow), zmarły 30 maja 1918 w Finlandii Jerzy Plechanow uważany jest za „ojca marksizmu rosyjskiego". Już w 1904 zajął stanowisko przeciw Leninowi, swemu uczniowi, któremu przeciwstawiał się coraz bardziej stanowczo podczas rewolucji 1905, podczas wojny 1914, podczas rewolucji 1917 i aż do ostatniego tchu. Mimo to 11 grudnia 1956 miało miejsce w „Bolszym Teatrze" w Moskwie uroczyste zebranie „poświęcone stuleciu urodzin pierwszego propagandzisty marksizmu w Rosji, wybitnej osobistości ruchu robotniczego rosyjskiego i międzynarodowego" w obecności sztabu partii komunistycznej. Niejaki M.B. Mitin, do niedawna służalczy rzecznik Stalina, przedstawił sprawozdanie o „Historycznej roli G. W. Plechanowa w ruchu robotniczym rosyjskim i międzynarodowym" (*Prawda*, 12 grudnia 1956). Trudno sobie wyobrazić gorszą zniewagę dla pamięci bezkompromisowego wroga bolszewizmu.

„Socjaldemokraci rosyjscy na emigracji, wydający pismo *Socjalisticzeskij Wiestnik* zachowali z początku milczenie o rocznicy. Umieścili jednak wreszcie, w numerze marcowym, ciekawy choć nasuwający wątpliwości, artykuł B. Nikołajewskiego „Wokół stulecia G.W. Plechanowa", analizujący pobudki komunistów i starający się wykryć ich ukryte myśli w związku z obchodem rocznicy. W *Revue socialiste* wychodzącej w Paryżu, Mme Georges Batault, córka Plechanowa, przedrukowała dwa artykuły swego ojca, napisane w 1917 i w 1918 dla zaprotestowania przeciwko zamachowi bolszewickiemu, przeciw samowładnemu rozwiązaniu Konstytuanty i przeciw terrorowi sprawowanemu przez grupę będącą w mniejszości. „Socjalizm w ogóle a marksizm w szczególności, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego", oświadcza Plechanow w drugim artykule. Taktyka Lenina „jest taktyką Bakunina a w wielu wypadkach taktyką Nieczajewa", przeciwną teoriom Marksa i Engelsa. I przypomina on swą odpowiedź Wiktorowi Adlerowi, który mu powiedział: „Lenin jest waszym synem", pół żartobliwie a pół poważnie. „Jeżeli jest moim synem, to z pewnością nieprawym"...

Wreszcie w londyńskim *The Listener* (27 grudnia) można znaleźć doskonały komentarz I. Berlina zatytułowany „Ojciec rosyjskiego marksizmu". Życie, idee, prace i zasługi Plechanowa są tam omówione bardzo trafnie, włącznie z „całkowitą opozycją wobec Lenina" i z obchodem stulecia w ZSSR. I. Berlin cytuje przepowiednię zmarłego, który napisał: „Gdyby socjalizm został narzucony siłą, to doprowadziłby do potworności politycznej równej cesarstwu chińskiemu lub peruwiańskiemu, do despotyzmu carskiego odnowionego w szacie komunistycznej" (Plechanow okazał się dobrym prorokiem i w innych okazjach, jak na przykład w 1903, kiedy to po rozłamie na bolszewików i mienszewików powiedział o młodym Leninie: „Z tego ciasta robi się Robespierrów". I nieco później, gdy w swoim *Dzienniku socjaldemokraty* przepowiedział, że bolszewicy ewoluować będą w ten sposób, że na koniec „wszystko będzie się obracać wokół jednego człowieka, który *ex providentia*, złączy w sobie wszelką władzę").

„O ile nam wiadomo żadne inne studium godne uwagi nie wyróżniło stulecia Plechanowa. Obserwacja ta mówi wiele o obecnym stanie socjalizmu

w płaszczyźnie intelektualnej (I. Berlin nie jest socjalistą). Ale mówi on jeszcze więcej o wartości komentarzy, które identyfikują od ćwierć wiek w świecie zachodnim komunizm stalinowski z marksizmem.

„Plechanow stworzył w 1883, w Szwajcarii, pierwszą grupę marksistowską rosyjską, „Wyzwolenie pracy", wraz z rewolucjonistami pochodzącym tak jak i on z partii „Narodna wola": P. Axelrodem, W. Zasulicz, L. Deutschem i W. Ignatowem. Gdy w 1900 roku stworzono *Iskrę*, komitet redakcyjny obejmował, obok Lenina, trzech pionierów marksizmu rosyjskiego Plechanowa, Axelroda i Zasulicz, oraz Martowa i Potresowa. Otóż pięci z tych doktrynerów marksizmu przeciwstawiło się szóstemu już w trzy lat później, i to w imię marksizmu. Plechanow, Axelrod, W. Zasulicz, Martow i Potresow zwalczali Lenina aż do końca życia. Zarówno jedni jak i drudz uważali się za najlepszych interpretatorów i kontynuatorów Marksa. Lecz dziwne jest, że zachodni „burżuje", nie zdolni do zorientowania się w tych sporach, przyznali dyplom prawowiernego marksisty Leninowi wbrew opinii Plechanowa i jego towarzyszy, którzy wprowadzili marksizm do Rosji. Ale ostatecznie u Lenina były jeszcze jakieś resztki marksizmu. Nic z tego nie pozostało u Stalina i u jego pomocników, których nieświadomi sprawy a oszukani przez terminologię uparcie uważają się za „marksistów". To pójście na rękę życzeniom stalinistów przez całkowite przyjęcie ich tez zasługuje na osobne studium".

Wymieniwszy następnie francuskie wydania Plechanowa autor dodaje: „Każdy, kto zada sobie trud zajrzenia do tych dzieł, zobaczy, że nie ma absolutnie nic wspólnego między teoriami rosyjskiego marksisty a współczesnymi praktykami komunistycznymi. Nie oznacza to bynajmniej, oczywiście, aby Plechanow był ponad wszelką krytykę: jego „materializm historyczny" podlega tym samym zastrzeżeniom co materializm Marksa i Engelsa i zasługuje nieraz na surowsze odparcie. Ale lektura jego dzieł jest zawsze ciekawa i pobudzająca umysłowo, jego intelektualna uczciwość zmusza do szacunku i nie można mu odmówić wybitnego miejsca w historii poglądów społecznych w Rosji. Epigoni jego epigonów zasługują na całkiem inny rodzaj dyskusji".

(*v.*)

Zbłąkany idealista

Wydanie broszury Ignacego Fika „O żywą treść demokracji" (1) było chybionym przedsięwzięciem. Ogłoszone niedawno w „Twórczości" (11/56) wspomnienie o Fiku budzi szczerą sympatię dla autora broszury. Nie pozwala to jednak zamknąć oczu na jej poważne niedomagania. Losy życia Fika, jego postawa intelektualna i moralna, a również okoliczności śmierci, przypominają pod niejednym względem Christopher Caudwella autora „Illusion and Reality" oraz „Studies in a Dying Culture". Spadek pisarski Fika nie dorasta natomiast do spuścizny Caudwella.

Fik pisał swą broszurę w 1938 roku i bronił wówczas parlamentarnej demokracji przed atakami ideologii semi-faszystowskiej i totalitarnej. Ta część jest przestarzała. Część konstruktywna natomiast jest niedojrzała, w najlepszym razie stanowi konglomerat dobrych intencji i werbalnych rozwiązań zawieszonych w społecznej i historycznej próżni.

W świetle doświadczeń ,,stalinowskiej demokracji'' zalecenia Fika brzmią nadto jak nawoływania do powtórzenia zmory stalinowskiej. Albowiem w szkicowanym przez niego systemie pełnej demokracji ,,technika powoływania i wykonywania władzy jest rzeczą wtórną i względną'', a kontrola nad rządem sprowadzona jest do ,,odpowiedniej atmosfery'' i ,,odpowiedniego napięcia uczuciowego''. Demokracji nie realizuje się, według Fika, w ramach określonych instytucji, lecz jakiegoś ,,intuicyjnego planu'' dającego gwarancję, iż przywódcy są ,,zespołem najlepszych indywidualności''. Podobnych zaleceń nie dałoby się w ogóle sformułować jako zasad konstytucjonalnych. Jako opis pewnych faktycznie istniejących systemów politycznych charakteryzują one trafnie systemy totalitarne a nie demokratyczne. Nasuwa się przypuszczenie, iż ulegając ,,złudzeniu epoki'' Fik miał przed oczyma Rosję Sowiecką, znaną mu tylko z drugiej ręki i odległego punktu obserwacji, oraz Rosję Stalina brał za wzór niedościgniony, gdy kreślił plany naprawy demokracji parlamentarnej w duchu socjalizmu. W 1938 roku można było podobny błąd popełnić, lecz wydanie broszury Fika w 1957 roku zdumiewa brakiem intelektualnej orientacji.

Gdy przed dwoma miesiącami oceniłem ujemnie inną pozycję biblioteczki ,,Po Prostu'', ,,Praworządność - Sejm'', jej autor Stanisław Ehrlich, poczuł się tym dotknięty (Po Prostu 14/51). Jeżeli w przeszłości nalepiłem mu etykietkę ,,lewicowego komunisty'', a w recenzji nazywam go ,,zakutym stalinistą'', stwierdzał S. Ehrlich, z moimi ocenami musi być coś nie w porządku. Ten zarzut nie jest uzasadniony, gdyż przynależnością S. Ehlicha do wspomnianych grup wcale się nie zajmowałem. Z faktu, iż w artykule ,,Ideologia Lewicy Marksistowskiej'' cytowałem wypowiedź Ehrlicha jako przykład jawnie błędnego rozumowania, nie wynika przecież, że zaliczyłem go do marksistowskiej lewicy, a w recenzji broszury ,,Praworządność - Sejm'' nie nazwałem go ,,zakutym stalinistą''. Broszurę Ehrlicha przenikają ,,stalinowskie opary'', pisałem w recenzji, przez co rozumiałem nawyki myślowe przeszłości, zastępowanie realnych zagadnie: — pseudoproblemami, rzeczywistości — światem fikcji. W takim postępowaniu znajduje wyraz istota stalinizmu w dziedzinie myśli. Pozostałą część listu Ehrlicha lepiej pominąć milczeniem, gdyż nie jest przykładem najlepszych obyczajów polemicznych.

Zbigniew JORDAN

---

(1) Biblioteczka ,,Po Prostu'', Nr 8, str. 47. Książka i Wiedza, 1957.

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE

TABORSKI (Bolesław). *Czasy mijania.* Poezje. Str. 70. (Nakładem Drukarni Polskiej White Eagle Press Ltd., Londyn, 1957).

BRIDGE (Ann). *Postój w Budapeszcie.* Powieść. Tłum. M. Ostoja. Str. 317. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. ,,Veritas". Tom XXXII Serii Czerwonej Biblioteki Polskiej, Londyn, 1957, cena 15 sh.).

ZAGÓRSKI (Wacław) (Lech Grzybowski). *Wicher Wolności* Dziennik Powstańca. (Przedmowa G. Herling - Grudzińskiego. Str. 392. (Nakładem czytelników-przedpłacicieli. Skład Główny: Wacław Zagórski, 33, Disgrowe Rd., London, W.6, Londyn, 1957, cena fr. 1.500 (30 sh., dol. 4,50).

BUDEK (Mieczysław). Research Associate in International Civil Aviation, Harvard University. *Turkish Commercial Aviation.* Str. 379-478. Przedruk z ,,The Journal of Air Law and Commerce" Harvard University, Boston, Mass., 1957).

PIOTROWSKI (Tadeusz). *Linory ty.* Z tekstem Stanisława Gliwy Wydawnictwo artystyczne. Tek zawiera kartę tytułową i 17 lino rytów na oddzielnych kartach sygnowane odręcznym podpisem autora. (Nakładem i drukiem Ofi cyny Stanisława Gliwy, Londyn 1955).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Obó wszystkich świętych.* Str. 46 (Wyd. Libella, Paryż, 1957, cen fr. 000).

GROBICKI (Jerzy). *Szlakiem bojo wych pradziadów.* Wspomnienia żołnierzach polskich na emigrac w latach 1831-1878. Str. 200. Ilu stracje autora. Tom XXXI ser czerwonej ,,Biblioteki Polskiej" (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. ,,Ve ritas", Londyn, 1957, cena 1 sh.).

XXX-lecie ,,Wiadomości". Prac zbiorowa 38 autorów. Zebrał ułożył Tymon Terlecki. Str. 20 (bibliografia i 9 ilustracji). (Na kładem ,,Wiadomości", Londyn 1957).

WYDAWNICTWA ZACHODNIE

KNAPP (Stefan). *The Square Sun.* An autobiography. Str. 172. Wyd. Museum Press Limited: London, 1957, cena 18 sh.).

SKORUPSKYJ (Wołodymir). *U doroži.* Poezje. Str. 56. (Nakład autora, Edmonton, Kanada, 1957).

PISTORIUS (Georges). *Destin d la Culture Française dans une de mocratie populaire.* La présenc Française en Tchécoslovaqui (1948-1956). Etude et Document Préface de Marc Blancpain. P 292. (Ed. Les Iles d'Or, Pari 1957, fr. 600).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

asza przeszłość. Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce. Redaktor ks. Alfons Schletz. T. V. Str. 350 (Wyd. Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy, Kraków, 1957, cena zł. 65).

AZIN (Paul). *Humanista na wojnie*. Przełożył i posłowiem opatrzył Konrad Eberhardt, Str. 224 (Wyd. Pax, Warszawa 1957, cena zł. 20).

KISIELEWSKI (Stefan) (KISIEL). *Rzeczy małe*. Str. 540. (Wyd. Pax, Warszawa, 1957, cena złotych 40).

TRUCHANOWSKI (Kazimierz). *Tais z biedronką czyli droga do nieba*. Str. 412 (Wyd. Pax, Warszawa, 1957, cena zł. 40).

DĄBROWOLSKA (Halina Maria). *Tytan pracy*. Opowieść o J. I. Kraszewskim. Wyd. II. Str. 255 (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1957, cena zł. 18).

DĄBROWSKA (Maria). *Dramaty*. Geniusz sierocy. Stanisław i Bogumił. Str. 272. (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1957, cena 22 zł.).

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK" — Katowice :
(Rok wydania : 1956)

MORCINEK (Gustaw). *Wybór Pism*. T. I: *Ondraszek*. Str. 445; T. II: *Pokład Joanny*. Str. 394; T. III: *Gwiazdy w studni*. Str. 465 (Cena za całość zł. 61.35).

KAMIŃSKI (Aleksander). (Juliusz Górecki). *Kamienie na szaniec*. Wydanie IV. Str. 168 (zł. 7).

Listy do Redakcj

Toronto, Ont., kwiecień 195

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule Benedykta Heydenkorna *O rehabilitację Leona Kozłow-skiego* („Kultura" Nr 4/114, 1957) zauważyłem szereg nieścisłości, któr chciałbym sprostować w celu uniknięcia jakichkolwiek bądź nieporozumie

1. Po raz pierwszy z tego artykułu dowiaduję się, że przez wojewod płk. Bociańskiego zostałem wydalony z Wilna „...pod zarzutem przynale-ności... do partii komunistycznej". Aczkolwiek u autora artykułu jest ujęte w formę uwypuklającą całkowite nieorientowanie się płk. Bociańskieg to jednak pragnę podkreślić, iż w rzeczywistości, rozkaz wojewody doręczon mi 28 stycznia 1939 roku i nakazujący opuszczenie Wilna w ciągu 48 godzi — nie wymieniał absolutnie żadnych powodów. Moje zaś nastawienie anty komunistyczne już wówczas było powszechnie w Wilnie znane, zarówn z moich odczytów jak i artykułów o zagadnieniach bolszewickich, drukowa-nych w prasie codziennej. Jestem więcej aniżeli pewny, że również woje-woda Bociański doskonale o tym wiedział wydalając mnie z Wilna.

2. W Kanadzie przebywam nie od roku 1949, a od roku 1948.

3. Włożono w moje usta tego rodzaju sformułowania jak „... zarządze-niem władz niemieckich zlikwidowano quislingowskie rządy Ambroziaviciusa Skirpy na Litwie i Bandery we Lwowie" — są zniekształceniem za dobrz mi osobiście znanej historyczno-politycznej rzeczywistości ówczesnej, i d pewnego stopnia niefortunnym pogmatwaniem całego ujęcia sprawy w ty ustępie artykułu.

Wiem, że nie brakowało ludzi, którzy bądź z ignorancji, bądź ze wzglę-dów propagandowo-politycznych, prawie że wszystkie ówczesne odruchy na-rodowe, które przejawiały się po niemieckiej stronie barykady, toczącej si straszliwej wojny — określali ulubionym mianem propagandowym — „quis-lingowskie". W rzeczywistości zaś tego rodzaju ruchy nic wspólnego z kon-cepcją quislingowską nie miały; były to, w gruncie rzeczy, ruchy *samodziel-ne i zdecydowanie dążące do niepodległego bytu własnych narodów* w gra-nicach ówczesnej możliwości. Zarówno narodowa organizacja aktywistów litewskich, utworzona przez Kazimierza Skirpe jak i kierowana przez Stefan Banderę OUN (organizacja ukraińska nacjonalistów) — były spontanicznym antykomunistycznymi odruchami narodowymi, które przejawiły się na zewnąt w formie samodzielnych rządów narodowych *wbrew planom hitlerowski* i dlatego też z całą bezwzględnością były przez Niemców zlikwidowan W związku z tym, dla ścisłości historycznej, pragnąłbym zaznaczyć, tymczasowy rząd litewski był znany nie jako rząd Ambroziaviciusa-Skirp lecz jako rząd Skirpy, proklamowany przez jednego z przewódców powsta-nia antykomunistycznego, Leona Prapolenisa. Zaś ukraiński rząd narodow był znany jako rząd Jarosława Stećko, proklamowany przez kierownika nacjo-nalistów ukraińskich, Stefana Banderę.

Władze niemieckie jak najskrzętniej ukrywały przed dziennikarzami z granicznymi sam fakt powstania tych rządów. A gdy podczas mojej bytnośc

w lipcu i sierpniu w 1941 roku w Kownie oraz we Lwowie usiłowałem wejść w kontakt z ludźmi tych rządów w celu zdobycia materiału o nich dla przed dziennikarzami zagranicznymi fakt, że kierownik rządu litewskiego, Skirpa, od samego początku proklamowania tego rządu był internowany w Berlinie i że działalność rządu ukraińskiego była uniemożliwiona, zaś jego kierownicy i promotorzy, jak Bandera, aresztowani.

Gdy pomimo wszystko, w końcu sierpnia 1941 roku, sprawa tych obu rządów została, na moją prośbę, postawiona przez dziennikarzy amerykańskich na konferencji prasowej w Auswaertiges Amt i Reichspropagandaministerium — usłyszeliśmy tę samą cyniczną odpowiedź, że Niemcom nic nie wiadomo, żeby tego rodzaju rządy kiedykolwiekbądź były utworzone w Kownie i we Lwowie i że poza władzami niemieckimi od samego początku wojny niemiecko-sowieckiej ani śladu nie było rządów ukraińskich, litewskich, czy też jakichkolwiekbądź innych narodowości.

A zatem określanie ówczesnych prądów narodowych, zwłaszcza dzisiaj, i to z perspektywy dziejowej kilkunastu lat, mianem ,,quislingowskie'' jest niedorzecznością, tym bardziej oczywistą, gdyż ich nastawienie zdecydowanie antykomunistyczne okazało się więcej aniżeli słuszne. Tak samo jak niedorzecznością było piętnowanie przez pewne czynniki mianem quislingowskim Leona Kozłowskiego za to, że odmówił jakiejkolwiekbądź współpracy z komunistami i próbował posuwać się własną ścieżką życiową.

Łączę wyrazy poważania,

Dr Fr. ANCEVICZ



Londyn, 19 maja 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 114 Pańskiej ,,Kultury'' p. Eugeniusz Hinterhoff omówił pracę zbiorową pod redakcją kpt. Liddell Hart'a, która pt. ,,The Soviet Army'' ukazała się parę miesięcy temu w wydaniu książkowym m. in. w Londynie.

Pan Hinterhoff, jak można wnioskować z recenzji, jest pod urokiem talentów militarnych Liddell Hart'a, czemu daje wyraz chociażby w określeniu książki (zresztą dość przestarzałej, nie z winy redaktora) jako ,,niezmiernie interesująca i wyczerpująca'' oraz stwierdzeniu, że redaktor (tj. Liddell Hart) zgromadził w niej ,,cały gwiazdozbiór najwybitniejszych generałów, jak Weygand, feldmarszałek Manstein, gen. Guderian, Student i inni''.

Pisząc dla czytelnika polskiego, recenzent, rzecz jasna, wyłowił z książki wszelkie ,,polonica''. Szkoda, że znajdując miejsce na wyjaśnienie dlaczego marszałek Śmigły nie napisał przedmowy do książki gen. Mordacq i jak dalece ,,nieukiem'' wojskowym i politycznym był gen. Sikorski, p. Hinterhoff nie znalazł chociażby dwóch wierszy aby wspomnieć, że jeden z najbardziej rzeczowych i najmniej przestarzałych (w drugiej części książki) rozdziałów ,,The Soviet Army'', dotyczący sowieckich wojsk pancernych, napisał Polak, Ryszard Ogórkiewicz, młody inżynier w jednej z największych brytyjskich fabryk samochodów.

Przyjmując za pewnik entuzjazm p. Hinterhoffa dla kpt. Liddell Hart'a, każdy z nas będzie dumny, że opracowanie tak ważnego tematu znakomity specjalista brytyjski powierzył właśnie naszemu rodakowi.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, uprzejme pozdrowienia

Włodzimierz V. POPŁAWSKI

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XXI

Biblioteki " KULTURY "

PAWEŁ ZAREMBA

Historia Stanów Zjednoczonych

Biblioteka ,,Kultury'' zrealizuje niebawem jedno z najpoważniejszych przedsięwzięć wydawniczych o znaczeniu ogólnopolskim. Będzie nim wydanie wyczerpującej ,,Historii Stanów Zjednoczonych''. Jest to owoc kilkunastoletniej pracy i studiów Pawła Zaremby, historyka i publicysty.

Książka Zaremby obejmować będzie ogółem około 600 stron druku. Podzielona jest na sześć części i piętnaście rozdziałów, przy czym każda część posiada krótką syntezę omawianego w niej okresu historii Stanów Zjednoczonych, podkreślającą znaczene zjawisk społecznych i kulturalnych. Części noszą następujące tytuły: Rewolucja, Federacja, Dom Podzielony, Kontynent, Mocarstwo Światowe i Cywilizacja. *Cennym uzupełnieniem pracy jest: pierwszy pełny i dosłowny przekład Konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz wykazy synchronistyczne. Indeks rzeczowy dawać będzie czytelnikowi łatwość orientacji w bogatym materiale.*

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XXII

Biblioteki "KULTURY"

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIÓRKIEM

(Francja 1940-44)

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2e *Trimestre* 1957

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji :
91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** r. Guiara 139, vila Pompeia, Sao Paulo ..	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	180 fr.	800 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemanski,** 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : «Ostatnie Wiadomosci», Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta poczt. I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.Y.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co** 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIII°).

Cena 180 frs.